WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron | Warszawa, 4 marca 1951 r. | Nr 9 (49) Rok II

W NUMERZE m. in.: **Edmund Bora** — Kiedy nadbudowa zawodzi; **Grzegorz Lasota** — Ludzie z „Anny Weroniki" zwyciężyli w bitwie o Plan; **Henryk Gaworski** — Widokówka prowincjonalna; **Janina Preger** — Pamiętnik pozytywnego bohatera; **Głosy w dyskusji o satyrze; Jerzy Putrament** — Turkusowe chorągiewki; **Anna Wysznacka** — Dwie drogi (dokończenie); **Stanisław Marczak-Oborski** — „Za tych co na morzu"; **Antoni Marianowicz** — Satyry Swinarskiego; **Barbara Borkowska** — Książka o wsi łotewskiej; **Andrzej Wasilewski** — Obrońca endeckiego mitu; **Jerzy Płażewski** — O publicystyce filmowej; **Jan Lenica** — Wystawa plastyków-amatorów; **Janusz Minkiewicz** — Hymn.

JERZY ANDRZEJEWSKI

O WOLNYM CZŁOWIEKU

PODCZAS zwiedzania leningradzkiego Domu Techniki, gdy oglądałem najnowsze modele maszyn i warsztatów, wyjaśnienia oprowadzającej nas kobiety - inżyniera, która tłumaczyła, w jaki sposób najnowsze osiągnięcia z dziedziny techniki zostają upowszechniane — skojarzyły mi się z pewnym fragmentem jednego z ostatnich opowiadań Borysa Polewoja. Opowiadanie to jest zatytułowane „Wrócił", a scena jest następująca: bohater opowieści, Kazymow — przed wojną znakomity hutnik stachanowiec — wróciwszy z Niemiec, gdzie spędził był trzy lata pełniąc z ramienia radzieckich władz okupacyjnych w małym miasteczku funkcje komendanta do spraw gospodarczych, opowiada w świetlicy swojej dawnej huty o wrażeniach wyniesionych z pobytu za granicą. Większość słuchaczy Kazymowa składa się z ludzi bardzo młodych, przeważnie dwudziestoletnich, a nawet młodszych, i Kazymow, stojąc przed tym audytorium, po raz pierwszy po powrocie do kraju zdaje sobie sprawę, że w ciągu siedmiu lat, które on spędził na wojnie i później w okupowanych Niemczech, w ojczyźnie zdążyło tymczasem wyrosnąć i do pracy stanąć nowe pokolenie. O czym ma mówić do tej młodzieży?

„Zaczął swoje opowiadanie od tego, jak to po zajęciu niemieckiego miasteczka poszedł z racji swoich funkcji komendanckich do zakładów budowy maszyn i zażądał od właściciela, by go zaznajomił z przodownikami pracy. I żywo opisał swoim słuchaczom, jak przemysłowcowi gęba się od razu wydłużyła. Z przodownikami? Co to znaczy? Może pan oficer objaśni, o co mu chodzi. Długo rozmawiali ze sobą przez tłumacza, aż się wreszcie okazało, że w języku niemieckim nie ma nawet słowa „przodownik" w takim znaczeniu, w jakim się go u nas używa.

Zrozumiawszy na koniec, o co chodzi, przemysłowiec, chcąc dogodzić przedstawicielowi komendantury, oświadczył rozpromieniony, że ma takiego przodownika, który produkuje dwa razy a nawet trzy razy więcej od innych. Przemysłowiec poprowadził Kazymowa do oddziału mechanicznego. W kącie, w odgrodzonej dyktą komórce pracował chudy, przygarbiony mężczyzna o długiej, końskiej twarzy. Pomagał mu chłopiec tak samo chudy, z taką samą wydłużoną twarzą, słowem — miniatura starszego. Ujrzawszy fabrykanta, długogęby natychmiast zatrzymał warsztat, wyrwał dłuto, wrzucił je do żelaznej skrzynki, zatrzasnął wieczko i wyprężył się na baczność przyciskając ręce do szwów starego kombinezonu. To samo zrobił jego syn.

— A po co to? — spytał ktoś na sali.

— To taki zwyczaj. Kiedy przychodzi fabrykant, wszyscy wstają na baczność i pożerają go wzrokiem — uśmiechnął się Kazymow czując, że nawiązuje już kontakt z audytorium.

Słuchacze roześmieli się, a hutnik opowiadał ze wzrastającym ożywieniem. Sprawiało mu przyjemność, że opowiada tym chłopcom i dziewczętom, dla których słowa „przedsiębiorca", „fabrykant", „właściciel", „eksploatacja", „kapitalizm" były czysto książkowymi pojęciami, jak to wszystko wygląda w praktyce. Słuchano go z zajęciem, a zarazem z pewnym powątpiewaniem, jak gdyby plótł jakąś fantastyczną bajkę. Kiedy hutnik opowiedział, że ten, którego fabrykant nazwał „przodownikiem", odgrodził się dyktowym parawanem od swoich kolegów i ukrywał swoje dłuta, by zachować sekret swego kunsztu tylko dla siebie i dla syna, podniecenie słuchacze zaczęli między sobą szeptać. Gdy zaś dodał jeszcze, że inni tokarze starali się swego kolegę upić, by wydobyć z niego ten sekret, co im się zresztą nie udawało, że go raz nawet okrutnie zbili w piwiarni i że nikt na oddziale nie podawał mu ręki, coraz głośniejsze szepty przeszły niebawem w gwar.

— Dlaczego się właściwie ukrywał przed towarzyszami? — spytał ktoś ze słuchaczy.

— Pewnie, przecież to też robotnicy, nie jacyś tam kapitaliści!

— To był wariat, prawda? — zapytała nagle dziewczyna o dużych wilgotnych oczach i uśmiechnęła się patrząc na Kazymowa wyczekująco."

Można z dużym prawdopodobieństwem przypuścić, że spośród młodzieńczych słuchaczy Kazymowa ani jeden nie miał dotychczas okazji zwiedzenia któregoś z wielkich Domów Techniki w Moskwie czy Leningradzie. Jeśli jednak ci młodzi hutnicy nie widzieli na własne oczy, jak dzięki wspólnemu wysiłkowi uczonych i robotników została w dużych miejskich ośrodkach wypracowana i zorganizowana najlepsza metoda popularyzowania i upowszechniania najnowszych zdobyczy technicznych — czy oznaczałoby to, że obca im, być może, jest jeszcze socjalistyczna solidarność pracy? Rzecz jasna, że nie jest im obca. Borys Polewoj podkreślił w swym opowiadaniu jedną z najcharakterystyczniejszych cech radzieckiego człowieka.

Przez leningradzki Dom Techniki, który jest ogromnym, żywym i twórczym muzeum najnowszej wiedzy technicznej, przewija się miesięcznie około trzydziestu tysięcy robotników. Odpowiednie poradnie techniczne, obsługiwane przez dwustu pięćdziesięciu naukowców, udzielają każdemu zgłaszającemu się wyczerpującej konsultacji z dziedziny najżywiej go interesującej. Dzięki tym konsultacjom, odczytom, bibliotekom, a przede wszystkim dzięki stałej wymianie doświadczeń praktycznych i teorii, osiągnięcia stachanowców i racjonalizatorów, odkrycia najlepszych przedstawicieli klasy pracującej służyć mogą całej klasie pracującej. Dlaczego jednak domy techniki mogły powstać w Związku Radzieckim i spełniać swoje zadania? Wydaje się, iż dlatego przede wszystkim, że zasady myślenia i zasady stosunku do pracy, z których wyrosły, stały się naturalną własnością radzieckiego człowieka.

Dla rozlicznych realiów socjalistycznej kultury i cywilizacji w Związku Radzieckim — czy będzie to moskiewskie metro, przedszkole przy zakładzie pracy, muzeum podarków dla Stalina czy dom techniki — jeden między innymi element jest niezmiennie charakterystyczny: realia te nigdy nie powstają w wyniku oderwanych od życia, mechanicznych koncepcji i teorii (jak np. fundacje charytatywne amerykańskich miliarderów), nigdy również nie bywają ślepym i nie wspartym o mocny grunt teraźniejszości skokiem w przyszłość w rodzaju utopijnych „szklanych domów" starego Baryki z „Przedwiośnia". Przeciwnie: moment ich powstawania i ich charakter zawsze są wiernym odbiciem tych przemian, którym w Związku Radzieckim podlega człowiek, a więc tych potrzeb, pragnień i ambicji, które na danym etapie rozwoju stają się tam udziałem człowieka.

Nie jest rzeczą przypadku, że w wielu dzielnicach Moskwy, pośród parterowych drewniaków przeznaczonych w najbliższej przyszłości na rozbiórkę, wyrasta potężny Dom Kultury, a nieopodal, ponad półmrokiem źle oświetlonych wąskich uliczek wznosi swoje jasne piętra Dom Towarowy. Nie jest również rzeczą przypadku, że nowe stacje metra moskiewskiego są podziemnymi pałacami z marmuru. Stały się zaś nimi bynajmniej nie z tych względów — jak sądzi się nieraz powierzchownie — że każdy młody ustrój pragnie monumentalnymi budowlami zadokumentować wobec współczesnych i pokoleń przyszłych swoją siłę, lecz dlatego, że w masach pracujących przebudziła się i dojrzewać poczęła potrzeba piękna, jako jednego z niezbędnych elementów codziennego życia. Moskiewskie metro, pałace Pioniera, gmachy uniwersytetów, Domy Kultury i sportowe stadiony nie są w Związku Radzieckim piramidami epoki socjalizmu. Zarówno grobowce faraonów i forum Trajana, jak renesansowe pałace Wenecji czy wieża Eiffel nie były budowlami całych społeczeństw, lecz jedynie pomnikami warstw w danym okresie rządzących i posiadających. Łuk tryumfalny Tytusa nie był potrzebny chłopom lombardzkim i trackim, tragedie Racine'a nie wyrosły z upodobań prowansalskiego wieśniaka, a dzieje goethowskiego Fausta nie wypowiadały pragnień robotnika saksońskiego czy rekruta z Meklemburgii. Natomiast w Związku Radzieckim, w ustroju socjalistycznym, obiekty użyteczności publicznej i kultury wznoszone są przez cały naród, ponieważ w określaniu zakresu i charakteru budownictwa cały naród kieruje się przy pomocy partii swoimi potrzebami i pragnieniami, całe również społeczeństwo rozporządza zamówieniem społecznym w dziedzinie sztuki.

Tak więc, nawet uwzględniając, że socjalistyczny zmysł piękna nie zdążył jeszcze osiągnąć w młodym społeczeństwie socjalistycznym pełnej dojrzałości, trzeba za przełom jak najbardziej zasadniczy w dziejach ludzkości uznać fakt podstawowy i na każdym kroku w Związku Radzieckim sprawdzalny, iż we wszystkich dziedzinach życia radzieckiego zarówno treść, jak kształt odpowiednich realiów wyrastają po raz pierwszy w historii z najistotniejszych potrzeb całego społeczeństwa, z potrzeb, zainteresowań i pragnień zgodnych z postępowym i twórczym rozwojem ludzkiej osobowości.

Na początku tego rozdziału*) sięgnąłem do wspomnień związanych ze zwiedzaniem leningradzkiego Domu Techniki. O czym więc w odniesieniu do człowieka radzieckiego świadczą zasady, z których mogła wyrosnąć podobna, w ustroju kapitalistycznym nieznana instytucja użyteczności publicznej? Świadczą one, że dzięki rewolucyjnej zmianie ustroju gospodarczego zaniknął w człowieku radzieckim, mówiąc słowami Gorkiego, „zoologiczny indywidualizm burżuazyjny", ten właśnie „wilczy indywidualizm", którego ponury obraz, już dla młodzieży radzieckiej niezrozumiały, wywołał Polewoj w opowiadaniu swego bohatera Kazymowa.

Kapitalizm zawsze najbardziej się obawiał i nadal najbardziej się lęka klasowego uświadomienia tych, których uciska i wyzyskuje. Dlatego zawsze popierał i do dnia dzisiejszego nadal popiera wszelkie przejawy owego „wilczego indywidualizmu", ponieważ — rzecz jasna — jak długo indywidualizm jednostek wyładowuje się w egoistycznej walce o byt i rozwija się tym samym w oderwaniu od interesów klasy robotniczej, tak długo człowiek wyzyskiwany pozostaje biernym narzędziem klasy posiadaczy. Nie trudno się domyśleć, że ów niemiecki „przodownik", z którym zetknął się Kazymow, nigdy nie był zainteresowany, komu i jakim celom jego praca służy. Oderwać jak największą ilość wykwalifikowanych robotników od klasy robotniczej, kusząc ich łatwym „awansem społecznym" w sensie udostępniania im drobnomieszczańskich ideałów życiowych, uczynić robotnika pozbawionego świadczeń socjalnych właścicielem jednorodzinnego domku, auta i łodówki, rentierem, krótko mówiąc — oto niejednokrotnie skuteczna metoda zaszczepiania ludziom egoizmu, zagubienia i samotności.

W systemie kapitalistycznym wiele się mówi o „poprawie bytu" robotników, wszystko jednak, co w tym zakresie zostaje powiedziane i zrealizowane, zmierza przede

*) Rozdział niniejszy wybrany jest z książki „O człowieku radzieckim", która ukaże się wkrótce nakł. wyd. „Książka i Wiedza".

MIECZYSŁAW JASTRUN

WSPOMNIENIE Z PORONINA

Zarysy Tatr śnieżyca sprzed oczu porywa,
Wierzchołki czarnych świerków wiatr okręca.
Legenda? gdzież tam! nie! powieść prawdziwa
Dobija się do mego serca.

Zamieci kłąb, ta nawałnica gniewu!
Świecący kurz z kaptura wyobraźni,
Tu gdzie się dźwiga gigant granitowy, Giewont,
I masyw skał okrakiem z nieba złazi.

Tutaj go widzę, nie jak nieruchawy pomnik,
Lecz jak człowieka, co się w płaszcz otula.
(Później, widziałeś jego płaszcz, przypomnij!
Który przebiła eserowska kula).

Ręce założył w tył. Czoło potężne.
Czaszka okryta szerokim kapeluszem.
Tak — wcześniej — z myślą, jedynym orężem,
W grudniową noc z Finlandii uszedł.

Już nie dosięgnąć go Sybiru pustkowiom.
(Wspomnij dźwięk kajdan, Warszawo i Karo!)
„Prosty jak prawda był". I jego każde słowo
Wiło konopny sznur na cara.

On z czasem przyszłym grał w kamienne szachy tutaj,
Gdzie tysiąclecia gór, co tylko przeszłość znają,
Ciążą, — gdy on w przeskokach myśli, w rzutach,
W przewidywaniu żył, jak w własnym kraju.

W błysku pojmował wiek, znienacka nań nacierał
I przeciwnika ruch uprzedzał w sto lat przed nim.
Nieludzki czas nawet żelazo zżera.
Na cóż mu pomnik? On był powszedni.

Czyż kamień albo brąz może być tak pojętny,
Aby wyrazić chwilę i stulecie?
Nawet wolności pieśń zmienia akcenty
Na tej planecie.

Znał przyszłość, nie jak wróżbita lub prorok
Wróżący z kart i zabobonnych ptaków.
Jak dąb z czytelną dla leśnika korą
Czas był dla niego, nim go w czyny zakuł.

Gdy z faktem wiązał fakt, to z nich konieczne wnioski
Niby strumienie ze źródeł wynikały.
Rozmawiał z nimi tu, mieszkaniec wioski,
Lecz widać było, że zszedł z orlej skały.

Myśl jego w kłębach śnieżycy i w dymie
Nadlatywała, aby siąść na naszym brzegu,
Ubrać się w słowa, przyjąć jego imię
I w słońcu trwać jaśniejsza od górskiego śniegu.

Była jak wojsko rewolucji, jak działanie,
Teorią praktyce, praktyką teorii
Służyła. Uderzała niespodzianie
W czoła wrogów — tomem historii.

Ale on nie był jak dawni wodzowie,
Co się tuczyli krwią i błyszczeli złotem.
I po to walczył, aby w ludzkiej mowie
Nie było zdania: „wojna wrogich potęg".

Kto jak on umiał rozkazywać wiekom,
Nie umarł. Widzę go wśród górskiej zimy.
Tu mieszkał. Jeszcze dziś skalistą ścieżką
Idzie z rękami w tył założonymi,

Spokojny, rzekłbyś, stulecia radzieckie
Jak góry waży pod czoła sklepieniem —
Wtedy gdy wielki fakt był jeszcze dzieckiem,
Walka — sumieniem.

PRZYWITANIE EISENHOWERA

Nie dość krwi, nie dość wojny, szaleństwa przemocy!
Czy znów, czy znów podobne do hydry stugłowej
Wypłyną na powietrze armie dnia i nocy?
Czy się otworzą piekła broni atomowej?

Nauczyli się mięsa ludzkiego handlarze
Od wczorajszych wisielców mordowanych narody
I dzisiaj mord w Phenianu i Seulu pożarze
Powtarzają z obojętnością przyrody.

Grabieżcy! wyciągają ręce purpurowe
Ku widnokręgom morza, za którymi dnieje,
Ku lądom, zamieszkanym przez narody nowe,
Jakich dotąd nie znały tej planety dzieje.

Mówią językiem, którym mówił Al Capone,
I na pokładach torpedowców pieją psalmy,
I pokazują serce przez wieki zjedzone,
Oni, krzyżowcy w barwach wojen kolonialnych.

Wypuszczają z więzienia najgorszych zbrodniarzy,
Oderwanych od stryka szubienicy, których
Imiona, strasznym piętnem wyryte na twarzy,
Winny ostrzegać: Oto są sprawcy tortury

Narodów. Ja ich tutaj słowem napiętnuję,
Sprawiedliwości wieków oddam ich nazwiska,
Godła zbrodniarzy, których oddech truje,
Splamionych krwią niewinną niemowląt w kołyskach.

Oto brigadenfuehrer SS — Hans Loerner.
Oto standartenfuehrer SS — Hans Hochberg
Teraz Amerykanom będą służyć wiernie.
Przeciwko ludom każde towarzystwo dobre!

Oto morderca chorych więźniów, wyłamywacz
Złotych plomb: Herman Pook, obersturmbannfuehrer.
„Jak dobrze jest na wolnym powietrzu przebywać,
W nocnych lokalach znowu słuchać śpiewu syren!"

Oto ułaskawieni: Krupp, Baier, Karl Sommer,
Ten sam, który gazował więźniów Oświęcimia.
Miasta masowej męki, miejsca wiekopomne!
Spaleni znów wzlatują w krematoriow dymach.

Nad Europą znowu noc. Lecz w jej ciemności
Już słychać skrzyp szubienic jutrzejszych wisielców,
Wczorajszych bombardierów i łamaczy kości,
Czcicieli dolarowych bóstw i złotych cielców.

Słyszycie? Trzeszczą belki jutrzejszych szubienic.
Sprawiedliwa jest zemsta ludów, kiedy karzą.
...Idzie przez światło sal jutrzejszy potępieniec,
W sztywnym mundurze, z zimną jak katafalk twarzą.

Wzrok szklany utkwił w grozie ostatniej godziny,
W nienawistnym widzeniu ujrzał: Mapa lądów
I mórz. Azja jak armia olbrzymich wielbłądów
Z garbami Himalajów, Vietnam, żółte Chiny,

Indie z kolan podnoszą się wśród kajdan grzmotu,
Ziemia Rad, jak ocean trzęsący kłosami,
Z pól Elizejskich, z których nie będzie powrotu,
Te kraje żelaznymi ogląda oczami.

Nagle zadrżał i zachwiał się. W okna hotelu
Uderzył lud paryski, młody wnuk barykad,
Gniewnym krzykiem... Tak witał nie raz od lat wielu
Królów, przywłaszczycieli, tak najeźdźców witał!

wszystkim a nawet jedynie do osłabienia i rozbicia proletariatu jako klasy solidarnej i świadomej swoich interesów oraz swojej twórczej, postępowej roli dziejowej. Nie bez głębszych racji tematem pierwszej, wielkiej realistycznej powieści młodego podówczas i prężnego mieszczaństwa stały się doświadczenia samotnego człowieka na wyspie bezludnej, opowiedziane w roku 1719 przez Daniela Defoe w „Życiu i zadziwiających przypadkach Robinsona Kruzoe". Młodzieńczy kapitalizm angielskich purytanów i kupców zaczął swą karierę od optymistycznej wiary w siły i zdolności jednostki, osiągnął wśród haseł rewolucji francuskiej i romantyzmu pełnię indywidualistycznych porywów i upadków, aby poprzez tragedię różnych Wertherów, Sorelów i Raskolnikowów wylądować w sztuce na monologach dublińskiego kupca Blooma z powieści Joyce'a „Ulisses", a w rzeczywistości na rozreklamowanych karierach pucybutów i gazeciarzy, wdrapujących się na kapitalistyczny Olimp Morgana i Bazylego Zacharowa, Kruppa i Stawiskiego.

Jest rzeczą najbardziej zdumiewającą i jednocześnie — ogarniającą i ożywiającą serce najgorętszą falą optymizmu, iż człowiek, który przed przeszło stu laty mówił ustami grabarza francuskiej rewolucji, Chateaubrianda: „Człowiek powinien dążyć jedynie do osobistej niezawisłości... Będziemy się śmiali z jęków tłumu i zadowolimy się świadomością, że dopóki nie powrócimy do życia dzikusów, póty zawsze będziemy niewolnikami tego lub innego człowieka" — dzisiaj, na mocnym gruncie ustroju socjalistycznego, który sam wywalczył i ugruntował, uważa nie tylko za swój obowiązek, lecz za swoją najoczywistszą i naturalną potrzebę solidarne dzielenie się własnymi osiągnięciami z innymi ludźmi pracy. Kto w fakcie, że w każdym ośrodku produkcyjnym Związku Radzieckiego stachanowcy śpieszą z pomocą towarzyszom nie wyrabiającym norm, że ich uczą, podciągają i razem z nimi przeanalizowują przyczyny zaniedbań; że dalej: każdy racjonalizator traktuje rezultat swojej często długotrwałej, żmudnej i ciężkiej pracy jako wspólną własność ogółu — kto w tych zjawiskach nie dostrzega wzrostu ludzkiej godności i odpowiedzialności, a także wzrostu ludzkiego męstwa i czystości uczuć, ten albo jak hipochondryk złośliwą chorobę pielęgnuje w sobie złą wolę, nienawiść czy tchórzliwą nieufność, albo „wilczy indywidualizm" zakrywa mu bielmem oczy.

Rewolucja Październikowa, obalając ustrój kapitalistyczny, stworzyła jednocześnie taką bazę produkcyjną, która wiele dotychczasowych pojęć gruntownie odmieniając, również i pojęcie ludzkiego indywidualizmu wyprowadziła z ciasnych piwnic egoizmu, a tym samym pozwoliła mu odetchnąć nowymi, twórczymi treściami.

Fałszerze prawdy usiłują przekonać ludzi żyjących w niewoli kapitalistycznej, iż w ustroju socjalistycznym człowiekowi odjęta została wszelka wolność osobista, a społeczeństwo socjalistyczne jest społecznością sterroryzowanych robotów. Rzecz jasna, że każde kłamstwo żeruje na ludzkiej nieświadomości, to jednak, o którym tu mowa, opiera swoją brudną egzystencję już nie tylko na mniejszym lub większym zakresie ludzkiej niewiedzy, lecz wprost na głupocie. Nie trzeba bowiem wmieszać się osobiście w gwarny i pełen roześmianych, radosnych twarzy tłum zapełniający ulice Moskwy, Leningradu i Kijowa, nie trzeba się również zetknąć w cztery oczy z bezpośredniością, prostotą i najprawdziwiej ludzką szczerością ludzi radzieckich w ich fabrykach i teatrach, kołchozach i pociągach, aby wspierając się bodaj o ułamek zdrowego rozsądku zdać sobie sprawę i zrozumieć, że ani obszarów nędzy i ciemnoty nie mogły drogą pięciolatek z takim rozmachem przebudować roboty, ani Leningradu i Stalingradu nie zdołaliby obronić sterroryzowani niewolnicy, ani wreszcie głosy ludzi poniżonych, pozbawionych osobistej wolności nie mogłyby zabrzmieć nad światem z taką dumą i siłą najgorętszego człowieczeństwa, jak głosy Erenburga i Szostakowicza, nauczycielki Kosmodemiańskiej i lotnika Meresjewa.

Jak wiadomo, przed pierwszą wojną światową wielu mieszczan krajów zachodnich ograniczało swą wiedzę o Rosji carskiej do przeświadczenia, że po ulicach Petersburga wałęsają się zimą białe niedźwiedzie, a na peryferiach Moskwy stada wygłodniałych wilków podchodzą pod ludzkie osiedla. Dzisiaj propaganda kierowana przez Dom, który raczej Czarnym się powinien nazywać niż Białym, zrezygnowała ze zwierząt prawdziwych, natomiast ludzi usiłuje przedstawić pod postacią wytresowanych zwierząt. Lecz to cyniczne oszustwo, poszukujące dla siebie potomstwa ze związku z głupotą, nie może w jak najmniejszej mierze ani przysłonić ani zniekształcić prawdy, że w Związku Radzieckim wyrósł dzięki Rewolucji, nowy, pełny i wolny człowiek.

Wolność człowieka radzieckiego, która obecnie wspiera się na podstawach społeczeństwa bezklasowego, została wywalczona na trudnej drodze. Kiedy bowiem postępowi zagraża niebezpieczeństwo bądź ze strony wrogów wewnątrz kraju i ich agentur, bądź ze strony zewnętrznych ośrodków kapitalistycznej reakcji — wolność nieuchronnie musi nieść ze sobą miecz surowej i bezkompromisowej walki ze wszystkim, co w jakikolwiek sposób samej wolności zagraża. Nikt z ludzi, myślą, sercem i czynami stojących przy Związku Radzieckim, nie zapomina, że zwycięstwo Rewolucji zostało osiągnięte kosztem twardego niszczenia tych, którzy broniąc starego porządku i własnych przywilejów i interesów usiłowali stanąć w poprzek wolności otwierającej się dla uciskanych dotąd mas. Kochać człowieka — to nie znaczy kochać również człowieka niosącego innym niewolę. Niewątpliwie nastaną czasy, kiedy broń nienawiści stanie się w ludzkich stosunkach zbędna i państwo przestanie być narzędziem ucisku. Nam jednak, którym wypadło żyć i pracować w czasach szczególnie trudnych i jeszcze rozdartych wieloma sprzecznościami, nie wolno rezygnować ani z nienawiści wobec wrogów ani z obowiązku niszczenia wrogów, gdziekolwiek i w jakikolwiek sposób swoją obecność ujawniają.

Rzecz więc oczywista, że w ustroju socjalistycznym wolność dla wrogów wolności socjalistycznej ani istnieje ani istnieć może, ponieważ garstka wrogów, dawnych wyzyskiwaczy, obdarzona wspaniałomyślnie przez proletariat swobodą — natychmiast pod kierownictwem pierwszego z brzegu Denikina czy Wrangla, Mikołajczyka albo Andersa przyniosłaby najokrutniejszą niewolę i ucisk masom proletariackim. Lekarz się nie waha, jeśli ma uratować życie ludzkie za cenę pozbawienia człowieka ręki lub nogi. Tak samo i żywe społeczeństwo nie może się wahać, gdy jego rozwój i los milionów ludzi uzależniony jest od odcięcia i zniszczenia schorzałych narośli. Kto tego nie rozumie lub umywa ręce, uważając sprawiedliwy ucisk za zło konieczne, którym brudzić się mogą inni ludzie, nie on — ten w praktyce, choćby miał usta pełne frazesów postępowych, podaje rękę wrogowi. Nasze czasy dość mocno wskrzeszają tak poniżone w ciągu ubiegłych wieków pojęcie człowieczeństwa i z taką siłą mówią o miłości człowieka, że w imię tych wartości, w imię ich ocalenia od zniszczenia i zagłady trzeba nam nienawidzieć tych, którzy są przeciw człowiekowi.

Marksizm nie wymyślił walki klas, lecz odkrył ją i stwierdził, że dzieje ludzkie są dziejami gwałtu i przemocy dokonywanych przez klasy rządzące na klasach pracujących. Posiadacze oburzają się obłudnie na przemoc stosowaną przez proletariat, lecz to moralne zgorszenie jest tylko cynizmem i nic z moralnością nie ma wspólnego. Sprawców kryzysów i bezrobocia, nędzy i głodu, twórców obozów koncentracyjnych, dyskryminacji rasowej i barbarzyńskich wojen oburza w istocie nie przemoc stosowana przez proletariat, lecz cel, któremu ta przemoc służy. Proletariat stosuje przemoc — to jasne! — lecz dlatego w walce z przemocą stosuje przemoc, aby wszelkiej przemocy w stosunkach ludzkich położyć kres. Kapitalizm bez przemocy istnieć nie może, ponieważ podstawowe zasady jego egzystencji są na przemocy oparte. Natomiast proletariat po swym ostatecznym zwycięstwie nie będzie potrzebował stosować przemocy z tej zasadniczej przyczyny, że jest w dziejach ludzkości pierwszą klasą społeczną, która nie walczy o swoje „wieczne" panowanie, lecz dzięki swemu zwycięstwu likwiduje wszystkie klasy, a więc i swoją własną na rzecz społeczeństwa bezklasowego.

Nie ulega wątpliwości, że w walce o wolność socjalistyczną, aby wszyscy na koniec ludzie mogli być obdarzeni pełną wolnością, jednym z orężów najcelniejszych jest nowy u człowieka radzieckiego stosunek do indywidualizmu. Do przeżytku należy w ustroju socjalistycznym konflikt jednostki i społeczeństwa, a także konflikt pokoleń — ojców i dzieci — który przed stu siedemdziesięciu laty zaczął swą olśniewającą karierę w buncie schillerowskiego Karola Moora. Pomiędzy człowiekiem radzieckim, jednostką i społeczeństwem radzieckim nie istnieją burzliwe przepaście wywoływane z mroków klasowych sprzeczności przez Byrona, Stendhala i Ibsena. Człowiek radziecki nie musi się buntować przeciw swoim rodzicom i nie oczekuje go bunt ze strony własnych dzieci. Człowiek radziecki nie stoi w miejscu, ponieważ zmienia się wraz z całym społeczeństwem. Człowiek radziecki jest wolną ludzką osobowością, ponieważ nurt przemian, któremu ulega i który go kształtuje, wynika z jego własnych potrzeb i pragnień i jest wyrazem jego własnej osobowości. Człowiek radziecki wreszcie ma pełne prawo do świadomego poczucia własnej ważności, ponieważ swoją pracą wspomaga i buduje społeczność, a jeśli zbłądzi lub da z siebie mniej niż powinien — wie, że ani zostanie zepchnięty na margines życia ani zaliczony do ludzi niepotrzebnych, lecz społeczeństwo w postaci żywych towarzyszy przyjdzie mu z pomocą. Do tej pory najsilniejszym manifestacjom ludzkiego indywidualizmu towarzyszyło gorzkie poczucie samotności. Człowiek radziecki został od niej uwolniony.

Jerzy Andrzejewski

EDMUND BORA

KIEDY NADBUDOWA ZAWODZI

Kierownictwo bloku atlantyckiego stoi przed problemem, którego do zwycięstwa Rewolucji Październikowej nie znali organizatorzy agresywnych koalicji. Ścisły związek między budownictwem socjalizmu na olbrzymich terenach Europy i Azji a rewolucyjnym ruchem robotniczym w krajach kapitalistycznych i walką wolnościową ludów kolonialnych wzmacniał się w okresie między obiema wojnami światowymi w miarę jak radziecka klasa robotnicza rozwiązywała pomyślnie zagadnienia nieustannie trapiące społeczeństwa świata imperialistycznego.

Zlikwidowanie kryzysów i bezrobocia, sukces gospodarki planowej, całkowita i faktyczna emancypacja ludów kolonialnych i półkolonialnych dawnego imperium carskiego — wszystko to miało znaczenie sięgające daleko poza granice ZSRR. Sam fakt rozwiązania tych zagadnień zadał potężny cios nadbudowie ideologicznej systemu imperialistycznego, coraz bardziej zwężając możliwości jej efektywnego oddziaływania na świadomość mas ludowych zarówno Europy jak krajów kolonialnych i półkolonialnych.

Doświadczenia i osiągnięcia ludów radzieckich w dziedzinie gospodarczej, społecznej i kulturalnej nieprzerwanie wzbogacały ideologię ruchu antyimperialistycznego. Praktyczne potwierdzenie nauki Stalina i Lenina w budownictwie socjalistycznym uodporniło najbardziej aktywne i ofiarne żywioły klasy robotniczej w Europie i ludów azjatyckich na oddziaływanie ideologii klas posiadających. Oczywiście klasy te nie dały za wygraną.

W miarę wzmagania się ofensywy ideologii antykapitalistycznej burżuazja europejska i azjatyckie żywioły feudalno-burżuazyjne ze swej strony aktywizowały swoje agentury ideologiczne. Klerykalizm, socjaldemokratyzm i faszyzm w Europie, demagogiczne hasła antyindustrializacyjne i doktryna biernego oporu (ghandyzm) w Indiach, kuomintangowski nacjonalizm w Chinach miały na celu złagodzenie, jeżeli nie likwidację trwających i ciągle potężniejących skutków wstrząsu wywołanego w świadomości mas przez Rewolucję Październikową i sukcesy budownictwa socjalistycznego w ZSRR. Odtąd antysowietyzm stał się jednym z głównych elementów uzbrojenia ideologicznego klas rządzących w systemie imperialistycznym we wszystkich krajach świata, bez względu na to czy kraje te graniczą czy nie graniczą ze Związkiem Radzieckim.

Fakt ten, wynikający z międzynarodowego, historycznego charakteru Rewolucji Październikowej, wiąże się bezpośrednio z całkowitym przewrotem w charakterze i istocie stosunków międzypaństwowych, który nastąpił dzięki zjawieniu się na arenie międzynarodowej mocarstwa nowego typu — Związku Radzieckiego. Po raz pierwszy w dziejach świata na arenie międzynarodowej wystąpił związek wolnych narodów mający interesy całkowicie identyczne z przygniatającą większością ludzkości, wystąpiło państwo, z istoty swojej przeciwne wszelkim wojnom imperialistycznym, państwo, którego polityka zagraniczna — polityka pokoju — odpowiada interesom podstawowych mas ludności świata. Powstała sytuacja nieznana dotychczas w polityce międzynarodowej.

Tradycyjne granice podziału państwowego i sfer wpływów, jedyne znane do 1917 roku typy granic — zostały przecięte groźną dla kapitalizmu, inną linią podziału oddzielającą jednolity w swoich podstawach ideologicznych świat socjalizmu od świata imperialistycznego, przy czym przeważające masy ludności tego ostatniego obiektywnie biorąc, a w znacznej części zupełnie świadomie, znalazły się w obozie przeciwnym. Powstała sytuacja tym groźniejsza dla systemu kapitalistycznego, że nowa — odmienna w swej istocie od znanych dotychczas nadbudów społeczeństw opartych na ucisku klasowym — nadbudowa ideologiczna socjalistycznego społeczeństwa radzieckiego w miarę krzepnięcia coraz skuteczniej wzmacnia odporność rewolucyjnej ideologii klasy robotniczej i kolonialnego ruchu wolnościowego na oddziaływanie nadbudowy burżuazyjnej czy feudalno-burżuazyjnej na masy ludowe.

I tu dochodzimy do wspomnianego na wstępie nierozwiązalnego problemu, przed którym stanęło kierownictwo obozu imperialistycznego, przystępując do organizacji agresywnej koalicji „atlantyckiej". Stare założenie wszelkich agresywnych koalicji—istnienie konkretnego zewnętrznego przeciwnika, który ma być przedmiotem napaści — okazało się w nowych warunkach całkowicie nierealne. Wbrew propagandowemu sloganowi „obrony przed blokiem radzieckim", kierownictwo bloku atlantyckiego musi przy opracowywaniu swoich konkretnych planów strategiczno-politycznych uwzględniać w całej rozciągłości fakt, że przygotowuje agresję nie przeciw kilku państwom skupionym wokół Związku Radzieckiego, ale przeciw światowemu obozowi demokracji i socjalizmu sięgającemu w głąb wszystkich społeczeństw kapitalistycznych, obozu, którego centralną siłą jest Związek Radziecki.

Fakt, że obóz ten ogarnia podstawowe rezerwy ludzkie systemu imperialistycznego, fakt że siła najbardziej aktywnych i świadomych żywiołów wchodzących w skład tych rezerw ludzkich nieustannie wzrasta — ciąży fatalnie na wszystkich poczynaniach organizatorów imperialistycznej koalicji. Jest to bowiem bezpośredni czynnik decydujący o nierealności koncepcji światowej agresywnej koalicji narodów żyjących w ramach systemu kapitalistycznego, wymierzonej przeciw Związkowi Radzieckiemu oraz krajom demokracji ludowej w Europie i w Azji. Z istoty swej bowiem koalicja taka musi mieć, poza ostrzem wymierzonym przeciw Związkowi Radzieckiemu i państwom z nim sprzymierzonym, dwa inne ostrza wymierzone już nie tylko przeciw siłom antykapitalistycznym, ale w ogóle przeciw siłom pokojowym w Europie Zachodniej i siłom antyimperialistycznym w krajach kolonialnych, półkolonialnych a nawet formalnie niepodległych, ale faktycznie dławionych przez imperializm.

Krótko mówiąc, osłabienie działania nadbudowy ideologicznej imperializmu, ściśle związane z gniciem samej jego bazy, dotkliwie daje się odczuć autorom paktu atlantyckiego. Sytuacja jest dla nich, tym trudniejsza, że na skutek nierównomiernego rozwoju gospodarczego poszczególnych społeczeństw systemu imperialistycznego, na skutek różnic w ich poziomie kulturalnym, w losach i doświadczeniach historycznych — między nadbudowami ideologicznymi poszczególnych społeczeństw tego systemu zachodzą poważne różnice i bodaj że sprzeczności, które uniemożliwiają ustalenie i przeprowadzenie jednolitego planu ofensywy ideologicznej na całym świecie.

W okresie między obiema wojnami światowymi szczyt zwyrodnienia osiągnęła nadbudowa ideologiczna kapitalizmu włoskiego i niemieckiego. Wiadomo, że zwycięstwo faszyzmu w tych krajach świadczyło nie o sile ustroju kapitalistycznego, ale że właśnie tam burżuazja czując swoją absolutną słabość chwyciła się jawnie terrorystycznych metod rządzenia. W parze z tym burżuazja posługiwała się systemem „ideowym" faszyzmu z jego szeroko rozwiniętą demagogią socjalną dla przeciwdziałania ideologii proletariackiej. Niski poziom intelektualny i zwyrodniała treść moralna faszyzmu służyła do otępiania i infantylizacji mas drobnomieszczańskich i lumpenproletariackich w Niemczech i we Włoszech.

Druzgocąca klęska zadana faszyzmowi na kontynencie europejskim przez ZSRR, przyczyniła się nie tylko do zawalenia politycznych form dyktatury faszystowskiej. Umożliwiła również podstawowym masom ludności w Europie Zachodniej pełne uzmysłowienie sobie sensu doświadczeń nabytych zarówno w okresie międzywojennych rządów faszystowskich jak okupacji hitlerowskiej. Wszystko wskazuje na to, że długoletnie rządy faszyzmu we Włoszech umożliwiły masom ludowym półwyspu Apenińskiego konfrontację obietnic socjalnych i narodowych faszyzmu z rzeczywistością. Konfrontacja wypadła fatalnie dla faszyzmu.

Hrabia Ciano pozostawił w swoich pamiętnikach następującą wypowiedź Mussoliniego z roku 1940: „Muszę jednak przyznać, że w roku 1914 Włosi prezentowali się lepiej niż obecnie. Nie brzmi to pochlebnie dla naszego reżimu, ale tak jest". Mussolini spostrzegł fakt, który musiał przyprawić o wściekłość nie tylko jego osobiście, ale całą klasę, której służył. Reżim faszystowski mimo prawie dwudziestoletniego funkcjonowania nie wykonał zadania postawionego mu przez burżuazję. W roku 1940 Włosi okazali jeszcze mniej entuzjazmu dla udziału w wojnie zaborczej, niż ich ojcowie dla wojny imperialistycznej w latach 1914 — 1918. Zdradzieckie zachowanie się faszystowskiej burżuazji włoskiej podczas drugiej wojny światowej, służalczość Mussoliniego i jego zauszników wobec okupanta hitlerowskiego — do reszty musiały skompromitować w oczach mas „tradycyjny" system idei i poglądów faszystowskich.

Nic dziwnego, że po drugiej wojnie światowej odradzający się ruch faszystowski występujący pod nazwą „ruchu społecznego" mimo poparcia udzielonego mu przez niektóre grupy burżuazji nie zdołał odzyskać w szerszym zakresie swoich wpływów. Nic też dziwnego, że burżuazja włoska sięgnęła do klerykalizmu jako głównej broni ideologicznej. Ale fakt, że nie tylko we Włoszech północnych i środkowych, ale w najbardziej zacofanych okręgach południowych, znanych z dewocji, po drugiej wojnie światowej zaznacza się bardzo poważny spadek wpływów politycznych Watykanu, a co za tym idzie burżuazji włoskiej, świadczy, jak daleko sięgnął wstrząs spowodowany kompromitacją faszyzmu.

Także we Francji wbrew początkowym pozorom „klasyczny" faszyzm degaullistowski nie zdołał spełnić swego zadania. Nawet w Niemczech Zachodnich, gdzie, zdawałoby się, dzięki polityce mocarstw okupacyjnych faszyzm hitlerowski ma pełne możliwości odrodzenia się, o wiele skuteczniejszą bronią ideologiczną burżuazji okazał się klerykalizm i socjaldemokratyzm, które — nielegalne w czasach hitlerowskich — nie zdążyły się całkowicie zdemaskować w oczach mas.

Co jednak najbardziej charakterystyczne zarówno dla Włoch i Francji, jak i dla Niemiec Zachodnich, to fakt, że i klerykalizm i socjaldemokratyzm utraciły w zasadzie siłę mobilizującą masy do aktywnego działania. Nie ma dziś w Europie Zachodniej masowego, bojowego i zdyscyplinowanego ruchu antyradzieckiego i antykomunistycznego. Eisenhowera witały na ulicach Paryża i Rzymu tysiące policjantów, a nie tysiące socjaldemokratów, MRP-owców czy chadeków de Gasperiego. Wyszły natomiast na ulice masy bojowników o pokój demonstrujące przeciwko wojnie, masy, które nie zlękły się pałek i kul policyjnych. A wiadomo, że kiedy klasa rządząca rezygnuje w decydujących chwilach całkowicie z mobilizującej siły własnej ideologii i pokłada całą swoją nadzieję tylko w broni, niedobrze to świadczy zarówno o sile tej klasy, jak o praktycznej wartości jej oręża ideologicznego.

W chwili obecnej masy ludowe w Europie Zachodniej, nie mówiąc już o komunistach, stoją na o wiele wyższym poziomie kultury politycznej i dysponują dzięki bolesnemu doświadczeniu lat minionych o wiele zdrowszym rozsądkiem niż masy amerykańskie. Stąd też propaganda amerykańska, naiwna i prymitywna, nie osiąga pożądanych przez się skutków w Europie. Wzrost nastrojów antyamerykańskich w Europie Zachodniej jest rzeczą ogólnie znaną.

Słowem — w praktyce okazuje się niemożliwym wzmocnienie efektywności propagandy „atlantyckiej" drogą ścisłego skoordynowania obu jej ramion, amerykańskiego i europejskiego. Próby czynione przez burżuazję amerykańską i angielską w kierunku wyrwania większych mas ludzkich kontynentu z zasięgu wpływów obozu antyimperialistycznego nie dają poważniejszych wyników. Co więcej, przyśpieszone przygotowania wojenne budzą nawet w nieproletariackich warstwach ludności, pamiętających doświadczenie drugiej wojny światowej, coraz większą niechęć zarówno do awanturniczej polityki amerykańskiej, jak do jej europejskich agentów.

Nie lepiej przedstawiają się możliwości organizatorów koalicji „atlantyckiej" w Azji. Pamiętać trzeba, że na kontynencie azjatyckim— mowa w tym wypadku o terenach poza ZSRR, Chinami Ludowymi i Indiami — głównym środkiem ideologicznego oddziaływania klas posiadających na warstwy ludowe był przez długie wieki Islam. Imperializm angielski, a ostatnio również amerykański, doprowadzając do ostatecznej nędzy przygniatającą większość ludności krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu i korumpując tamtejsze klasy posiadające ,w ostatecznym wyniku doprowadził do tego, że Islam w dużej mierze utracił swoją wartość jako aktywna, mobilizująca masy siła ideologiczna. Między cienką rządzącą warstwą feudalno - burżuazyjną a milionowymi masami bezrolnych chłopów i głodujących robotników powstała przepaść. A łączący obie krawędzie przepaści most Islamu staje się coraz cieńszy.

Jeszcze podczas pierwszej wojny światowej przekonał się o tym sułtan turecki, gdy wbrew jego apelom jako kalifa wszystkich wiernych do wojny przeciw niewiernym Anglikom, sfery rządzące w krajach arabskich stanęły po stronie Anglii, a ogromne masy ludności pozostały w ogóle głuche na jego wołanie. Nie lepiej powiodły się próby czynione przez agentów Hitlera i Mussoliniego na Bliskim i Środkowym Wschodzie podczas drugiej wojny światowej.

Sytuacja jest niewątpliwie niepokojąca dla obozu imperialistycznego. Kraje Bliskiego i Środkowego Wschodu to nie tylko tereny posiadające niezmierne bogactwa naturalne, ale są to przecież jednocześnie tereny zamieszkałe również przez dziesiątki milionów ludzi, które wypadły z zasięgu wpływów imperializmu. Sytuacja jest tym groźniejsza, że zarówno w Iranie, jak w Iraku, Libanie i Egipcie masowy ruch antyimperialistyczny zaczyna ogarniać setki tysięcy chłopów i robotników, jak również inteligencji korzystając jednocześnie z cichego poparcia milionów mniej aktywnych politycznie. Co gorsza, powszechna nędza mas ludowych i niebywałe skorumpowanie cienkiej warstwy rządzącej uniemożliwia tej warstwie poważniejszą infiltrację ideologiczną celem rozbicia powstającego frontu antyimperialistycznego.

Trzeba stwierdzić, że sztab obozu imperialistycznego zdaje sobie sprawę z sytuacji i szuka środków zaradczych. Zdają sobie również z tego sprawę niektóre grupy warstw rządzących na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Stąd wyraźna ostatnio na tych obszarach akcja tworzenia warstwy kułackiej, która by się mogła stać masowym oparciem dla władców Teheranu, Bagdadu, Kairu, a tym samym Waszyngtonu i Londynu. W tym kierunku idzie trumanowski tzw. plan pomocy dla krajów zacofanych, mający zapobiec uprzemysłowieniu krajów azjatyckich, a jednocześnie ułatwić tam powstanie zamożniejszej warstwy chłopskiej, która by aktywnie wystąpiła przeciw rewolucyjno - demokratycznym i narodowym postulatom wielomilionowych mas robotniczych i chłopskich. Związane z tym planem są takie posunięcia, jak ogłoszona niedawno sprzedaż gruntów państwowych w Iranie i przygotowania do podobnej „reformy rolnej" w Iraku.

Prasa i radio amerykańskie i angielskie otwarcie stwierdzają, że wszystkie te plany reform mają na celu ugruntowanie bazy imperializmu w krajach Środkowego i Bliskiego Wschodu. Masy azjatyckie przeszły jednak dzięki imperializmowi nie gorszą szkołę niż masy europejskie dzięki faszyzmowi. Nienawiść do imperializmu jest na Wschodzie tak silna, że żaden z rządów arabskich nie odważył się otwarcie stanąć po stronie Stanów Zjednoczonych w związku z ich interwencją przeciw narodowi koreańskiemu. Powszechna ta nienawiść sprawia, że w chwili obecnej nie tylko prasa arabska ale nawet irańska pełna jest artykułów wyrażających niechęć do angażowania się po stronie bloku atlantyckiego. I nie chodzi tu, rzecz jasna, o szczerość intencji autorów tych artykułów. Chodzi o powszechne nastroje, których oni nie mogą ignorować. Jeżeli zaś nie mogą tych nastrojów ignorować, to świadczy to również o tym, że chodzi o nastroje już nie pasywne ale aktywne, których klasy posiadające na Bliskim i Środkowym Wschodzie mają wszelkie powody obawiać się.

Urzeczywistnienie „idei" koalicji narodów pod przewodem czołowych mocarstw imperialistycznych jest więc w Azji bodaj że jeszcze mniej realne niż w Europie. Pozostaje, z trudem montowana, rozdzierana wewnętrznymi sprzecznościami koalicja sfer rządzących i wzajemnie od siebie zależnych w ramach systemu imperialistów przeciw większości ludzkości.

Edmund Bora

TADEUSZ CZARNECKI
NAUKA GRY W SZACHY
Str. 276 zł 10,—
„CZYTELNIK"
Wkrótce do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI"

INSTYTUT WYDAWNICZY
„NASZA KSIĘGARNIA"
KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

	zł
ARTYNIEWICZ K. — O ziemniaczku obieżyświatku. Str. 37	8,50
BIANKI W. — Dziupla. Str. 16.	4,80
KORCZAKOWSKA M. — Na podwórku. Str. 16	1,80

*

FIEDLER A. — Rio de Oro. Str. 208	8,00
KUNIN K. — Przez trzy morza. Str. 196	3,—
PAGACZEWSKI W. — Beskidy. Str. 56	6,—
PRILEŻAJEWA M. — Nie jesteś sam. Str. 168	7,50
STANIUKOWICZ K. — Opowiadania morskie. Str. 244	8,50

PEDAGOGICZNE

JESIPOW B., GONCZAROW N. — Pedagogika t. I. Str. 144	3,—
JESIPOW B., GONCZAROW N. Pedagogika, t. II. Str. 160	3,—
MAKARENKO A. — Wybrane prace pedagogiczne. Str. 208	5,40
MIEDYŃSKI J. — Antoni Makarenko. Str. 132	4,20
PIECZERNIKOWA J. — Wychowanie ucznia przez pracę w rodzinie. Str. 124	4,50

Do nabycia we wszystkich księgarniach „Domu Książki"

GRZEGORZ LASOTA

Ludzie z „Anny Weroniki" zwyciężyli w bitwie o Plan

I

Na ulicach leżały zwały cegieł. Latarnie nie oświecały ulic. Elektrownia często wyłączała prąd. Przed maleńkimi składami węgla tworzono długie wężowate kolejki. Brakło węgla. W ocalałych od zniszczenia mieszkaniach współlokatorzy grzano się przy jednym żeleznym piecyku... Tak było zimą 1945 roku w Warszawie. Nie tylko w Warszawie. W innych miastach fabryki przerywały produkcję — szwankował transport, nie dostarczano węgla. Wróg rozpowszechniał najniedorzeczniejsze plotki. Wtedy sprawy węgla wysunęły się na czoło zagadnień gospodarczych. Bez szybkiego i pokaźnego wzrostu wydobycia węgla nie można było wykonać planu 3-letniego. I sercem planu stał się czarny śląski węgiel. Był on potrzebny hutom i elektrowniom, gazowniom i maleńkim piecykom prywatnych mieszkań. Był on potrzebny jako cenny towar na eksport.

W 1945 roku okupant zostawił zdewastowane kopalnie, wyniszczone rabunkową kapitalistyczną gospodarką. Setki szybów wytrącone zostały z produkcji. W 1945 roku łącznie wydobyto 27 milionów ton węgla. To znaczy, że produkcja kopalń w stosunku do wydobycia w 1938 roku obniżyła się o 10 milionów ton. Plan 3-letni przyniósł zmianę. Przemysł węglowy zrobił potężny krok naprzód. W 1949 roku wydobyto 77 milionów 500 ton, zaś w lipcu 1950 roku na V Plenum KC PZPR tow. Minc powiedział:

„Za ogólnym rozwojem przemysłu musi podążać rozwój naszego podstawowego przemysłu, przemysłu węglowego... Górnictwo węgla kamiennego osiągnie w roku 1955 100 milionów ton... Zaspokoi to w pełni rosnące potrzeby życia gospodarczego i pozwoli na wysoki poziom eksportu węgla."

Węgiel stanowił fundament planu 3-letniego i węgiel stanowić ma nadal jedną z podstaw Planu 6-letniego.

„Podstawowym zadaniem Planu 6-letniego, jako planu zbudowania podstaw socjalizmu w Polsce jest poważny rozwój sił wytwórczych i w pierwszym rzędzie produkcji środków wytwórczości... W okresie sześciolecia zostanie w Polsce rozbudowany wielki socjalistyczny przemysł, potężna ekonomiczno - techniczna baza socjalizmu w naszym kraju" — stwierdził w tymże referacie tow. Minc.

Oznacza to, że budowa ciężkiego przemysłu, praca naszych hut dających stal, praca naszych fabryk dających krajowi maszyny uzależniona jest od wzrostu wydobycia węgla. Oznacza to, że gwarancją wykonania planu jest w pierwszym rzędzie dostarczenie przewidzianej ilości węgla i stali.

Węgiel wydobywają górnicy. Stal wytapiają hutnicy. Od ich wysiłku i poziomu pracy, od stopnia ich świadomości politycznej zależą wyniki 6-letniego Planu.

...W upalny dzień 27 lipca 1947 roku rębacz kopalni „Jadwiga" w Zabrzu Wincenty Pstrowski napisał krótki zwarty list do górników z całej Polski, kończący się następującymi słowami:

„Wzywam do współzawodnictwa towarzyszy rębaczy z innych kopalni. Kto wyrąbie więcej ode mnie?"

Od tego lipcowego dnia minęły 4 lata. Ruch socjalistycznego współzawodnictwa pracy ogarnął tysiące górników. Narodziła się nowa wyższa forma socjalistycznego stosunku do pracy; ruch nowatorów i racjonalizatorów. Hutnicy i górnicy zwiększają poziom wydobycia, przekraczają normy, ulepszają metody wytopów, metody wydobycia węgla. Realizacja Planu zależy więc od ich pracy. Od ich wysiłku. Dźwignią tego wysiłku jest współzawodnictwo. Źródłem współzawodnictwa jest nowy socjalisytczny stosunek do pracy.

Zadanie naszych pisarzy polega właśnie na tym, aby pokazać walkę o Plan, walkę o zbudowanie podstaw socjalizmu. Zadanie naszych pisarzy polega na tym, aby pokazać tę walkę na przykładach zagadnień kluczowych i typowych dla szeregu ogniw, a nie drobiazgowo wcale oschłej rejestracji ekonomicznych czy technicznych osiągnięć, analizy produkcji. Pisarz pokazywać będzie na przykładach poszczególnych prostych ludzi — żołnierzy naszego budownictwa — istotę walki o jutro, zaciętość tej walki i jej wielkość. Dlatego pisarz powinien umieć uchwycić w artystycznej formie typowe zagadnienia i typowe konflikty. Chodzi o to, aby umieć odnaleźć, — tam gdzie wytapia się stal, gdzie wydobywa się węgiel — te najbardziej charakterystyczne zagadnienia i oświetlić je reflektorem czujnej selekcjonującej pisarskiej analizy.

Przy pisaniu utworów o przemyśle zawsze winniśmy pamiętać o słowach Lenina:

„Wydajność pracy — to w ostatecznym wyniku rzecz najważniejsza, najgłówniejsza dla zwycięstwa nowego ustroju społecznego. Kapitalizm stworzył wydajność pracy niespotykaną w warunkach pańszczyzny. Kapitalizm może być i będzie ostatecznie pokonany przez to, że socjalizm stwarza nową, znacznie wyższą wydajność pracy... Komunizm — to wyższa w stosunku do kapitalistycznej wydajność pracy robotników pracujących dobrowolnie, świadomych, zjednoczonych, posługujących się najlepszą techniką".

(W. I. Lenin, Dzieła wybrane, tom II, str. 574-575).

Szereg naszych pisarzy podjęło odpowiedzialne zadanie odzwierciedlenia wysiłku klasy robotniczej.

Aleksander Scibor-Rylski

Ostatnio ukazało się kilka powieści mówiących o życiu górników. To dobrze. Jednakże wybór samej tematyki nie oznacza uchwycenia najistotniejszych jej elementów zarówno z punktu widzenia typowości zjawiska, jak i z punktu widzenia tego co nowe i rozwijające się, nieznane w ustroju kapitalistycznym. Wybór samej tematyki nie stanowi również o uchwyceniu tych zjawisk, których popularyzacja posiadać może poważne, praktyczne znaczenie, bowiem literatura realizmu socjalistycznego nie tylko kształtuje świadomość i przyczynia się do zmian w nadbudowie, lecz również czynnie, w sposób nieznany starej literaturze, wpływa na przemiany w bazie.

Aleksander Ścibor - Rylski debiutując powieścią pt. „Węgiel"*) podjął właśnie te najtrudniejsze i najbardziej typowe zagadnienia górniczej tematyki. Napisał powieść o ludziach produkcji — przy produkcji, o współzawodnictwie pracy, o kształtowaniu się nowej socjalistycznej świadomości w klasowej walce, o dumnej i zaszczytnej roli górnika w budowie nowego ustroju. Dlatego książka ta w zestawieniu z ostatnimi powieściami górniczymi Morcinka, Rydzewskiej i Jackiewicza **) wydaje się być pozycją najciekawszą.

II

Kiedy Migoń przyszedł na kopalnię „Anna Weronika" by objąć stanowisko wicedyrektora, inżynier Prosty zwrócił się do niego z następującymi słowami:

„ — Ja muszę pana jednego nauczyć. Ligota to takie małe miasteczko na boku, na końcu świata, stąd daleko i do Warszawy i do socjalizmu. Tutaj ludzie po prostu nie chcą robić. Niech pan sobie to weźmie za drogowskaz, kiedy zacznie się pan uczyć „rządzenia" kopalnią. Nasi ludzie są leniwi, nie chcą pracować i nikt ich nie zmusi do roboty. Oni gwiżdżą na Partię, wyścig pracy, awans społeczny i wszystkie plany 3-letnie". (str. 30).

Ale Migoń nie po to przyszedł na kopalnię „Anna Weronika", by słuchać słów inżyniera Prostego. Migoń miał za sobą wieloletnie doświadczenie życiowe, partyjną legitymację, klasowy instynkt, upór i 600 proc. normy wykonanej w kopalni w Zabrzu. Partia skierowując Migonia na stanowisko wicedyrektora postawiła przed nim jedno zasadnicze zadanie: odnaleźć przyczyny nie wykonywania planów przez „Annę Weronikę" i uczynić wszystko, aby kopalnia wykonała swój roczny plan produkcyjny.

Migoń przystąpił do pracy z myślą o wykonaniu tego zadania.

Sytuacja na „Annie Weronice" nie była wesoła. Dyrektor Zabielski należał do tych ludzi, którzy subiektywnie będąc uczciwymi stają się nieświadomie narzędziem w rękach wroga. Dyrektor Zabielski nie rozumiał nowych czasów, był liberałem zabłąkanym we współczesności. Dyrektorem finansowym był ukryty wróg naszego ustroju Rymkiewicz. Na stanowisku zawiadowcy kopalni trzymano inżyniera Prostego, którego negatywny stosunek do wielkich przemian nie ulegał wątpliwości.

Pierwszy zapał współzawodnictwa pracy, który ogarnął kopalnię przed przybyciem Migonia, dawno został stłumiony papierkami ankiet ukrytych w teczkach bezdusznych urzędniczek. Co prawda do współzawodnictwa pracy przystąpiło 900 górników — lecz w rzeczywistości normę przekraczało 120 ludzi. Dyscyplina pracy była nie dobra, nie brakło łazików i bumelantów, nie dbano o bezpieczeństwo pracy. Duża część górników miała ciężkie warunki mieszkaniowe, zaś ludzie z dyrekcji zajmowali wielopokojowe wille. Na domiar złego praca organizacji partyjnej ożywiła się dopiero na parę miesięcy przed przyjazdem Migonia. Jednym słowem zła kopalnia. Zła? A może po prostu zaniedbana, pozbawiona dobrego politycznego kierownictwa? Słusznie mówił o sytuacji na „Annie Weronice" sekretarz Partii — Brzoza:

„...Z tą „złą kopalnią" jest tak jak było z naszą „złą" organizacją partyjną. Kopalnia ma załogę, która chce żeby się wszystko zmieniło. Zobaczycie sami... ta załoga ma w sobie tak jak każda załoga, czołową, przodującą grupę robotniczą, która zrobi wszystko, żeby uleczyć „Annę Weronikę" z długotrwałej choroby..."

Rzeczywiście. Tam, w dole na kopalni byli ludzie, którzy walczyli o lepsze. Świadomy partyjniak Kokot mobilizujący górników do współzawodnictwa, małomówny Bracik, Łapok, traktujący przez długi czas współzawodnictwo jako sport, ponury Jędraszko, i wielu, wielu innych. Wśród tych innych znajdowali się ludzie których droga do współzawodnictwa z początku nie wypływała ze świadomości politycznej, lecz z prostej, zrozumiałej chęci zarobku, jak w wypadku Pielki. Takich robotników było dużo, lecz brakło szerokiej fali współzawodnictwa, na której mogliby wypłynąć w górę, kształtując swoją świadomość w samym procesie pracy.

Ludzie Partii Migoń, Brzoza, Kokot, Rutka ruszyli do ofensywy. Wróg poczuł to na swojej skórze i również wzmógł swoją działalność. Cel ofensywy był prosty: walka o wykonanie Planu, popularyzacja i ożywienie współzawodnictwa indywidualnego aż po organizacje brygad, upowszechnienie nowych metod wydobycia węgla, wzmocnienie dyscypliny i nielitościwe tępienie bumelantów.

W potężnej ofensywie wróg został zgnieciony, ludzie okrzepli w pracy, przekształcili swoje charaktery, wzmocnili swoją świadomość. Jedni dołączyli się do zwycięskiego kolektywu kopalni (Mielimąka, Felek Dąbrowski, Truda Kröger) inni odpadli i zostali z kopalni usunięci. Ci którzy wygrywali odnajdywali swoje szczęście, nie tylko społeczne, lecz osobiste (Kokot, Dąbrowski), ci co przegrywali — staczali się w błoto demoralizacji (Horbala).

Kiedy 5 listopada 1949 roku na podszybiu ukazał się ostatni wózek z węglem umajony zielenią i kwiatami — oznaczało to, że ludzie kopalni „Anna Weronika" zwyciężyli w walce o Plan.

III

Powieść „Węgiel" odznacza się dużym nowatorstwem treściowym oraz odwagą w artystycznym i politycznym rozwiązywaniu zagadnień. Nowatorstwo „Węgla" polega na tym, że jest to pierwsza powieść o współczesnej tematyce produkcyjnej, w której uchwycone zostały najbardziej typowe zagadnienia i konflikty opisywanego środowiska, w której wysunięcie na pierwszy plan produkcji, nie przesłoniło w najmniejszym stopniu roli człowieka — kierownika i organizatora produkcyjnych zwycięstw. Nowatorstwo książki Rylskiego polega również na tym, że występuje w niej szereg pozytywnych postaci zindywidualizowanych, prawdziwych psychologicznie, że na ich przykładzie wyraźnie zostały pokazane podstawowe cechy „pozytywnego bohatera" naszych czasów.

Zagadnienie, które postawił przed sobą autor „Węgla" było trudne i nie należy się dziwić, że nie uniknął on poważnych błędów. Ścibor-Rylski postanowił pokazać jak w zespołowym wysiłku pokonywano trudności na drodze do wykonania Planu w źle pracującej kopalni. Aby narysować słuszny obraz trzeba było również pokazać całą złożoność wielkiego procesu walki z wrogiem klasowym, z niskim uświadomieniem. Tak więc słuszny wybór tematyki dotyczący kluczowej gałęzi naszego przemysłu i słuszne na ogół odzwierciedlenie jej w powieści to pierwsza zaleta utworu Ścibora - Rylskiego. W „Węglu" od pierwszej stronicy można stwierdzić, że przedmiotem zainteresowania autora są ludzie, przez chwilę nawet nie przesłonięci egzotyką opisów produkcji. Od pierwszej chwili autor udawadnia na podstawie konkretnych faktów związanych z sytuacją w „Annie Weronice", że o wykonaniu planu decyduje człowiek. To znaczy, że aby móc wykonać plan trzeba w pierwszym rzędzie do tego zmobilizować górników politycznie. Polityczna mobilizacja na „Annie Weronice" przebiega poprzez wzmocnienie pracy organizacji partyjnej, ożywienie szkolenia, przeprowadzanie narad produkcyjnych, wzmożenie troski o człowieka.

A przecież na „Annie Weronice" nie działo się najlepiej... Świadczą o tym losy Karlika Mielimąki, który przed wojną był robotnikiem klasowo uświadomionym, biorącym udział w strajkach i nawet za to więzionym. Po wyzwoleniu jako jeden z pierwszych rozpoczął pracę i oto w 1949 r...

„Na tablicy z wielkim czarnym tytułem „Oto ludzie którzy codziennie okradają naszą kopalnie z 200 ton węgla" widniało między innymi nazwisko Karola Mielimąki. Ludzie dziwili się: „Czy to je ten sam Karlik kiery po fertach złaził do kopalni w 45?" (str. 93).

Rzeczywiście był to ten sam i nie ten sam Mielimąka. Ten sam człowiek, lecz człowiek o wyraźnie innej świadomości. Świadomość jego została okaleczona przez biurokrację, przez brak opieki nad robotnikiem. Ale Partia i Migoń wiedzieli, gdzie są braki, myśleli o ich naprawie. Oto jak sam Mielimąka określił powody swojego bumelanctwa i przyczyny dla których postanowił się zmienić:

„...Ja nie ze złej woli... Ja z innej przyczyny: ja, towarzyszu przestałem wierzyć, że to jest coś warte. Mieszkam już tyle czasu w kurniku, tak w kurniku razem ze starką i trzema synkami. Prosiłem dyrektora Zabielskiego, pisałem podania. Ale! Obiecali mieszkanie w nowym osiedlu, wiecie, za lasem. Co z tego, przestali budować... i nic... Nikogo to nie wzruszało, że nas tam trzydzieści rodzin mieszka jak za sanacji, jak za kapitalistów"... A teraz, stwierdza w zakończeniu rozmowy Mielimąka ...*„Robią na całego... Ja już znów zacząłem wierzyć, zaczęli budować, jednym słowem nareszcie widać, że w Ligocie ten socjalizm, no, pierona".*

Od tej też chwili Mielimąka przestał być bumelantem. Na tym drobnym, indywidualnym przykładzie Ścibor - Rylski pokazał do czego może doprowadzić bezduszny stosunek do robotnika, który często gasi jego zapał, usuwając z przed oczu perspektywę budowy socjalizmu. Ścibor-Rylski pokazał, że mobilizacja polityczna górników do wykonania Planu oznacza doprowadzenie perspektywy budowy socjalizmu do świadomości każdego górnika. Doprowadzenie tej perspektywy oznacza również poprawę warunków bytowych — stanowiących podstawę egzystencji. Unaocznić czym jest socjalizm — to znaczy włożyć jak najwięcej wysiłku w podwyższenie stopy życiowej, to wykazać troskę o człowieka, to udowodnić że jedyną drogą do lepszego jutra jest podniesienie wydajności pracy.

Przemiany w świadomości Mielimąki, zarówno negatywne jak i pozytywne, pokazane zostały w ścisłej zależności od jego sytuacji ekonomicznej. Psychologiczna prawda rysunku postaci Mielimąki wyrażona została przez ścisłe powiązanie spraw kopalni z jego indywidualnym losem, z jego bytowymi warunkami. Ścibor-Rylski nie tylko realistycznie pokazał proces przemian, lecz również wskazał tysiącom czytelników książki, dołowym aktywistom, Partii i Związków Zawodowych, że bez opieki nad robotnikiem nie może być sukcesów w produkcji. Słuszne przedstawienie roli człowieka w walce o Plan — wynika z dobrej, gruntownej obserwacji środowiska, z analizy zagadnień kopalni. Przewijający się przez karty książki problem mieszkaniowy również nie został wybrany przypadkowo.

W piątym numerze „Nowych Dróg" z września 1947 roku Fryderyk Topolski stwierdzał, że wykonanie planu 3-letniego w górnictwie uzależnione jest od rozwiązania trzech następujących zagadnień: a) siły roboczej — to jest dopływu nowych kadr, b) mieszkań robotniczych — tj. budownictwa osiedli, c) renowacji i mechanizacji urządzeń sprzętu kopalnianego — tj. zastosowania zdobyczy nowej techniki.

Ścibor-Rylski pokazał jak te zagadnienia (po za istotną sprawą mechanizacji) rozwiązywano na „Annie Weronice"...

Realistyczna obserwacja pozwoliła autorowi „Węgla" uniknąć błędu dość powszechnego w naszych utworach o życiu klasy robotniczej. Chodzi tu o powierzchowność obserwacji, która wyrażała się w przedstawianiu ruchu współzawodnictwa i walki o przełom w produkcji — jako ruchu idącego od góry a nie od dołu. W tych utworach (Wilczka, Konwickiego i inn.) mieliśmy ciekawie zarysowane postacie pozytywnych bohaterów. Ich działalność — ludzi przysłanych „na robotę" — pobudzała do życia drzemiące w spokoju załogi fabryczne, czy też budowlane. Aleksander Ścibor-Rylski pokazał iż w rzeczywistości, w życiu sprawa wygląda inaczej. W powieści „Węgiel" widać wyraźnie, że walka o plan na „Annie Weronice" już *przedtem* prowadzona była przez Partię, przez takich ludzi jak Kokot. Był to wielki wysiłek nie znajdujący oparcia w dyrekcji, w administracji kopalni. Dopiero kiedy zespolone zostały wysiłki Migonia z inicjatywą górników z kopalni można było osiągnąć zwycięstwo. Oznacza to, że w powieści „Węgiel" ruch współzawodnictwa pracy, proces przekształcania świadomości górników pokazany został jako proces idący „z dołu" od szerokich mas rębaczy, ładowaczy, sztygarów, ja-

(Dokończenie na str. 4)

*) A. Ścibor-Rylski, „Węgiel", Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza".

**) G. Morcinek, „Pokład Joanny" Warszawa 1950 — Gebethner i Wolff, N. Rydzewska „Ludzie z węgla", „Książka i Wiedza", Warszawa 1951 r., A. Jackiewicz „Jan bez ziemi", PIW. 1951 r.

HENRYK GAWORSKI

WIDOKÓWKA PROWINCJONALNA

(Miechów 1951)

Schorzałe krajobrazy
w wysypce drewnianych chałup,
gdzie pod słomą
strzech wyleżałych
gnieździ się brud i bieda —
Tu czas, jak paralityk wlecze się pomału:
tysiąc lat liczy ziemia
i tysiąc lat ma niebo.

Po drogach, które płyną
cuchnącymi strugami błota,
konie
z wysiłkiem ciągną wozy stare, jak życie.
Po tych drogach, po błocie
ciekną ludzkie tęsknoty —
niewiadome pragnienia,
żałosne tajemnice.

Są jeszcze w naszym kraju
miasta bez fabryk,
są wsie,
skąd do kolei
godzinami trzeba się ciągnąć,
są drogi,
gdzie niejeden wiek już się babrał,
jest ziemia,
z której przeszłość dotąd nie zdjęła rąk.

To nas,
to nas oczekuje ziemia chora na zastój —
naszych norm
przekraczanych co dzień, co minuta.
Wyrównać musimy drogi,
jak promienie od wsi do miasta,
świszczącymi batami pociągów
wypędzić zastygły smutek.

Nie chleba brak tu ludziom,
lecz wagonów żelaza,
stalowych koni na pola
i maszyn w głodne dłonie —
Czarnym balsamem dymów
owinąć krajobrazy,
ostrzem gorącym, jak serce
urodę ziemi odsłonić.

Bo kłamią,
kłamią oczy,
gdy ziemię z nagła omiotą:
nie bezpański, nie martwy
czasu przeszłego odłóg.
Są ludzie,
co oddechem na drogach suszą błoto,
własną, gorzką młodością
walcząc o jemi młodość.

nad każdym zapomnianym wznosi się kątem.
Ramię nasze — robotnicza klaso —
Wszędzie dociera
ofiarny agitator
organizator naszego frontu.

Okna partyjnych komitetów
nie gasną —
powstaje
z woli świadomej
dokumentacja natarć.
Jutro na drogach błotnistych
silniki traktorów zagrają,
traktorom wskaże kierunek
zetempowska brygada.

Jutro
pomiędzy wzgórza,
jak do niebieskich zatok
wtoczymy kadłuby fabryk — życia okręty.
Za to nam barki mdleją dzisiaj
i za to
gorączką niewyspania błyszczą oczy zawzięte.

Tym, co tu dojrzewają —
kadrze nieulękłej,
która ciemności w oczy
świeci żarówek błyskiem,
tym, co trudem dowodzą,
że jednak życie jest piękne,
że w imię lepszego życia
można poświęcić wszystko —

tym nie wystarczą słowa
i najgorętszy podziw —
tym trzeba cegieł
więcej,
niż przewiduje plan nasz.
Do nich musimy z dłońmi pełnymi węgla podchodzić,
ze stalą, którą nad normę
wytopi upór zachłanny.

Nie obetrzeć nam potu,
nie wyprostować grzbietów,
aż planem przekroczonym
uzbroimy kraj nasz,
aż dni, jak ziarna dojrzałe polecą
polami
zdobytymi przez żeńców na kombajnach.

Ludzie z „Anny Weroniki" zwyciężyli w bitwie o Plan

(Dokończenie ze str. 3)

ko proces wynikający z nowych stosunków społecznych. We właściwych wymiarach została również przedstawiona rola „góry", rola kierownictwa. Bezkompromisowa energia i stanowczość Migonia sprawiły, że cała dynamika entuzjazmu pracy górników została wyzwolona, równocześnie z rozbiciem wroga, z przemianą stosunków na kopalni. Również w ten sposób Ścibor-Rylski wyjaśnił na czym polega wielka siła i przewaga Migonia nad Zabielskim. Migoń górował nad Zabielskim nie tylko świadomością polityczną, nie tylko znajomością życia kopalni — ale tym że jego nowy stosunek do pracy i do ludzi kopalni dał mu potężne oparcie którego nie miał Zabielski. Oparcie i zaufanie ze strony setek górników „Anny Weroniki". To zaufanie pozwalało na właściwą ocenę sytuacji, na prawidłowe rozłożenie sił, na bezlitosne rozgromienie wroga. Wróg zaś działał w dwojaki sposób. Wzywał do bojkotu nowych metod pracy, występował przeciw współzawodnictwu, sabotował, opóźniał wypłatę. Wróg działał również z ukrycia, tkwił niejako w świadomości niejednego górnika ulegającego naciskowi drobnomieszczańskiego otoczenia. Zaleta powieści Ścibora-Rylskiego polega na tym, że zostały w niej pokazane obydwie formy działania wroga. Walka klasowa w „Annie Weronice" i w dziesiątkach innych kopalni toczy się bowiem na obydwu frontach.

Kto prowadzi, kto organizuje do tej walki górnicze szeregi? Gdzie jest serce i mózg kopalni „Anna Weronika"? Na to pytanie również bez trudności znajdujemy odpowiedź w „Węglu". Sercem i mózgiem kopalni jest organizacja partyjna, której rola pokazana została nie poprzez publicystyczne deklaracje lecz przez konkretne działanie jej przedstawicieli.

Tu należy zwrócić uwagę na pewien ciekawy moment w powieści Ścibora-Rylskiego dotyczący roli Partii w kopalni.

Na ogół w naszych współczesnych opowiadaniach i powieściach ograniczano pokazanie roli Partii do ogólnych, deklaratywnych stwierdzeń. W najlepszym wypadku po przeczytaniu takiego utworu odnosiliśmy wrażenie, że w rzeczywistości Partia kieruje całością spraw związanych z danym miejscem produkcji, że ludzie Partii przodują w pracy i wysiłku. Brakło jednak pokazania Partii jako opiekuna i przyjaciela. Aleksander Ścibor-Rylski poszedł dalej od autorów książek nagrodzonych w zeszłym roku. Pokazał on Partię nie tylko w działaniu na tętnie kopalni, lecz również pokazał Partię — troskliwego i czujnego opiekuna wszystkich ludzi pracy. Takie pokazanie Partii i jej oddziaływanie na osobiste życie ludzi (Pielka, Migoń,) stanowi poważne osiągnięcie Rylskiego. To zaufanie do Partii, wiara, że Partia pomoże, szczególnie przekonywająco zostało opisane w przypadku Pielki:

„Późno w noc zadźwięczał telefon. Brzozę aż poderwało...

— Acha, jednak zastałem was, panie sekretarzu — odezwał się po drugiej stronie drutu jakiś człowiek...

— Czego chcecie? Nie możecie zaczekać do rana?

— Nale, jabym też wolał zaczekać, a żona nie. I co z babą począć? Zresztą — właściwie to wszystko jedno, czy was zastałem czy też nie. I tak nie pomożecie.

— No, Pielka nie denerwujcie się, tylko powiedzcie konkretnie co się stało?

— Panie sekretarzu!... Umrze baba, pomóżcie!... Rodzi. Tylko trochę przed czasem... Lekarz zabronił jej rodzić w domu. Komplikacja, serce..."

I Brzoza wstał w nocy, poszedł do mieszkania dyrektora, wziął auto i niedołężnie kierując samochodem pojechał po żonę Pielki...

Sprawa Pielki niezwykle wzrusza szczerością i umiejętnością przedstawiania na konkretnym przykładzie wielkiego zaufania i miłości, jaką darzą górnicy Partię.

Nocna rozmowa Pielki z Brzozą posiada też (przypuszczam, że niezamierzony) efekt symboliczny. Oto tam gdzie powstaje nowe życie, gdzie rodzi się nowe — zawsze czuwa Partia.

*

Założenie odzwierciedlenia życia kopalni w gorącym okresie przemian podyktowało autorowi „Węgla" artystyczne rozwiązanie powieści. Można je porównać do wielofigurowego i wielopłaszczyznowego obrazu. W powieści występuje szereg mocno zindywidualizowanych postaci, które nie spełniają roli statystów — wręcz przeciwnie, pokazane są w działaniu. Tu szczególnie zwraca uwagę postać Łapoka, którego rozwój psychiczny od sportowego niemal traktowania współzawodnictwa, fałszywej ambicji, przeradza się w mocną klasową świadomość.

Typizacja postaci przeprowadzona została szczęśliwie. Migoń reprezentuje setki robotników — dyrektorów zdobywających należne miejsce w społeczeństwie drogą awansu społecznego. Kokot uosabia wielką, ofiarną armię terenowych aktywistów partyjnych przodujących w produkcji, rozwijających się w walce. Kröger — to przedstawiciel nielicznej lecz charakterystycznej grupy odszczepieńców, zdeklasowanych wyrzutków, zdrajców robotniczej sprawy. Szerszeń to reprezentant nowej, młodej inteligencji technicznej. Nawet te postacie, które w powieści występują epizodycznie, dlatego są plastyczne, że ulegają wraz z przemianami w kopalni przemianom psychicznym. Bohaterowie powieści „Węgiel" (może poza Brzozą) dlatego zostali przedstawieni w przekonywujący sposób, że nie stanowią sztucznych kamiennych pomników uosabiających wszelkie cnoty. Bohaterowie „Węgla" mają piękne cechy świadomych robotników, lecz również popełniają błędy, (stosunek Migonia do koła partyjnego w pierwszym okresie, jego sytuacja rodzinna; postawa Jędraszka wobec żony). Ścibor-Rylski potrafił również zwrócić uwagę na te właściwości postawy moralnej, które są nowe, które się rozwijają. Takim nowym zjawiskiem związanym z kształtowaniem się socjalistycznej moralności są stosunki panujące w rodzinie Kokotów. Kokot i jego żona, ich miłość, wzajemne stosunki między nimi, podchwycone zostały z dużą trafnością. Szczególnie dużo liryzmu i socjalistycznego romantyzmu odnajdujemy w scenie wieczornego spotkania Kokota z żoną po zwycięstwie w kopalni.

W tych partiach książki pojawia się zupełnie nowa, nieznana w burżuazyjnej literaturze liryka twórczego wysiłku. Tu mamy do czynienia z uchwyceniem zagadnienia istoty szczęścia, które dla ludzi pracy oznacza nierozłączne traktowanie tego co osobiste i tego co społeczne. Kokotowie, to ludzie chropowaci, nie mający zbyt dużo czasu dla siebie — lecz czy miłość ich nie jest piękniejsza, bardziej ludzka i lepiej artystycznie wyrażona, niż w tuzinach burżuazyjnych romansów? Miłość Kokota do żony, zapał i upór Migonia w walce o plan, pełen napięcia okres mobilizacji kopalni, bohaterska śmierć Łapoka — to również w sumie nowe zjawisko w naszej prozie — to pierwociny romantyzmu socjalistycznego budownictwa. Jest bowiem w „Węglu" urok romantyzmu walki o plan. Ten romantyzm budownictwa ,ta radość ludzi z wykonania planu stanowi o optymizmie powieści. Nie jest to — optymizm płytki, wulgarny, jest to optymizm głębokiego przekonania, że ofiary, które padły w walce, nie były bezowocne. Że były warte sprawy przyszłości Śląska, przyszłości kraju...

Tym wszystkim ideologicznym założeniom na ogół dość dobrze zostały podporządkowane środki wyrazu. Konstrukcja książki zwarta, akcja wartka, obrazowanie dobitne, bogactwo dialogu. Ścibor-Rylski słusznie zrezygnował z natrętnego komentarza autorskiego, unikając publicystyki. W jego powieści ideologiczne rozwiązanie konfliktów wynika za każdym razem działania.

IV

Przechodząc do błędów ideologicznych i braków artystycznych powieści Aleksandra Ścibora-Rylskiego możemy stwierdzić, że wywodzą się one z niedostatecznie wnikliwej analizy politycznej opisywanych zjawisk, z niedostatecznej jeszcze umiejętności posługiwania się literackim rzemiosłem. Podstawowe błędy ideowo-artystyczne w powieści „Węgiel" wypływają z pewnych naturalistycznych obciążeń dość częstych u pisarzy dopiero wkraczających w literaturę.

Na czym polegają naturalistyczne naleciałości powieści „Węgiel"? Polegają one na tym, że Ścibor-Rylski nie potrafił w pełni uchwycić tych wszystkich zjawisk zachodzących na Śląsku, które stanowią oznakę wielkiej przemiany, które sprawiły, że życie górników stało się inne i lepsze. Tych zjawisk, które wynikają z olbrzymiego awansu kulturalnego, poprawy warunków ekonomicznych, krótko mówiąc z nowego ustroju. Obserwacja Ścibora-Rylskiego w wielu wypadkach ograniczona została do powierzchownych, naskórkowych, nietypowych zjawisk. Oto autor „Węgla" widzi wpływ drobnomieszczaństwa na niektórych górników, na to zjawisko zwracą uwagę (Horbala, żona Migonia, Jędraszkula), nie widzi zaś, a w każdym razie nie odzwierciedla w swym szerokim malowidle — domów kultury w pałacach magnatów, wczasów na które wyjeżdżają robotnicy, kursów na których się doszkalają. Autor „Węgla" z dużą pasją i szczerością pokazuje walkę górników o swoje prawa, walkę z zakonspirowanym wrogiem — jednakże nie pokazuje jak realnie w przeciągu czterech lat władzy ludowej w najrozmaitszych dziedzinach zmieniło się życie robotnika, co mu przyniosła ludowa władza. W wielu miejscach złamana została zasada prawidłowego, zgodnego z socjalistycznym realizmem rozmieszczania akcentów, co możemy obserwować między innymi na przykładzie problematyki moralnej. Życie Kokotów nie stanowi ośrodka zainteresowań autora, który więcej uwagi poświeca kreśleniu sylwetek Horbali, Krögera, Jędraszkuli. Autor zbyt wiele zainteresowania poświęca sylwetce zdegenerowanego Horbali. Po co mu poświęca tyle miejsca? Dlaczego w fatalistyczno-biologiczny sposób usiłuje tłumaczyć jego postawę, wynikającą jakoby z nieuchronnej konieczności, niezależnej od działania Horbali? Również za wpływ naturalizmu należy uznać częste zawężanie zagadnień życia osobistego bohaterów „Węgla" do problematyki erotycznej.

Naturalistyczne naleciałości szczególnie są widoczne w obrazowaniu. Kokot wygląda jak *„pająk o wyłupiastych, niesamowitych oczach"*; Dudlikowi *„czerwony kark błyszczał niby burak"*; koty mają *„ruchy zwyrodniałych kobiet"*... itd. itd. A oto artystycznie zupełnie fałszywy i szkodliwy obraz pracy:

„...Kobiety z sortowni, jak zawsze przychodzące do roboty w spodniach, drapały się ukradkiem: pot ściekał im po brzuchach i palił w słabiznę. Odparzały sobie przy chodzeniu uda. Co młodsze obywały się pod kombinezonem bez staników, kołysząc opuszczonymi swobodnie piersiami. Muchy żarły łakomie, uwijając się po ludzkim ciele jak po surowym mięsie..."

Prawda artystyczna nie oznacza przecież jakiegoś zwracania uwagi na wszystkie zjawiska. Trzeba umieć spojrzeć na ciężki wysiłek od innej ,pozytywnej strony, w sposób wynikający ze zrozumienia istoty pracy. Wtedy oddając cały ciężar wysiłku nie wpadniemy w naturalizm.

Również z tego samego źródła wypływa błędna koncepcja języka w powieści Scibora-Rylskiego:

W powieści jest sporo niezrozumiałych powiedzonek, przekleństw, terminów technicznych, które tylko w części służyły odtworzeniu lokalnego kolorytu. Jest to oczywiście naturalistyczny stosunek do języka. Przecież nie chodzi o fotograficzne odtworzenie języka górników, o bezkrytyczne przenoszenie gwary śląskiej do języka literackiego. Można i należy posługiwać się pewnymi gwarowymi wyrazami charakterystycznymi dla danego terenu. Ścibor-Rylski zresztą z dużym powodzeniem kroczy tą drogą. Bardzo słuszna jest również jego tendencja do dbałości o zbliżenie języka literackiego do mowy potocznej, do sposobów mówienia i obrazowania właściwych dla opisywanego środowiska. Czy oznacza to jednak, że w powieściach górniczych należy zaśmiecać język germanizmami, gwarą, przekleństwami? Oczywiście, że nie. Dodać trzeba, że Ścibor-Rylski szczególnie często każe swym bohaterom używać wyrazów obelżywych, widocznie, aby postacie „wypadły" odpowiednio surowo.

Oto takie słownictwo znajdujemy w pierwszych dwóch rozdziałach:

„Kińcie", „obijoki", „psiniec", „chacharzyć", „baraba", „spong", „berasz", „rępocić", „beszperajstwo", „gibelek", „Lajer", „wyciapnąć", „chropały", „gryzok", „giździoch", „bzdzina", „laga", „naisto", „flece", „ślimtaś", „marcha", „zaświerknie", itp.

Taki język utrudnia czytanie nie mówiąc już o takich zabawnych potknięciach jak: „zaszeleściła czarnym roczkiem". W ten sposób język książki zwęża zasięg oddziaływania powieści. W następnym wydaniu autor z pewnością oczyści swoją powieść z gwarowego niezrozumialstwa.

Tu należy zauważyć, że Ścibor-Rylski zrezygnował z innej, cennej formy podkreślenia specyfiki i odrębności Śląska. Chodzi tu o krajobraz. Kto był na Śląsku wie, że plastyczny obraz miast zasnutych dymem, oczernionych sadzami domów, łun z pieców hutniczych, rzuca się w oczy od pierwszego wejrzenia. Odbicia tego zjawiska w książce Rylskiego nie znajdujemy.

Teraz jeszcze parę słów o rozwiązaniu dwóch ideologicznych konfliktów: zagadnienia zbiorowego, zdemaskowania wroga i zagadnienia indywidualnego — odejścia Migonia od żony.

W pewnym miejscu Ścibor-Rylski po katastrofie na kopalni informuje, że władze bezpieczeństwa zaaresztowały kilku ludzi. Tu wymienia prawie wszystkie negatywne postacie. Absolutnie nie wiadomo czy działalność wroga była jakoś zorganizowana, czy poszczególni ludzie działali w porozumieniu, jakie mieli plany, jakie interesy reprezentowali. Czytelnik może się tylko domyślać i to zupełnie mgliście o jakiejś nadrzędnej roli Rymkiewicza w tej działalności. Odnosi się wrażenie, że autor nie bardzo właściwie zdawał sobie sprawę, jak przebiega robota wroga, jakie są metody jego działalności To oczywiście jest brakiem ideowym omawianej powieści.

Taki sam brak rozwiązania widoczny jest w stosunkach między Migoniem a jego żoną. Pewnego dnia sekretarz Partii zwraca Migoniowi uwagę na zachowanie się jego żony i ten od niej odchodzi. Właściwie nie wiemy jakie zjawiska wpłynęły na takie postępowanie żony Migonia, nie wiemy czemu Migoń nie potrafił oddziaływać na nią. W zupełnie nieprzekonywający sposób autor każe nam wierzyć, że Migoń pewnego dnia bez słowa odejdzie od żony. Czy zresztą cały ten konflikt słusznie został tu pokazany — trudno powiedzieć. W każdym razie zupełnie nie został rozwiązany.

Sumując zalety i wady książki Scibora-Rylskiego trzeba powiedzieć, że zalety zdecydowanie przeważają, że książka stanowi bardzo wartościową pozycję. Autor wybiegł daleko naprzód przed szereg współczesnych książek dzięki śmiałości, prawdzie artystycznej i ideowej postawie.

Grzegorz Lasota

JANINA PREGER

Pamiętnik pozytywnego bohatera

I

Wyszła niedawno w języku polskim część książki Aleksego Fiodorowa „Podziemny komitet obwodowy działa".*) Przekład drugiej części ukaże się niebawem. Książka Fiodorowa — wspomnienia generała partyzanckiego — wydawana w Związku Radzieckim przez wydawnictwo wojskowe — ma jednak znacznie szersze niż specjalnie wojskowe, historyczno-dokumentarne.

„Podziemny komitet" jest wybitną pozycją wśród współczesnej beletrystyki radzieckiej, która ukazuje kształtowanie się człowieka socjalistycznego.

Książka została napisana przez spółkę autorską: Fiodorowa, sekretarza czernihowskiego komitetu obwodowego partii, a od roku 1941 organizatora i przywódcę znacznego ugrupowania partyzanckiego na Ukrainie — i przez jego przyjaciela, literata, Eugeniusza Bosniackiego. Bosniacki, jak informował Fiodorow, mieszka z nim od paru lat wspólnie, i na tyle zdołał się do niego zbliżyć i poznać go, że zapisując jego słowa oddaje w sposób jak najwierniejszy intencje i charakter przedsięwziętej przez Fiodorowa opowieści. Fiodorow jest twórcą koncepcji książki. Gromadził on jeszcze w czasie wojny obserwacje i materiały pamiętnikarskie. Po wojnie w celu uzupełnienia materiału do książki podjął szeroką korespondencję z byłymi towarzyszami broni. W odpowiedzi otrzymał około tysiąca listów. Widać stąd, z jaką pilnością gromadzi on dokumenty o człowieku, jak gorliwie sprawdza dane swojej pamięci — by w opisie czynów nieprzeciętnych nie odstąpić od ludzkiej prawdy.

Fiodorow daje materiał i koncepcję, narrację tworzy Bosniacki. Wersję Bosniackiego redaguje znów Fiodorow. (Fiodorow do dziś nie porzucił czynnej pracy na swojej placówce partyjnej, a zajęcia jego rozszerzyły się i przez to, że — człowiek około czterdziestopięcioletni — podjął po wojnie studia uniwersyteckie, które miał ukończyć w zeszłym roku). W ten sposób powstaje książka o tak jednolitym wyrazie artystycznym i tak charakterystycznym obliczu, że trudno byłoby odgadnąć w niej dwóch autorów. Zamysł wspomnień, wybór epizodów i postaci, sens obrazu, który z nich powstaje, postawa, jaką reprezentują bohaterowie, uśmiech, który rozładowuje patetyczność, plastyka obserwacyj — to wkład Fiodorowa. Narracja, doskonale odpowiadająca treści, prosta, naturalna i nie zwracająca niczym na siebie uwagi (co jest największą zaletą), nie przeciążona szczegółami, a uwypuklająca momenty o wartości emocjonalnej, kompozycja — to wkład Bosniackiego, literata, który jako beletrysta samodzielnie nie występował.

II

Książka Fiodorowa, już bez względu na jej wartość beletrystyczną, interesuje czytelnika jako autentyczne wspomnienia człowieka czynu, najpierw odpowiedzialnego działacza partyjnego z pochodzenia robotnika, później wybitnego wojskowego partyzanta.

Księga pierwsza, to dzieje wędrówki sekretarza podziemnego Obkomu Partii Fiodorowa do wyznaczonego mu oddziału partyzanckiego poprzez ziemie rodzinne, zajęte przez wojska hitlerowskie. Są to pierwsze miesiące wojny niemiecko - radzieckiej, jesień 1941 roku. Po drodze Fiodorow zapoznaje się z terenem i warunkami przyszłej pracy, nawiązuje nici i ogniwa przyszłej sieci roboty konspiracyjnej. Te dwa miesiące wędrówki kierownika bez podkomendnych, który jednak ani na chwilę nie zapomina o zadaniach kierownika — to prawdziwa odyseja. Droga, którą sekretarz przewędrował, odkryła jemu i czytelnikom wspomnień cały nowy świat, świat wywrócony przez niszczycieli, świat po powodzi. I w świecie tym, od razu, podnoszą się, stają się wyczuwalne elementy oporu, zaczepienia, punkty, od których budować będzie można natychmiast ogromny ruch sabotażu, partyzantki i konspiracji na tyłach barbarzyńskiego wroga, któremu się wydaje, że sterroryzował kraj. Sekretarz na nowo odkrywa ludzi radzieckich, ludzi z mas, wypróbowanych w okrutnym doświadczeniu.

Bohater pozytywny czy bohaterowie pozytywni? W książce Fiodorowa widzimy portrety zwykłych ludzi radzieckich, ludzi spotykanych przez autora w czasie pierwszych miesięcy okupacji. Ludzie masy, ludzie, na których opiera się codzienne życie kraju albo codzienna jego walka — jak w ostatniej wojnie — ci ludzie, a nie jedna literacka postać centralna — przybierają pozytywną, czynną, socjalistyczną postawę wobec trudności, niepowodzeń i ciężarów, które stawia przed nim życie. Widzimy pozytywnych bohaterów w mrozie i w głodzie, w błocie i krwi — i wierzymy w ich cielesną rzeczywistość. Pamiętnikarz, dotychczas człowiek czynu a nie pióra, wziąwszy za pióro potrafił ukazać z całą plastyką ich prawdziwość i ich indywidualności żywe, ludzkie, rozmaite. Potrafił odnotować ich zachowanie, i trafnie, przez głęboką sympatię — odgadnąć życie wewnętrzne, które takie zachowanie i postępowanie warunkowało. Jako sekretarz partii i jako dowódca partyzantów miał duże zawodowe doświadczenie psychologiczne, psychologia była materiałem jego obliczeń, jego planowania jako dowódcy. Musiał znać pobudki tego czy owego żołnierza, tego czy owego oficera, musiał wiedzieć, do czego są zdolni jego ludzie, a co ich może hamować i obciążać. Dokumentarność tej książki jest w tym wypadku wysoką rangą artystyczną dzieła, a nie synonimem mieszanego, na pół literackiego charakteru. Wspomnienia Fiodorowa są świetną epiką, pasjonującą lekturą beletrystyczną — ale i czymś więcej: są świadectwem epoki socjalizmu, jego kultury duchowej, jego ludzi.

Tematem wspomnień Fiodorowa jest działalność komunistów w organizowaniu ruchu oporu w czasie ostatniej wojny, ale portrety ludzi radzieckich i rysy charakterystyczne ich życia są tak znamienne, że nie ograniczają się do okoliczności wojny czy partyzantki, lecz informują nas o charakterze dzisiejszego człowieka radzieckiego w ogóle. Fiodorow ukazuje, że postawa socjalistyczna, bolszewicka, która była tak dominująca wśród ludności Związku Radzieckiego w ostatniej wojnie, nie jest jednak czymś, co się otrzymuje jako dar już przez sam fakt urodzenia się i wychowania, czy to spędzenia większości życia w stosunkach radzieckich. Nad zachowaniem i wytwarzaniem tej postawy człowiek radziecki musi pracować, i pracuje partia, czynnik kierowniczy, przodujący i uświadamiający. Partia mobilizuje w ludziach to, co w nich jest najlepszego, wydobywa ich zdolności, i wskazuje celowe zastosowanie dla nich w danej chwili. Podziemny komitet obwodowy jest organizatorem nie tylko partyzanckich sił zbrojnych w oddziałach leśnych lecz organizuje mężną, bohaterską postawę całej ludności na terenach okupacji. Podziemny komitet reprezentuje dla okupowanej ludności nie dającą się ugiąć siłę idei komunistycznej, nie ustępującej nawet z miejsc, zalanych potopem hitlerowskim. Armia Czerwona była zmuszona do cofania się, ale partia, odpowiedzialna za naród, nie wypuściła steru z rąk. Na ziemiach zajmowanych przez hitlerowców partia pozostawiała wypróbowanych, mężnych pracowników do roboty podziemnej, pozostawiła całą nielegalną organizację, która reprezentowała dla ludności władzę radziecką.

Partyzantka radziecka nie ograniczała się do działalności wojskowej, do sabotażu i dywersji wobec Niemców — prowadziła ona szeroko zakrojoną robotę polityczno - wychowawczą, pracę ideologiczną wśród ludności.

Jak nam odsłania Fiodorow w swojej powieści taktykę partyzantki radzieckiej? Nie żywioł, lecz racjonalna i celowa akcja. Nie ofiarnicze porywy, lecz wyrabianie w sobie umiejętności szkodzenia wrogowi, w każdym momencie. Umiejętność oszczędzania swoich sił, przewidującego używania ich na szkodę wroga. Oto jak pojmował teraz swoje zadanie człowiek socjalistyczny w Związku Radzieckim: wojna, to nie jest szał zabójczy, lecz nowy, trudny, odpowiedzialny rodzaj pracy, którego trzeba się nauczyć, gdyż trzeba, aby ta nauka wydała owoce. Wychowywano dopiero w sobie ten stosunek do sprawy, stosunek bardziej ludzki i mądrzejszy, niż brawura, skuteczniejszy dla obrócenia historii w pożądanym kierunku. Niemniej i w porywie bohaterskim jednostki umiało kierownictwo partyjne ocenić wielką rolę propagandową

Książka Fiodorowa daje obraz samowychowania i wychowania ludzi przez partię, obraz ciągłego „uczenia się, jak żyć i działać" — bo nikt tego nie umiał w nowych warunkach, pod okupacją. Nie było jeszcze doświadczeń, ani wojskowych, ani obywatelskich — jak powinni żyć i działać bolszewicy w nowych warunkach. Sam dowódca uczył się techniki partyzanckiej, i sama ludność uświadamiała sobie, jakie stosować metody wobec okupantów.

To zbiorowe bohaterstwo, ta postawa socjalistyczna chłopów ukraińskich, których hitlerowcy próbowali tumanić obietnicą przywrócenia „raju kapitalistycznego", gospodarki indywidualnej na roli — było organizowane i rozumnie kierowane przez działających w podziemiu komunistów. Moment uświadamiania chłopom ich roli i zadania w nowej sytuacji — jest ogromnie interesującym punktem w toku akcji książki. W ludzie radzieckim był materiał na bohaterów — ale trzeba mu było wskazać jego bohaterskie zadania.

Chłopi w kołchozach byli zaskoczeni. Dotychczas ich ideałem była praca, wydajność, zdobywanie coraz lepszych kwalifikacyj technicznych, doskonalenie społecznej gospodar... Teraz pracę trzeba było sabotować majątek kołchozu rozdać gospod... rzom, aby go ukryć przed Niemc... mi, przestać uczyć dzieci, aby na... ka nie była hitlerowska. Przest... wienia się na nieróbstwo było tr... ne. Dopiero powoli uświadam... się, że stoi teraz przed nimi ... praca: tą pracą jest codzienna w... ka z hitlerowcami w kraju. Z op... wieści wojennej, pisanej przez wo... skowego, przemawia z wielką mo... nienawiść do wojny, która n... tyle pięknych, wzruszających ... ludzkich. Epizod, kiedy Fiodor... przyłapał płaczącą na warcie w ... cy dziewczynę partyzancką —dzie... ko w wieku jego córki — kończ... on tymi słowy: „Długo jeszc... wspominano w oddziale, jak „sta... na straży" obozu Wala Procenk... A wspominając oczywiście zaśmi... wano się. — Po kilku miesiąca... Wala bardzo się zmieniła, zmężni... ła, zahartowała się w bojach. Sam... nie mogła bez śmiechu wspomin... o tym wypadku. — Tego ro... przedwcześnie skończyło się d... ciństwo milionów naszych chłop... ców i dziewcząt. Ojczyzna potrzeb... wała ich sił".

To są strony tragiczne tej wa... o bohaterstwo. Fiodorow nie ukry... wa trudności, nie osłania ich. N... milczy o zdrajcach, wspomina o l... dziach, którzy z partyzantki chcie... zrobić bandytyzm, wspomina o b... ku doświadczenia dowództwa w p... czątkowym, najbardziej niebezpiec... nym okresie, o tendencjach do ukry... wania się w lesie „aby przetrwać"... zamiast postawy ofensywnej, o ... narchicznych ambicjach „wodzow... skich" — słowem, nie ukrywa przed czytelnikiem największych trudn... ści, które trzeba było zwalczyć, ab... dojść do bohaterstwa i zwycięstw... I dlatego ta książka jest taka po... czająca i ludzka. Gdyż dopiero n... tle tych trudności można zrozumie... konieczność i wysoką wartość tego... czym jest postawa bolszewicka: p... stawa wiary w swoją sprawę... w swój obowiązek i w konieczno... czynnego chwytania za łeb zła, n... poddając się nastrojom defetystycz... nym. Dlatego właśnie komuniści by... li organizatorami zwycięstwa, że n... dawali się zastraszyć porażkom... i trudnościom, że umieli wydobyć... z ludzi to, co w nich było najlep... sze, bohaterskie, i że umieli celo... wo kierować bohaterstwem. Komu... nista nie miał w partyzantce prz... wilejów, a miał obowiązki większ... od innych — opowiada Fiodorow — a mimo to nie zdarzało się praw... nigdy (Fiodorow notuje trzy w... padki), by ludzie przychodzący d... oddziału ukrywali swoją przynale... ność do partii, choć mogli to z... bić.

III

Dla uniknięcia nieporozumień trzeba podkreślić, że książka je... jak najdalsza od papierowego dy... daktyzmu. W szeregu portretów... kreślonych przez człowieka czyn... generała partyzanckiego, któremu zdawałoby się, sprawy mogłyby przesłaniać ludzi — przejawia się serdeczne zainteresowanie człowie... kiem, jednostką, charakterami i lo... pami ludzi napotkanych, ich jedy... ną, indywidualną wartością. P... przeczytaniu tej książki czytelnik od... nosi jedno wrażenie natury ogól... nej. — Bohaterów opowieści je... wielu, ukazują się i znikają ja... w życiu. Jedni znikają tylko z ocz... autora i odchodzą w życie, innych dosięga los wojny — śmierć. Lecz każda z zarysowanych postaci wy... różnia się jakąś indywidualną ce... chą, jakąś wartością ludzką, czy... nem lub postawą, która jest godn... przechowania w pamięci i dlatego... ją autor wywołał ze wspomnień. I opowiadając o swoich towarzy... szach walk, ludziach najczęściej młodych, pięknie zaczynających ży... cie — często kończy opowieść in... formacją, o ich żołnierskiej śmier... ci. To naturalne, przecież to epizo... z dziejów okrutnej wojny. I czytel... nik wie, że wywołujący te posta... cie narrator nie może im użyczyć pocieszającej wiary w jakąś pozaziemską nieśmiertelność. A jednak właśnie ta książka jest świa... dectwem, jak w świecie socjalist... cznym nie giną wartości ludzkie. T... książka jest świadectwem serdecz... nej pamięci, która po ludzku unie... śmiertelnia i daje ludzkie zadośćuczynienie wartościom, urzeczywist... nionym przez szereg jednostek z masy, przez szeregi pozytywnych bohaterów.

Poznajemy ludzi zdecydowanych śmiałków, zuchwałych, gaduł... starych chytrusów, dziwaków, pam... toflarzy, „filozofujących", wrażli... wych.

To, co ukazuje Fiodorow w swoich towarzyszach walki, to właśnie ... ginące pod „mundurem" człowie... czeństwo. Fiodorow ukazuje nam ... drogę do sprawności żołnierskiej, która była koniecznością, ale nie stawała się dla człowieka radzie... kiego jedynym sensem i horyzontem życia. Ich ludzkość była czymś bo... gatszym od ich partyzanckiego mun... duru i wojennego losu, choćby ... wypełniali z wzorowym bohater... stwem. To wielka zasługa książki i na tym polega jej siła.

Janina Preger

*) Aleksy Fiodorow, „Podziemny Komitet Obwodowy działa", nakł. Państw. Inst. Wyd., Warszawa, 1950.

GŁOSY W DYSKUSJI O SATYRZE

Drukując głosy na temat roli i zadań współczesnej satyry w Polsce, jakie otrzymaliśmy od naszych czytelników, kontynuujemy dyskusję zainicjowaną artykułami Antoniego Marianowicza („Nowa Kultura" nr 39/1950), Tadeusza Borowskiego („Nowa Kultura" nr 4/1951) i Jana Szeląga („Nowa Kultura" nr 6/1951).

Satyra musi pomagać w budowie socjalizmu

Teraz już każdy pilny czytelnik naszej prasy literackiej może z ulgą i satysfakcją stwierdzić: „No, nareszcie i w tej dziedzinie zaczyna się coś dziać". Dotychczas bowiem masowy czytelnik pism literackich odnosił wrażenie, że twórczość satyryczna nie należy do literatury, ale że jest tylko jej ubocznym produktem, ba, gatunkiem podlejszym.

Do niedawna wszelkie dyskusje, dotyczące zagadnień ogólno - literackich z niezrozumiałym dla ogółu czytelników uporem, omijały regiony twórczości satyrycznej. Krytyka literacka nie omawiała bieżącej produkcji satyrycznej, nie analizowała jej linii rozwoju, a przede wszystkim nie postulowała wobec satyry metody realizmu socjalistycznego. Twórczość satyryczna była kopciuszkiem naszej literatury.

Dlatego dobrze się stało, że zainicjonowano dyskusję o naszej satyrze współczesnej. Na dyskusji tej ciąży obowiązek ujawnienia tych wszystkich zaniedbań, które spowodowały opóźnienie przemian ideowo - artystycznych w naszej współczesnej twórczości satyrycznej.

Pierwszy, przełomowy etap nasza satyra już ma jednak za sobą. Wydostała się bowiem zdecydowanie z kręgu mieszczańskich poglądów na rolę satyry, które każą widzieć w twórczości satyrycznej tylko źródło bezinteresownego śmiechu. Ta obłudna, maskująca istotne cele burżuazji zasada „sztuka dla sztuki", została przez naszą satyrę zastąpiona hasłem partyjności sztuki. Stąd nastąpił w naszej powojennej twórczości satyrycznej zasadniczy zwrot tematyczny. Odstąpiono od plotki kawiarnianej na rzecz treści naszej współczesnej rzeczywistości społeczno-politycznej. Stąd też zmienił się zasadniczo adresat twórczości satyrycznej. Odwróciła się ona od swego przedwojennego burżuazyjnego odbiorcy, rekrutującego się z wąskiego kręgu snobów i smakoszów kawiarnianych. Wprawdzie nowym odbiorcą został wahający się, ale deklaratywnie aprobujący przemiany społeczno - polityczne Polski powojennej, inteligent, ale tendencja rozwoju naszej satyry zmierza coraz wyraźniej do włączenia w krąg swych czytelników szerokich mas robotniczo-chłopskich.

Nasza twórczość satyryczna na jej obecnym etapie rozwoju stoi wyraźnie na gruncie rzeczywistości społeczno - politycznej Polski Ludowej. Podejmuje śmiało tematykę produkcyjną związaną z wykonaniem planu 6-cioletniego, ośmiesza wroga klasowego, broni sprawy pokoju przez demaskowanie i ośmieszanie imperializmu amerykańskiego.

To wszystko należy zapisać naszej twórczości satyrycznej na plus.

A teraz przypatrzymy się brakom naszej satyry.

Czytelnik, czytający pilnie prasę satyryczną („Szpilki", „Mucha") i konfrontujący jej treść z codziennym, konkretnym życiem kraju, musi z przykrością stwierdzić, że nasza satyra obraca się niewolniczo tylko w bardzo wąskim kręgu zagadnień naszej rzeczywistości. Do takich żelaznych już prawie tematów należy np. temat biurokracji. Takie przeżuwanie starych, ograny ch tematów jest nietwórcze, a dla czytelnika nudne. Nasza satyra musi koniecznie poszerzyć zakres tematyczny swej twórczości. Przecież życie jest u nas tak bardzo bogate w zagadnienia, że o ich wyczerpaniu nie może być w ogóle mowy.

Polem dotąd prawie nietkniętym przez naszych satyryków, jest sprawa pozostałości burżuazyjnej mentalności, moralności, kapitalistycznego stosunku do pracy w świadomości budowniczych podstaw socjalizmu. Dam konkretny przykład. Wydział rolniczy U.P. zakłada w spółdzielni produkcyjnej Tarnowo tzw. chatę - laboratorium. Przez część spółdzielców, politycznie mało uświadomionych, fakt ten został przyjęty bez entuzjazmu, biernie, a nawet z pewnymi oporami. Tym ludziom, skazanym w warunkach kapitalistycznej gospodarki na wieczne grzebanie w gnoju, nie mogło pomieścić się w głowach, że mogą kiedyś posługiwać się w swej pracy na roli również między innymi i mikroskopem Podobnych przykładów dostarczają nam notatki korespondentów terenowych w prasie codziennej Jeżeli twórców satyry nie stać na studiowanie walki nowego ze starym w terenie, na żywych ludziach i prawdziwych zdarzeniach, to niech przynajmniej pilnie czytają korespondencję z terenu w prasie.

Sprawa wąskiego wachlarza tematycznego naszej satyry łączy się ściśle z zagadnieniem ucieczki od naszej, krajowej tematyki do tematyki międzynarodowej. Fakt ten byłby godnym pochwały przejawem internacjonalizmu naszych twórców, gdyby nie to, że zjawisko ma za przyczynę brak znajomości naszej konkretnej, codziennej rzeczywistości. Przecież jest oczywiste, że łatwiej jest napisać satyrę o tematyce międzynarodowej na podstawie doniesień prasy, aniżeli satyrę o tematyce krajowej. Bowiem w tym drugim wypadku nie chcąc wałkować starych tematów trzeba samemu szukać nowych treści, a to można zrobić tylko przez studiowanie naszej rzeczywistości. Tego trudu jednak niestety wciąż jeszcze za mało zadają sobie nasi satyrycy.

Sprawą węzłową, od której pomyślnego rozwiązania zależy to, czy nasza satyra będzie twórcza i czy będzie spełniała zadawalająco swą funkcję broni politycznej, jest zagadnienie ukazywania w twórczości walki klasowej i wroga klasowego.

Pod tym względem niestety nasi satyrycy mają jeszcze wszystko do zrobienia.

Wróg klasowy na wsi, kułak, jest wciąż jeszcze pokazywany według najwygodniejszego, utartego szablonu. W wyobraźni satyryków kułak dominuje jeszcze w postaci jegomościa o byczym karku, z fajką w ustach, w tyrolskim kapelusiku na głowie i koniecznie z brzuszkiem. Jedynymi przejawami klasowej wrogości takiego typa jest tylko jawne wyzyskiwanie biedoty wiejskiej i opieranie się każdej akcji przedsiębranej na wsi przez władzę ludową. Ale niech nasi satyrycy pamiętają, że kułak potrafi również dla swych celów wykorzystać średniaków, a nawet nieuświadomionych biedaków. Donoszą o tym ostatnio meldunki z akcji skupu zboża. I tak w pewnych gromadach trójki zbożowe były pod wpływem kułaków, z których inspiracji główny ciężar zdania zboża przerzucono na średniaków i biedniaków. W takich wypadkach kułacy wcale się nie opierali w wykonaniu nakazu. Nie, oni wtedy nawet zdawali zboże z nadwyżką. Widziałem właśnie takiego parę dni temu — miał on nawet czelność deklamować o swej solidarności z biedotą gromady i zapewniać, że „u nas nie ma gorszycieli".

Życie poszło dalej. Formy walki klasowej zasadniczo się zmieniły. Zmieniła się również taktyka wroga klasowego. Ale nasi satyrycy uparcie wciąż widzą kułaka tylko takiego: „Z byczym karkiem, z fajką w ustach..."

I jeszcze jedna wada organiczna obciąża naszą satyrę. Trzeba o tym śmiało mówić, że satyra nasza jest za mało twórcza, że nie jest demaskatorska. Podejmuje ona tylko wtedy jakiś temat, gdy ten już zdążył stać się wiadomością publiczną.

Wygląda to na wleczenie się w ogonie wydarzeń. Jest to niebezpieczny dla satyry epigonizm w stosunku do rzeczywistości. Trzeba, ażeby satyrycy sami wykrywali i odsłaniali nowe ogniska walki klasowej.

Nowy odbiorca, budowniczy podstaw socjalizmu, wysuwa pod adresem naszej twórczości satyrycznej jeden zasadniczy postulat: niech satyra pomaga mu budować socjalizm.

Ryszard Jędraszczyk

O satyrę polityczną dla wsi

Z zainteresowaniem obserwuję dyskusję o zagadnieniach współczesnej satyry polskiej. Spośród trzech wypowiedzi jakie ukazały się dotąd na łamach „Nowej Kultury" najsłuszniejszym i najlepiej sformułowanym wydaje mi się stanowisko Tadeusza Borowskiego.

Tezy i postulaty jakie Borowski stawia przed współczesną satyrą polską i redakcją „Szpilek" jako jej głównym filarem, są na obecnym etapie walki klasowej, walki dwóch światów, słusznie i w pełni uzasadnione. Jestem stałym i uważnym czytelnikiem „Szpilek" i w pełni podzielam zdanie Borowskiego, że „satyra „Szpilek" zbyt wyłącznie szafuje humorem, nie umie w sposób zjadliwy, nienawistny sparodiować i zohydzić imperializmu". Uważam, że słusznie postąpił Borowski kładąc szczególny nacisk w swym artykule na stronę polityczną utworów satyrycznych i wyższość pod względem oddziaływania celnej satyry poważnej nad satyrą, która rozśmiesza kosztem swej celności i wydźwięku politycznego.

Dla przykładu małe zestawienie dwóch rysunków satyrycznych: W. Gorjajewa zatytułowanego „W Korei" i J. Srokowskiego zamieszczonego w n-rze 50 „Szpilek" z ub. r., któremu również można by dać ten sam tytuł.

Rysunek Gorjajewa powszechnie znany, realistyczny, kompozycyjnie dobrze pomyślany, przemawia nawet bez komentarza Na pierwszym planie matka koreańska z przestraszonymi, płaczącymi dziećmi, dalej trup zabitego człowieka, a to wszystko na tle bombardowanego miasta, rozsypujących się w gruzy domów. Niejednej matce skojarzy się ten widok z jej przeżyciami z okresu ostatniej wojny... Podpis demaskuje przyczynę zła, każe je zwalczać i nienawidzieć.

— Mamo, co to za straszny huk?

— Zapamiętaj dobrze, to „Głos Ameryki".

Rysunek Srokowskiego, razi prymitywizmem, brakiem dbałości o linię rysunku, wprost brzydotą. Pod swego rodzaju mottem mówiącym o zapowiedzi Mac Arthura, że żołnierze amerykańscy będą na Boże Narodzenie w domu, widzimy dwóch amerykańskich jankesów uciekających (przed kim, na rysunku nie widać) z wykrzywionymi gębami, trudno powiedzieć, czy ze strachu, czy ze śmiechu. Na drugim planie widzimy zderzający się z ziemią strącony samolot (czyj także nie odróżnisz!) Na razie nic z tego nie wiemy, i nie jesteśmy skłonni ani do płaczu, ani do śmiechu. Dopiero sytuację wyjaśnia podpis: — Uciekajmy prędzej, Joe, abyśmy zdążyli na gwiazdkę do domu!... Uśmiechamy się pod nosem z przyzwyczajenia (bo jakże? To jest przecież satyra!) i przechodzimy obojętnie do dalszej lektury...

Czy jestem wrogiem śmiechu? Nigdy! Po prostu nie cenię, mało tego, nie przyznaję racji bytu utworom, w których uprawia się „śmiech dla śmiechu", a doceniam potrzebę śmiechu, który wyszydza i demaskuje wrogów. Śmiech powinien wybuchać jak dynamit pod imperialistycznymi planami podżegaczy wojennych. Brzmi to wprawdzie nieco patetycznie, ale jasno określa jakiego humoru nam potrzeba.

Przeglądam kolekcję rysunków Kukryniksów — plon trzyletniej zbieraniny. I chociaż je przeglądam już może setny raz — są wciąż nowe, świeże, nie starzeją się, nadal rozśmieszają i uczą śmiertelnej nienawiści do wrogów postępu, sprawiedliwości i pokoju.

Szkoda, że w tak małym stopniu nasi satyrycy wzorują się na swoich radzieckich kolegach, szkoda, że zasklepiają się w własnych warsztatach obciążonych formalistycznymi tradycjami i operują częściej niezrozumiałym dla przeciętnego czytelnika kalamburem, a nie doceniają potrzeby parodiowania w prostym, zrozumiałym rysunku i komentarzu oblicza wroga, jego postępowania i komizmu histerii polityki „zimnej wojny". Schematyzacja formy, kompozycji i typów ludzkich — oto grzechy główne naszej satyry

Tyle o problemach satyry w ogóle.

Antoni Marianowicz w swoim referacie „Sprawy satyry" („Nowa Kultura" nr 39 z ub. r.) wspomina jednym zdaniem: „Bardzo słabo przedstawia się u nas sprawa z tematyką wiejską".

I rzeczywiście. Tak słabo, że aż wstyd!

W chwili gdy na wsi coraz bardziej przybiera na sile walka klasowa, gdy wieś przestawia się na tory gospodarki socjalistycznej, satyra milczy, albo nieśmiało coś tam bąka... Zwalczenie i izolacja społeczna kułaka, ukazanie jego oblicza drapieżnego wyzyskiwacza i wroga postępu nie jest rzeczą łatwą. Satyra dużo tu'aj może. Otwiera się przed nią szerokie pole do konkretnej, celowej roboty. Niestety naszym satyrykom brak konceptu...

Bojowym zadaniem satyryków na najbliższą przyszłość powinno być dostarczenie wsi tej celnej i niezawodnej broni zaczepno - odpornej jaką jest bezsprzecznie w walce klasowej dobra satyra polityczna. Kułak, spekulant, biurokrata, plotkarka, pijak, sabotażysta gospodarczy zdemaskowany i zohydzony w oczach mas chłopskich straci rychło grunt pod nogami. A oto nam przecież chodzi w obecnej polityce na odcinku wiejskim.

Pracuję społecznie na wsi (w kole ZMP i świetlicy w gromadzie Miechowiec pow. kolbuszowski) i wiem jak łatwo przyjmuje się wśród młodzieży wiejskiej, a także wśród starszych, każde trafne powiedzonko, czy wierszyk, jakie salwy śmiechu wywołuje trafny rysunek łączący w sobie komizm postaci i sytuacji. Teren sam często tworzy wybitnie klasowe, samorodne śpiewki i opowiadania humorystyczne o kułakach, powstałe na tle takich akcji, jak planowy skup zboża, wymiana waluty, spis powszechny i oparte najczęściej na autentycznych zdarzeniach Trzeba tylko i umieć czerpać z życia codziennego świeżą, aktualną tematykę, trzeba poznać walkę klasową w terenie, układ sił społecznych, kułackie metody szantażu i wyzysku. Trzeba opierać jak najczęściej utwory satyryczne na faktach autentycznych, jednocześnie uogólniając w nich główne problemy i myśli. „Szpilki" są na wsi (przynajmniej w naszych okolicach) pismem nieznanym. Trzeba dokonać na ich łamach gruntownej „rewolucji", by mogły na wieś zawędrować, znaleźć się wśród czytelników chłopów. Przede wszystkim tematyka wiejska musi się stać nieodłącznym składnikiem zawartości każdego numeru pisma. Na tę „rewolucję" czekają zespoły świetlicowe, redakcje gazetek ściennych i rzesze czytelników. Celny wiersz satyryczny, fraszka, monolog, humoreska, dialog, piosenka satyryczna są bardzo cennym urozmaiceniem programu świetlicowego, a ich dotychczasowy brak odbijał się także ujemnie na pracy świetlic wiejskich.

Bronisław Gołębiowski
wieś Miechowice 54, p-ta
Dzikowiec pod Kolbuszową

Zdobyć nowego czytelnika

Słusznie rozpoczął T. Borowski dyskusję na temat dzisiejszej satyry, która, trzeba przyznać, leżała dotychczas nienaruszona jak kilkuletni ugor.

Muszę obiektywnie stwierdzić, że „Szpilki", jakkolwiek posiadają za sobą bogatą przeszłość i doświadczenie, nie potrafiły dotychczas wyzbyć się starych form i należycie realizować zadań pisma satyrycznego.

Ciąży na nich pewna szablonowość, sztywne ramy, co sprawia, że każdy stały czytelnik może naprzód przewidzieć co przyniesie nowy numer.

Z tego błędu wypływa drugi — powiedziałbym większej wagi błąd: „Szpilki" są przeznaczone dla bardzo wąskiego kręgu czytelników. Doskonale określa ten błąd Borowski, pisząc, że „Szpilki" są czytane przez inteligencję — i to inteligencję chwiejną.

Inaczej przedstawia się sytuacja radzieckiego „Krokodyla", który zdobył sobie popularność zarówno wśród inteligencji jak i robotników czy chłopów. „Krokodyl" zaciekawia wszystkich, bowiem tematyka jego jest szeroka, nie ma chyba takiej dziedziny, której by nie poruszono na łamach tego pisma.

„Szpilki" nie chcą widzieć, albo bardzo mało widzą codzienne życie robotnika i chłopa, codzienną walkę klasową, a to jest niesłuszne stanowisko. Satyra winna pomagać robotnikowi w zwalczaniu tego co jest stare — wczorajsze, a utrwalać nowe — dzisiejsze.

Pracując w jednej z instytucji na wsi, miałem możność rozmawiać z chłopami na różne tematy, a nawet próbowaliśmy oceniać poszczególne gazety. Okazało się, że chłopi w ogóle nie znają takiego pisma jak „Szpilki".

Kiedy podsunąłem kilka numerów — przeczytali, podobał im się humor, karykatury, ale z ust jednego usłyszałem ciekawe i poniekąd słuszne zdanie: „Ot, panowie nie mają co robić i piszą jedni na drugich", a po chwili dodał — „Lepiej żeby tak osmarowali naszą Marysię ze spółdzielni, bo już człowiek nie może z tym diabłem wytrzymać!" („Osmarowali" ją później w „Gromadzie" z odpowiednim i pożądanym skutkiem).

Mój rozmówca powiedział tak jak myślał, ale myśl była zdrowa i właśnie nad nią należałoby się nieco zastanowić.

Gdyby tak „Szpilki" potrafiły przezwyciężyć wszelkiego rodzaju trudności finansowe czy techniczne i dotarłyby do chłopa pracującego w spółdzielni produkcyjnej, do robotnika w fabryce, czy górnika w kopalni, gdyby zwróciły większą uwagę na toczącą się w kraju walkę klasową — wtedy zyskałyby napewno większą popularność i masowość.

Satyra jest bronią ostrą i skuteczną szczególnie wtedy, gdy jest konkretnie adresowana. Każdy kto zna chociaż odrobinę stosunki panujące na wsi, ten może powiedzieć, że chłopi celują w uczeniu się na pamięć całych zwrotek wiersza satyrycznego i potrafią przy nadarzającej się okazji przypomnieć np. kułakowi to co o nim pisano w „Szpilkach".

W ten sposób satyra trafia nie raz, nie dwa, ale dziesiątki razy!

Jest rzeczą zrozumiałą, że redakcja „Szpilek" nie może składać wizyt w każdej wiosce czy zakładzie pracy, ale i na to jest rada. Trzeba zwerbować korespondentów, którzy będą dostarczać surowego materiału, a rzeczą „Szpilek" będzie opracować ten materiał artystycznie.

Roman Wójcik

Przeobrażenie formy, opieka nad debiutantami

W artykule „O karykaturze słów kilka" (Nowa Kultura nr. 31.1950) J. Lenica stwierdza: „W momencie mobilizacji wszystkich sił do walki z imperialistyczną agresją, karykatura polityczna ze zwiększoną siłą musi przemówić do każdego człowieka, musi ze szczególną pasją odkrywać zbrodnicze machinacje kapitalistycznego świata, musi budzić czujność wobec wroga klasowego, musi przemawiać prostym realistycznym językiem".

Czy dotychczas nasza satyra, ściślej karykatura, całkowicie odpowiadała tej wytycznej? Musimy stwierdzić, że nie. Dlaczego? Przecież treść poruszanych przez satyrę zagadnień nie może podlegać specjalnym zarzutom. Owa jednak treść bywa w dużej mierze zatajona z powodu braku prostego realistycznego języka; słabość tkwi więc w szeroko już omawianej stronie formalnej tak satyry rysunkowej, jak i literatury satyrycznej. W kostiumie dotychczasowej konwencji formalnej nie może pomieścić się współcześnie nas nurtująca problematyka. Odnosi się to do każdej dziedziny twórczości artystycznej, dziedzina satyry najmniej jednak zrobiła w kierunku przeistoczenia starych kanonów. Obserwujemy przełom u literatów, u plastyków, którzy zdążają ku realizmowi socjalistycznemu, satyrycy jedni boją się jak gdyby przeobrażenia w sposobie wyrażania.

Forma przeważającej części naszych satyryków przyczynia się do zagmatwania treści. Polega ona bowiem na zamykaniu zagadnienia bez względu na jego jakość w klamrę kalamburu czy fraszki,o często niezrozumiałej dla ogółu poincie formalnej; w rysunku przeraża pobłażliwe, kukiełkowo - schematyczne i przestylizowane kreślenie postaci.

Końcowy wynik przedstawia się dość niewesoło: zagadnienie po przejściu przez pióro satyryka ulega niekiedy spłyceniu; tak np. podżegacze wojenni, przyczyna śmierci milionów ludzi, na planszy wyglądają jak dość niewinne kukły o przesadzonej deformacji zewnętrznego wyglądu.

Przesada w zewnętrznej deformacji, formalna żonglerka słowna, pełni w satyrze rolę tłumika treści, odciąga uwagę od głównego problemu, każe niekiedy wyłącznie uśmiechnąć się, lub podziwiać koronkową robotę autora.

Wniosek jest jasny: chcąc ażeby satyra w pełni mogła wykonać swoje bojowe zadania musi przeobrazić swoją dotychczasową formę. Urealistycznienie formy jest nieodzownym warunkiem dla utylitaryzacji satyry.

W 5 numerze „Szpilek" w utworze satyrycznym Janusza Minkiewicza nagrodzonym II nagrodą na konkursie ZLP pt. „Wizyta", między innymi czytamy:

„Właśnie mowę ma jakiś mędrek [na katedrze,
Prawi tak choć w to się nie chce [wierzyć Fredrze:
„Reasumując wnoszę ażeby od [wtorku
Usunąć z satyr dowcip i resztki [humorku,
A jeśli dowcip trafi się w pracy [pośpiesznej
Należy go podać tak, aby nie był [śmieszny".

Z tego parodystycznego ustosunkowania się do zagadnień poruszanych w dyskusjach i referatach wnosić można, że wg niektórych satyryków składnikiem satyry jest jedynie humor i śmiech. Wiąże się to niewątpliwie z poprzednim odbiorcą, dla którego zwykli byli oni tworzyć, były to wymagania inteligenckiego i drobnomieszczańskiego środowiska, które wyolbrzymiało funkcję śmiechu i komizmu w satyrze i zrobiło z nich nawet cel. Śmiech nie może być celem sam w sobie, śmiech jest jednym z narzędzi walki.

Śmiech i komizm mający funkcję bezpośredniego oddziaływania na tych, których tyczy, usypia równocześnie tych, którzy — się nim posługują, dlatego jest mało bojowy, miast ładować gniew i bunt przeciwko wrogom — rozładowuje go. Porównajmy Mac Arthura rysowanego przez Linkego w 40 numerze „Nowej Kultury" z konwencjonalnym pierzchającym Mac Arturkiem czy to z rysunków prasy codziennej, czy nawet ze „Szpilek", lub wreszcie z szopek świątecznych. W pierwszym wypadku karykatura spełniła swoje zadanie, w drugim dzięki tak gorąco bronionym przez Janusza Minkiewicza elementom śmiechu, humoru, komizmu, czy dowcipu zatarta została właściwa barwa problemu.

W naszej satyrze przeważa całkowicie ze szkodą dla niej przykład drugi. Należy więc postulować, ażeby te rozbrajające bojowość elementy zostały rugowane w takich wypadkach, które potrzebują większego sprężenia sił w walce z wrogiem.

Mimo wszystkich zarzutów nikt nie neguje roli śmiechu czy humoru jako składnika naszej satyry; wykazał to zresztą bardzo gruntownie Jan Szeląg w artykule z 46 numeru „Nowej Kultury", chodzi jednak o to, ażeby zerwać z jego konwencjonalnością drobno-mieszczańską i ażeby przy stosowaniu decydował wymiernik jakości problemu.

*

Z kolei pragnę poruszyć sprawę rekrutacji nowych sił satyrycznych, wyławiania młodych kadr.

Narzeka się ogólnie na lekceważący stosunek większości plastyków do satyry, czy na kurczenie się żelaznej kadry rysowników oraz satyryków - literatów (Lenica „O karykaturze słów kilka" „Nowa Kultura" nr 31).

Redakcja „Szpilek" chcąc temu zapobiec zrobiła poważny krok w tym kierunku; urządziła bowiem na łamach swego pisma konkurs pt. „Szukamy nowych współpracowników". Konkurs ten jednak skończył się tylko debiutem nagrodzonych i w dalszym ciągu z minimalnymi wyjątkami w numerach „Szpilek" spotykamy niezmienne menu starych filarów tygodnika. Nowych współpracowników, jak się zorientowałem, pozostawiono ich własnemu losowi, miast zaopiekować się nimi, dając fachowe wskazówki, w większości bowiem wypadków uczestnicy konkursu stawiali pierwsze kroki w karierze satyryka. Sądzę, że wniosek, ażeby w przyszłości otoczyć opieką takich debiutantów; za opiekę uważam ocenę nadsyłanych prac i dawanie wskazówek, które mogą być pomocne w pracy. Dużym krokiem w zasilaniu nowymi siłami i równocześnie w nadawaniu „Szpilkom" większej żywości i aktualności jest kontakt z czytelnikami poprzez zamieszczanie typowych dla ogólnych stosunków, utworów z gazetek ściennych. Satyra gazetek ściennych z zakładów pracy jest żywym przekrojem nurtujących współczesne społeczeństwo konfliktów dnia codziennego: jest żywą kroniką walki o podwyższenie produkcji, o wykonanie planu, walki o pokój.

Głębsze zainteresowanie się tym zagadnieniem powiększy z pewnością krąg czytelników „Szpilek" o szeregi robotników z fabryk i chłopów ze spółdzielni produkcyjnych, spotkają bowiem w satyrze swoje własne problemy. Z tym wiąże się również sprawa żywego kontaktu satyryków z życiem fabryk i wsi; problemy wykwitające w społeczeństwie nie mogą dolatywać echem do biurka w pracowni autora, ale winny być wykrywane na żywo.

Edmund Wojnarowicz

JERZY PUTRAMENT

T U R K U S O W E

NA południu były góry, ciemno-zielony dywan lasów spełzał z nich w lewo, aż pod Pszczynę i Mikołów, w bezpośrednie sąsiedztwo czarnej, zakopconej plamy domów z powtykanymi weń jak zapałkami czerwonymi patyczkami kominów fabrycznych i czarnymi stożkami szybowych wyciągów Żółta krecha granicy, tam w górach biegnąca jakoś przyzwoicie, ze szczytu na szczyt — tutaj dostawała gorączki, miotała się w tej zbitej masie mieścin z lewa na prawo, wybrzuszała się nieoczekiwanie i zaraz potem targała z powrotem, utykała w ostrym klinie, znów zawracała, niepewna, nieobliczalna, jakby prowadzona ręką jakiegoś podpitego sobiepana, który miał w nosie wszelkie względy logiki, rozsądku, życzliwości dla mrówek, rozdzielonych jego ręką na dwa obozy.

Miasta i kominy nikły i granica jakoś normalniała. Ze śląskich i częstochowskich łagodnych wypukłości skręcała w lewo i ku górze, w coraz bardziej płaszczącą się, nagą równinę, szeregiem nieregularnych półkoli otaczała Wieluń, Kępno, podchodziła pod sam Rawicz, zawracała do góry, chwytała się paru strumyków, kilku sławów, wpełzała w nowy pas lasów, nabrzmiałych wilgocią, mchem podszytych, lazła w prawo i w górę, przez pagórki niewiele większe od trzypiętrowych kamienic, dostawała tutaj nowego ataku drżączki i lasami, zataczając się w lewo i prawo wyskakiwała wreszcie na rozpaloną do białości tym sierpniowym upałem wydmę, tonęła w morzu.

Popatrzeć na tę granicę, na jej kształt generalny: robiło się słabo na duszy Jaki sens, jakie przeznaczenie można by wysnuć z tego olbrzymiego esa - floresa czy odwróconego znaku zapytania? Jakby ze wschodu pięść wymierzona prosto przed siebie, a z zachodu dwie, chwytające ją z góry i z dołu. Zaiste, złapał Kozak Tatarzyna. Ale to przecież nie wszystko.

Bo żółta krecha dała nurka tylko, nie utonęła Za obwisłą warząchwią Helu wyskakiwała znowu, zgrabnym choć zygzakowatym ruchem odcinała wylot wielkiej, też pokręconej rzeki Wisły, przechodziła na jej brzeg wschodni, znów pagóreczkami, jeziorkami przebiegała w dół, potem skręcała, w prawo, długim półkolem, porysowanym drobnymi ząbkami, zawisła nad stolicą, po'em zaczynała skręcać znowu do góry i tu ginęła w wielkich, sosnowych lasach suwalskiego pojezierza.

Rąbicz gapił się na mapę, jakby po raz pierwszy w życiu zobaczył jej złowrogi kształt i sens. Zwisająca nad Warszawą chmura gradowa Prus Wschodnich — to przecież trzecia pięść. Oto dwaj bokserzy, już sędzia dał sygnał, już wyszli ze swych rogów, lada chwilę gong może zagrać, ale jeden z nich ma trzy ręce, drugi jedną. Co za plugawe porównanie! Nie wyspał się, od pięciu miesięcy sypiał po pięć godzin, od dwóch tygodni — po dwie.

— Pan pułkownik pozwoli? — adiutant bezszmernie wypłynął z tyłu dźwigając na kawałku tektury dwie kupki chorągiewek.

— Jazda, jazda, śpieszcie. Pavola i Knothe będą za pięć minut.

Adiutant szybko ustawił schodki, wlazł, zaczął wtykać w zielone lasy, w pagórki, w węzełki czarnych linijek kolejowych jedną po drugiej czerwone chorągiewki. Oto w górze, na tej kurzej szyi parę chorągiewek, jakby przypinających ją do gruntu, by się nie odkleiła.

— Raz, dwa, trzy, cztery... — policzył Rąbicz — coś skąpo w tej armii Toruń, pogubiliście majorze chorągiewki.

— Dwie dywizje jeszcze nie przybyły Pan pułkownik kazał stan na dzień dzisiejszy.

— Dobrze, walcie dalej.

Wybrzuszenie poznańskie, w jego środku niewielka kupka. Poniżej trzy chorągiewki, jedna przy drugiej — ho, ho, jak w osiemnastym na Zachodzie, co za nasycenie wojskiem przestrzeni operacyjnej! Za to niżej, okrakiem na kolei i szosie

ze Śląska do Warszawy, tuż pod Częstochową — jedna, samotna. Dopiero grubo w dół, w tej płataninie śląskiej znowu parę dosyć zwartych. No i w Karpatach, tu i ówdzie, w dolinkach i przełęczach — takie małe chorągiewki.

Nad Warszawą też parę, dosyć z rzadka. Jeszcze ze dwie powystrzygane, kawaleryjskie w suwalskim zakątku. Na samej górze, pod Gdynią i na Helu dwie bardzo kuse.

Rąbicz cofnął się pod przeciwległą ścianę, popatrzył na mapę, oko zmrużył jak malarz przed zakończeniem obrazu. Oto dzieło tych zwariowanych pięciu miesięcy, od owego marcowego południa począwszy. Próbował wzniecić w sobie coś, jakby dumę: a przecież, tak — po polsku, bez przygotowania, aleśmy poradzili Ale ten, tak łatwy u niego stan euforii — jakoś nie przyszedł tym razem. Przemęczenie. Blisko pół roku — tego nawet Rąbicz nie zniesie. Zresztą przyszli tamci. Wyszedł do nich.

Parę minut generalskich powitań. Kiedy wrócili do tego operacyjnego sanktuarium, adiutant już skończył swoją robotę, stora przepisowo mapę okryła. Rąbicz usadził obu generałów w fotelach, sam stanął za stołem, podciągnął mundur, trzcinkę wziął w obie ręce, lekko wygiął:

— Z polecenia Wodza Naczelnego mam zapoznać panów generałów z dyspozycją wojsk obu stron na dzień dzisiejszy, godzina trzynasta. Chciałbym podkreślić, że panowie będą za chwilę należeli do grupy siedmiu — ośmiu osób, którym te sprawy są znane Poza Wodzem Naczelnym, Szefem sztabu, mną, osobistym adiutantem Marszałka, bodaj nie ma nikogo, kto by w to był wtajemniczony. Nawet szef oddziału drugiego zna tylko część dyspozycji, to znaczy stronę przeciwną. Byłbym wdzięczny za wyrażenie przez panów generałów swojej opinii.

Povola, wielki, brzuchaty, uniósł się w fotelu, jakby chciał z wdzięczności stuknąć obcasami, ale się przemógł ,tylko oczami — czerwonymi ze zmęczenia czy z wódy? — sygnalizował Rąbiczowi: rozumiem i dziękuję. Knothe, szczupły, zasuszony nie dał poznać po sobie żadnej emocji. Rąbiczowi śmignęło: po kiego diabła brać go do sztabu, wiadomo, że fanfaron i krytykier. Odwrócił się, ugodzony do żywego tym brakiem uznania, szarpnął sznurek, sucho zaczął, nie patrząc ani na nich, ani na mapę:

— Ogólne założenie planu: przeciwstawić się obronnie niemieckiemu natarciu aż dopóki wzrastający nacisk sprzymierzonych na Zachodzie nie pozwoli nam na przejście do działań zaczepnych. Jak widzimy decyduje dla nas czynnik czasu. Musimy przetrwać pierwszy okres furii niemieckiej, zachowując maksimum naszych sił żywych, naszego przemysłu, naszych ziem. W tym celu...

Było coś w milczeniu tej sali, co nie pozwoliło dłużej Rąbiczowi wytrwać w obrażonej pozycji. Boczkiem, chyłkiem, kątem oka zerknął na swych słuchaczy. Ich twarze! Knothe i tym razem był spokojniejszy, tylko kąty warg mu się wygięły w dół, oczy się zaostrzyły bodaj nienawistnie. Za to Povola ręce wczepił w poręcz fotelu, podgardle mu zwisło, twarz zbielała, usta się otworzyły i dolna szczęka podrygiwała. Obaj wpatrzeni byli tak, jakby nie słyszeli ani słowa z tego, co wciąż im odbębniał.

Jeszcze mówił, ale odwrócony od nich, też się gapiąc na mapę. Nie trudno było pojąć o co im chodzi. Sam — choć przecież ile razy osobiście te szpilki rozstawiał — teraz zaczął się krztusić, ciągnął — „zasadnicza linia obronna... jeziora w rejonie Żnina, górna Noteć..." — ale słowa mu się zrywały, utykał w przerwach między zdaniami.

Czy to format tych niebieskich był większy, czy ich kolor intensywniejszy, czy złośliwy lub głupi adiutant poustawiał je jakoś tak na płask? Bo to już nie była na mapie ta normalna niemiecka półtorakrotna przewaga, z którą się oswoił we wszystkich tych conocnych robótkach. Gdzie tam! Wprost nad Warszawą, naprzeciw jednej czerwonej ustawiła się grupa pięciu. Od ich ciemnego stalowego granatu kreska granicy jakby się ugięła i jeszcze bardziej zwisła w dół. Na lewo od korytarza, naprzeciw dwóch lub trzech czerwonych stało w zwartej linii — osiem niebieskich, podpartych jeszcze dwiema, po jednej na każdym ich skrzydle.

Ale nie tam było najgorzej. Dopiero na północ i zachód od Śląska mapa nabierała kolorów wzburzonego morza Kilkanaście chorągiewek przeciwko trzem od Częstochowy po Wieluń. Jeszcze sześć czy siedem w lewo, przeciwko dwóm, jeszcze z dziesięć w prawo, aż po góry. I jeszcze i jeszcze, tu i ówdzie, w Gdańsku, pod Grudziądzem naprzeciw Sanoka, po dwie, po jednej. Rąbicz przebiegał po nich oczami, przypominał ich nazwy — ósma zmotoryzowana, czterdziesta piąta, grupa pancerna, dwudziesta czwarta, próbował się jakoś przełamać, przypominając sam sobie, że je zna, że o ich obecności tam a tam wie od tygodni, ale generalskie przerażone milczenie za plecami ucięło mu wreszcie mowę. Minutę stał, daremnie czekając, aż się napatrzą. Nie można dłużej, trzeba ich podpędzić.

— Uwagi?

Milczeli. Povola zaczął trzeć sobie dłonią policzek, oczy spuścił. Cicho było, za długo, za bardzo. Okna ciężkim pluszem żaluzyj odcinały tę salę od wielkomiejskiego gwaru, chroniły pieczołowicie sztabowe myśli przed byle natręctwem dalekiego klaksonu, przed lada urywkiem cywilnego gadania, kobiecego śmiechu. Nic na przeszkodzie tu myślom nie stało, chyba ten szum w skroniach od niewyspania, chyba to przerażone milczenie Povoli, zacięte, półironiczne — Knothego.

— Chciałbym móc przekazać Wodzowi Naczelnemu uwagi panów generałów na temat jego planu operacyjnego — Rąbicz chwycił się brutalności.

— Tak jest, oczywiście, pułkowniku — Povola zerwał się. — W tej sytuacji, hm, przy tym stosunku sił... uważam plan... e... operacyjny za jedyny. Jedyny w swoim rodzaju — bezmyślnie bąknął, spostrzegł zaraz tę dwuznaczność, tym gorącej zaczął się forsować do pochwał: — Oczywiście, inaczej nie można. Materialną przewagę, uhm, musimy nadrobić bojowym duchem. A tego, proszę zapewnić Wodza Naczelnego, tego nam na pewno, na pewno nie zabraknie.

Rąbiczowi trochę odeszło niedawne osłabienie aż fizyczne. Wyprostował się, patrzył Povoli w czerwone oczy, widział, jak ten przymusem wypędza z siebie resztki milczenia jak wyrywa sobie z gardła te taniutkie ogólniki, rozumiał doskonale co się dzieje w tej pustawej głowie o pół metra od niego, a przecież niepohamowanie pogodniał. Półinstynktownie zaczął dusić tamtego o pochwały bardziej konkretne, naprowadzał trzcinką spojrzenie Povoli na tę grupę, na ową, domagał się natychmiast oceny, podpowiadał tamtemu właściwe terminy techniczne, zachęcająco kręcił dłonią, natężał uśmiech:

— Armia Poznań, w myśl koncepcji Wodza Naczelnego — patrzył w Povolę, nie mając wielkich złudzeń, że tamtemu starczy inteligencji, aby jego, rąbiczowską skromność ocenić, rezygnując z tej subtelniejszej satysfakcji na rzecz bardziej doraźnej za to niewątpliwej na rzecz podziwu dla głębi myśli marszałka — armia Poznań, broniąc w pierwszym okresie znacznej części Wielkopolski, tego naszego spichlerza, jednocześnie pełni funkcje swego rodzaju odwodu Naczelnego Dowództwa, gdyż zachowuje swobodę manewru, na północno-wschód, na wsparcie armii Toruń, bądź też na południo-wschód, na wsparcie armii Łódź. Po zarysowaniu się kierunku głównego wysiłku nieprzyjaciela, jej siła może działaniem flankowym zaważyć na losach decydującej bitwy...

— Oczywiście, oczywiście! — potakiwał Povola i też zaczynał się wypogadzać, jakby zasada „u'mieckniij się" — miała sens i w tej sytuacji, jakby od mechanicznego skurczu jakichś tam mięśni policzkowych zaczynały grać jakieś struny w mózgu wypędzające zły humor, przerażenie, zwątpienie, co więcej, jakby od tego z kolei ponury granat na mapie nad ich głowami też płowiał, rozpływał się, wsiąkał w tę zieleń nizinną. — Oczywiście A poza tym, samym swoim istnieniem, wysunięta na Zachód, o dwieście kilometrów od Berlina, stanowi groźbę dla nieprzyjaciela, każe mu zadbać o swoje skrzydła i posuwać się naprzód z rozwagą! O! Znać lwi pazur! Na wojnie jak w szachach, każde posunięcie musi mieć wiele przeznaczeń, wiele sensów! — Povola, szczęśliwy, że odkrył sam jeden z tych ukrytych sensów, niemal promieniał, komplimenty jego stały się gładsze, gadał teraz o tym zagrożeniu aż za długo.

Rąbicz w pewnej chwili poczuł, że jest nasycony Już nie zachęcał, raczej pohamowywał Povolę. Dopiero jednak zerknięciem na zegar i fałszywym okrzykiem: za godzinę muszę raport... — potrafił tamtego wypłoszyć Povola trząsł mu rękę, odciągnął w kąt, szepnął: dziękuję, dziękuję wam, pułkowniku, wiem, że to wam zawdzięczam... — Ale skądże generale... — Tak, tak, nie wypierajcie się, wiemy wszyscy, że jesteście skromni, ale w tym wypadku... — Jeszcze trząsł, jeszcze zapewniał z pięć minut. Wreszcie poszedł, kiwnąwszy Knothemu — wybaczcie, śpieszy mi się.

Rąbicz odprowadził go do wyjścia. Wracał z uśmiechem: przypomniało mu się skojarzenie z kto[illegible] wczesną kampanią napoleońską we Włoszech; wroga rozdzielił na dwie grupy, słabszą kolumnę wymanewrował i rozbił, pora się zabrać do tego Wurmsera. W pokoju przy sali zatrzymał go odiutant:

— Telefonował generał Stachiewicz Trzeba wytępić te protekcyjne obyczaje, figa Friedeberga... Wrócił do adiutanta, nie bez ledwo hamowanej irytacji:

— Pan generał Stachiewicz kazał gorycznie? Żeby dać? Jako rozkaz?

— Raczej nie, panie pułkowniku Jako zapytanie.

Kwaśny poszedł dalej. Wolałby żeby to był rozkaz, wtedy można byłoby, jakoś oficjalnie, meldować marszałkowi, uzasadniać. A nie sam nie wiedział. Z jednej strony niewątpliwie protekcja, z drugiej niezupełnie, bo do jego rąbiczowskiej decyzji. Szef sztabu przekazuje swemu podwładnemu, zdaje się na jego nieprzymuszony sąd, na jego ocenę sytuacji operacyjnej. Dobrze, pomyślimy.

Knothe stał przed mapą, głowy nie zadarł, ani się obrócił. Rąbicz podszedł, też przystanął, zaniepokojony czy czasem adiutant nie przekręcił czego. Jeszcze raz sprawdził znakomitą pamięć cyfry i miasta. Oczywiście, jest! Trącił delikatnie Knothego mię tamtego:

— Generał ma rację, jest, nie omyłka!

Knothe zerknął nań i znów odwrócił do mapy.

— Dwudziesta siódma winna być bardziej na północ, w rejonie Skórcz — Starogard. Razem z pomorską brygadą kawalerii utworzy ona grupę operacyjną Czersk, z zadaniem opóźniania marszu niemieckiej armii zachodnio-pomorskiej przez korytarz a jednocześnie [illegible] wierania nacisku politycznego na Wolne Miasto...

Knothe wreszcie miał dosyć mapy. Dwa razy przeszedł z lewa na prawo, stanął przed Rąbiczem, spokojnie i sucho:

— Kiedy pies panu chce odgryźć nos, czy pan uważa za słuszniejsze targnąć głową do tyłu, czy naprzód, nos mu w gardło wpakować?

I nagle otworzył usta jak najszerzej, zęby wyszczerzył, zrobił krok do Rąbicza i klapnął mu przed nosem tak szybko, że ten aż się uchwiał, zatoczył, oparł się o [illegible] jeszcze nie wiedząc, co ma robić, czy dzwonić po pogotowie, śmiać się z dobrego kawału, obrazić się. Knothe już był spokojny:

— W życiu codziennym pan pułkownik reaguje całkiem normalnie. Czemuż pan na tej mapie [illegible]

ANNA WYSZNACKA

DWIE DROGI

*(Dokończenie) *)*

„I oto ledwo odgłosów gra, przebrzmiała groźna i zła, nad cytadelą podniósł się blask"...

Mietek wysunął przed siebie rękę i wskazał dłonią ten domniemany blask.

Mała Józia, córeczka Lubeckich ,która tu zwykle przychodziła za bratem Kazikiem oderwała się nieśmiało od ściany, i zajrzała ciekawie za kotarę okalającą scenę: czy rzeczywiście podniósł się ten „blask"? Na widok jej rozczarowanej minki wybuchnęli wszyscy śmiechem.

Kazik Lubecki, Mietek, syn kierowniczki przedszkola Stefek Kotlarczyk — otoczyli małą Józię śmiejąc się z jej dziecinnej naiwności. Mała była rozczarowana — nie tylko nie zobaczyła żadnego blasku — ale jeszcze się z niej wyśmiewano. Po skończeniu próby, przeszli wszyscy do sąsiedniej sali, gdzie wyświetlano film o budowie Komsomolska. Helena wracając wieczorem do domu jeszcze raz przeżywała poszczególne sceny — zwłaszcza ową pogoń Komsomołki za nikczemnym sabotażystą, którego dzięki niej ujęły jednak władze bezpieczeństwa Przejęta była szczerym podziwem dla ludzi, których wychował Komsomoł. Idąc w zamyśleniu potknęła się o kamień. Zarechotał ktoś Przed małym sklepikiem prywatnym, prawdziwym ostatnim Mohikaninem wśród wspaniałych sklepów spółdzielczych i państwowych kręciło się kilku wyrostków — palili papierosy i porykiwali z uciechy. Powodem radości był damski staniczek, umieszczony wśród oselek masła, szab mydła i toreb z krupami.

— Komu potrzeba kapturka dla bliźniaków — wykrzykiwali zuchwale gdy przechodziła obok.

Wreszcie jest znana ulica, jasny blok, czysta klatka schodowa i oto 3 Nr. mieszkania: matka pije głośno herbatę i monologuje: — przecież jak się człowiek pyta, czy ten co dostaje krzyż, będzie miał prawo jeździć bezpłatnie kolejami, to nie znaczy zaraz że jest wyrachowany... Ciekawość po prostu...

Helena przywitała się serdecznie z Tadzikiem, którego wypisano nareszcie ze szpitala — widok jego szczupłej dziecinnej twarzy przyprawił ją o nagły skurcz serca.

— Znam ja twoją ciekawość! — śmieje się ojciec. — Ty byś chciała, do krzyża, wszystkie możliwe przywileje. Dopiero byś poczuła, że mąż został udekorowany...

Otóż i nowina: — ojciec otrzymał krzyż zasługi i puszył się nim jak paw. Jego krótkie, starte zęby i siwa głowa dziwnie ją dziś wzruszały, nawet kępki włosów w nosie i duża brodawka na brodzie posiadają nieodparty urok. Helena jest szczęśliwa, że po latach ciężkiej pracy w przeróżnych firmach mniej lub więcej sezonowych, po latach strachu przed bezrobociem i nędzą, dana mu jest ta chwila szczerej radości. Tadzik gratuluje ojcu po męsku, i całują się obaj z dubeltówki.

Na cześć tego krzyża na stole zjawia się ostatni słoik konfitur, który matka jak zwykle przysuwa przede wszystkim Tadzikowi, chociaż bohaterem dnia jest ojciec. Rekonwalescent wciąż jeszcze blady, z policzkami i wargami bez koloru pałaszuje zcukrzałe już prawie truskawki — i pociąga nosem: — dobre, ale mało!

— Idziemy jutro oglądać motopompy — mówi wesoło ojciec.

Wieczorem gdy zgasło światło, a matka zabrała się do rozbierania, Tadzik powiedział cicho: z tych bandytów trzech dostało wyroki śmierci.

Matka z głową zaplątaną w spódnice rzuciła mściwie: — dobrze im tak bandytom, nie żałuję ani jednego...

* * *

Przyjemnie się obudzić i spojrzeć w okno, za którym jaśnieje nieogarniona przestrzeń nieba bez jednej chmurki Prelegent skończył wreszcie wykład na temat wzmacniania łąk wyczerpanych, który ku zdumieniu całej rodziny bardzo zainteresował ojca, po czym spiker zapowiedział koncert życzeń. Usłyszeli na wstępie pieśń, która Mazurkę wzruszała zawsze do łez. I teraz stanęła w drzwiach i słuchała w nabożnej ekstazie. Śpiewak modulował głos, jakby miał za chwilę zapłakać: „O matce pieśń, to pieśń przez łzy, to pieśń bez słów..."

Na dużym placu ćwiczeń w dwuszeregu stali już strażacy w bojowym rynsztunku. Za chwilę rozpoczną się ćwiczenia. Komendant odebrał raport i wydał dyspozycje Mazur poinformował syna i córkę półszeptem, że to są normalne ćwiczenia, przeprowadzane dwa razy w miesiącu Wskazał czerwieniącą się pod płotem motopompę: to będzie dopiero interesujące!!

Od czoła kolumny oderwało się kilku strażaków i po drabinkach hakowych zaczęli się wspinać na wspinalnię. Trzypiętrowa wieża do ćwiczeń zbudowana była z desek, które zdążyły już stracić swój naturalny kolor. Na szczycie błysnął pierwszy hełm, ojciec postąpił krok — podniósł głowę do góry i zawołał: no teraz uważajcie będzie zjeżdżać po linie!

Strażak, na którego hełmie grały wesoło promienie słońca, przypiął się do liny i powoli zaczął sunąć ku ziemi. Na płocie usadowiło się już kilku wyrostków, pokrzykiwali z emocji ku zazdrości młodszych kolegów, zaglądających chciwie przez szpary w płocie. Helenie zamarło nagle serce: strażak zamiast sunąć ukośnie po linie do ziemi oderwał się od niej gwałtownie i jak kula spadł pionowo na dół... Krzyknęła coś do ojca, ale ten zostawił ich i razem z innymi pobiegł do wieży. Z płotu zeskoczyli chłopcy i pognali pod wspinalnię Po chwili zauważyli Mazura, który unosił głowę leżącego na ziemi człowieka.

Zjawiła się zaraz milicja i lekarz. Badanie trwało chwilę „upadek spowodował pęknięcie kręgosłupa — śmierć nastąpiła w tej samej chwili". Strażak upadł tak nieszczęśliwie, że pół ciała trafiło na beton, a pół na materac. Ruch, zdenerwowanie i krzątanina wygnały Helenę i Tadeusza z placu. Wrócili przygnębieni do domu, pozostawiając ojca dla załatwienia formalności...

* * *

— Nity nie wytrzymały — powiedział cicho po powrocie do domu i usiadł ciężko na fotelu. — Szycie i nity!

Następnego dnia podzielił się z rodziną dalszymi szczegółami. Z orzeczenia Komisji wynikało niezbicie, że całą winę ponosi Lenart, który przyjmując zamówienia, otrzymał wyraźnie określone warunki techniczne: — pasy na skórze, podwójne szycie i nity miedziane, albo mosiężne. Tymczasem pasy były z samego partu, szyte pojedyńczo i nitowane żelazem. Zrobili próbę wszystkich dostarczonych pasów i tylko mała część ją wytrzymała Taki pas powinien wytrzymać 300 kg wagi. Dostawca zobowiązany jest wypróbować przed dostarczeniem Firma daje przecież gwarancję. Będzie dużo kłopotu!...

Poruszona do żywego matka szepnęła:

— Dobrze wam tak, po co u prywatnych kupujecie, szkoda tylko niewinnego człowieka zginął przez takiego drania... Ale dlaczego on tę linę puścił?

Mazur uśmiechnął sie blado:

Strażak podczas ćwiczeń przyczepia się do liny karabinierką przynitowaną do pasa, musi mieć przecież wolne ręce. Nity puściły między II i III piętrem wspinalni...

— Mamy już naszą wytwórnię, teraz nie będziemy od prywatnych kupować, ale cóż, człowieka to nie ożywi... dodał ojciec i odwracając się do Heleny jeszcze raz kazał sobie dokładnie powtórzyć ową scenę w biurze, zwłaszcza słowa Lenarta Czy rzeczywiście kazał nitować żelazem?... A co na to Kwaśniewski? Matka słuchała z półotwartymi ustami. Przejęła się ogromnie wypadkiem, a przede wszystkim losem wdowy i trojga drobnych dzieci

Mazur zaczął znowu spacerować po pokoju i pocierać w zamyśleniu nos W połowie wędrówki spojrzał niespokojnie na żonę i powiedział: — wiesz, była u mnie Lenartowa — taką kupę złota położyła na stole, „nic za to nie chce tylko zmienić w protokóle, że wypadek nastąpił nie z winy pasa"... Zaklinała mnie na wszystkie świętości, że ja przecież też jestem ojcem...

Mazurka, jak zwykle w chwilach wielkiego zdenerwowania, chwyciła się za serce i uniosła lekko na krześle. — Powiedziałem, żeby sobie złoto zabrała i niech Bogu dziękuje, na porządnego człowieka trafiła inny by doniósł o usiłowaniu przekupstwa...

W szyby pukał deszcz, wiatr szkał zerwaną rynną i szarpał widoczniej anteną, bo w aparacie zaczęło zgrzytać i trzaskać Matka poderwała się i zgasiła odbiornik, po czym stanęła przed mężem Helenę przeraziło jej spojrzenie Wyglądała jak furia..: — to ty nie bie nazywasz porządnym człowiekiem? A jak ona kogo innego przekupi? I co? człowiek zginął, a drań będzie luzem po świecie chodzić? Ja się dziwię, że jego jeszcze nie zamknęli... To ty jesteś uczciwy człowiek? Więc jakbyś spotkał tych bandytów, co mi [illegible] dziecka nie zamordowali, to byś też bronił, bo jesteś uczciwy człowiek?...

Napęczniała ze złości i nienawiści krzyczała jak w napadzie szału.

Mazur wtulony w kąt kanapy uspakajał ją i sadzał obok siebie Odsuwała niecierpliwie jego ręce To moje dziecko cudem ocalało, a jesteś porządny człowiek, wołała do związku, wyrodny ojciec jest drań...

Helena patrzyła na matkę ze zdumieniem, pomieszanym z goryczą trzeba było aż tego strasznego przejścia z Tadzikiem, żeby jej biel spadło z oczu. Trzeba było [illegible] rany, żeby zrozumiała, gdzie jej miejsce i gdzie przynależy... wybuch taki Helena patrzyła pierwszy raz. Nie pamiętała ostrzejszego słowa między rodzicami, a cóż piero złości i uniesienia Matka uspokoiła się wreszcie i wróciła swoich garnków Ojciec chodził struty po pokoju i nawet rąk zacierał Helena czuła, że popada w wielkie przygnębienie. Po chwili powiedział: — matka ma racje

Położyli się spać w najgorszych nastrojach. Rano matce dokucz[illegible]

*) por. nr 7 i 8 „Nowej Kultury".

Ilustrował JAN BETLEY

CHORĄGIEWKI

w gardło jak najgłębiej napakował tych dywizji?

— Pan wybaczy, generale, porównanie...

— Jest aż nadto ścisłe. Proszę, u góry, w Prusach i tam pod Piłą-Złotowem, górna szczęka, doskonale uzębiona. Proszę, u dołu, spod Opola, nie ząbki, kły! Żadnej filozofii tu nie potrzeba, cały plan jest jak na dłoni. Rraz — i po wszystkim.

— No, dobrze, a pan generał, co by radził?

— Nos do tyłu! Czym prędzej!

— Linia Wisły? Bierzemy to pod uwagę.

— Na kiedy? Na Boże Narodzenie?

— To zależy. Będziemy bronili każdej piędzi naszej ziemi. Potem, stopniowo...

— Pułkowniku, nos można psu z gardła wyciągnąć zanim klapnie zębami. Jak pan chce wyprowadzić tę armię Poznań, armię Toruń, te odwody! To zagrożenie Berlina. Za dwa tygodnie Niemcy spod Opola będą pod Warszawą...

— No, no generale, bez przesady! Blisko trzysta kilometrów.

— No, to za dwadzieścia dni. Pan myśli, że armia Poznań uderzy od tyłu... Owszem i co z tego?

— Jakto co? Ileż wielkich bitew świata rozstrzygano uderzeniami od tyłu! Kanny, Waterloo...

— Pod warunkiem liczebnej przewagi. A pod Warszawą na dwudziesty dzień wojny będzie pan miał trzydzieści parę dywizyj niemieckich, na dwanaście — piętnaście swoich, i to już przetrzepanych. Nie mówiąc o czołgach, lotnictwie...

Rąbicz wyczerpał się zupełnie. Odechciało mu się słuchać gadania Knothego, odechciało się tym bardziej z nim polemizować. Te argumenty słyszał kilka razy, zwłaszcza na początku, w marcu. Wtedy jakoś bez trudu udawało się je odrzucać. Bez trudu, z łatwością tak wielką, że później wypływały coraz rzadziej. Od trzech miesięcy chyba nie miał z nimi do czynienia, może dlatego zapomniał teraz, jak się je odpiera, może z powodu tego coraz potężniejszego zmęczenia. I prawie mechanicznie, z poczucia sportowego raczej, rzucił jeszcze:

— Proszę nie zapominać o odwodach Naczelnego Wodza. Z przeznaczeniem na północno-zachód, na Piotrków i Łódź. Z armią Poznań na spotkanie, po trupach tych z Opola, którzy by się zagalopowali. Z tymi psimi zębami, generale, to nie tylko musi się przed nimi uciekać, można je także wybić.

— Gdzie są te odwody? Ile dywizyj?

— Rejon Kielce — Końskie. Poza stykiem armii Łódź i Kraków. Osiem wielkich jednostek, w tym brygada pancerno-motorowa. Proszę, oto dyspozycja na piśmie, z terminami gotowości bojowej.

Knothe wziął kartkę, czytał ją, na pół słuchając Rąbicza.

— Ostatnio chcemy wyodrębnić z tego trzy dywizje południowe w grupę operacyjną „Lubusz", przesunąć ją w rejon Włoszczowa—Przedbórz...

— Oczywiście — Knothe rzucił arkusz na stół. — Oczywiście. Bo ta wielka armia odwodowa będzie gotowa dopiero po pierwszej dekadzie mobilizacji.

— Właśnie. Grupa Lubusz będzie ją osłaniała...

— Czyli chcecie ją postawić na drodze niemieckiego uderzenia, bez operacyjnego związku z armią Łódź, a jednocześnie licząc się z tym, że się ją rozharata w pierwszych dniach wojny. Bardzo ciekawe. Ni odwód, ni pierwsza linia. Coś całkiem oryginalnego.

Teraz wściekłość, ale zato taka śmiertelna, kiedy krzyczeć nie można, kiedy nawet w mordę bić nie wystarczy, kiedy tylko za gardło, żeby aż palce zbielały... Knothe dostrzegł pewnie iskrę jakąś w oczach Rąbicza, lekceważąco wzruszył ramionami:

— Mówił mi generał Stachiewicz, że się proponuje dla mnie właśnie grupę odwodów. Proszę zawiadomić generała, że po zapoznaniu się...

— Z sytuacją, rozumiem — zasyczał Rąbicz. — Pan generał nie ma ochoty...

— Tak jest. — Knothe spojrzał Rąbiczowi w oczy. — Sytuacja i tak jest ciężka, ale, żeby ją jeszcze samemu pogarszać?... Szukajcie innych frajerów.

— Nie omieszkam Wodzowi Naczelnemu zreferować waszych poglądów na plan operacyjny, generale. I waszej, hm, postawy ogólnej.

Nic nie powiedział Knothe, wargi zacisnął, odwrócił się, poszedł. U drzwi rzucił jakieś „żegnam". Rąbicz nie czekając, aż drzwi zamknie, — pięścią w stół, jeszcze i jeszcze, kartkę, rzuconą przez tamtego stłamsił, cisnął przed siebie, potoczyła się gdzieś pod biurko. Adiutant:

— Telefonuje minister Burda-Orzelski, pyta o szefa sztabu.

— Powiedzcie, że nie ma. O co temu znowu chodzi?

— Tak jest. Poza tym czeka kapitan Ślizowski.

— Niech czeka!

Dwa razy obleciał salę. Argumenty! Gdzie te argumenty, którymi tak rozbijał, z taką łatwością, wtedy; w marcu i kwietniu? Stanął przed mapą. Granatowe chorągiewki sterczały sobie beznamiętnie w trzech wielkich skupieniach, czerwone zaś regularnym, niemal jak sztachety — tylko rzadszym — szeregiem wypisywały, powtarzały w niewielkim skrócie prawie wszystkie wykrętasy żółtej krechy granicznej... Znowu adiutant.

— Pan minister przekazał dla generała krótki telefonogram.

— Dajcie!

— Kapitan Ślizowski...

— Niech czeka!

Na karteluszku tylko tyle: Przypominam o Friedebergu. Stary wyga, oddany, marzy o linii, niegorszy od innych. Kazik.

— Ach, to za Friedebergiem kryje się Burda! Aż mu zelżała poknothowska pasja. No, dobrze trafił piękny Kazik! Chwycił telefonogram zapałkę, podpalił, popiół wymieszał dokładnie, krótko trwało to odprężenie, bo przypomniał: Kasprzycki, Stachiewicz — obu przełożonych jego, Rąbicza, potrafił Burda nakręcić. Jednak ma wpływy, jednak nie dobił go wtedy, tamtą hecą z Piekarami — Polonią. No, to się teraz jeszcze policzymy.

Telefon, ten zarezerwowany, bezpośredni:

— To ty, Mieczyku?

Nelly wiedziała, że telefon pozbawia ją połowy nieodpartości: oczu, dlatego mówiła goręcej i dłużej. Zaczęła od skargi, że całkiem ją zaniedbał. Przerwał, jeszcze nie rozchmurzony:

— Wiesz, że sypiam po dwie godziny...

— I to nie ze mną! — bąknęła z prawie dziecinnym żalem. Uległ, zapomniał o Knothem. Dalsze — to był, jak mówiła — codzienny meldunek. Znowu afront w teatrze, tej wydrze Gościńskiej dano rolę — nie, nie większą, rzecz prosta, niż jej, Firstównie, ale mniejszą ledwie o cień. Trochę powspółczuł, obiecał zadzwonić, bez zapału, Gościńską znał i cenił, co ważniejsza, wiedział, że jest na bakier z Burdzina o jakiegoś dyplomatę. Potem, przelotnie, że są nowe modele jesienne z Paryża. Umówili się, że pójdą obejrzeć, może jutro. Ostatnie — jakieś głupstwo, zmobilizowano kolegę z teatru, nie, nie, nie, brzydala, role charakterystyczne, żeby się nim zaopiekować. Stramberg, ze szwedzkiej rodziny. Inteligentny, trzy języki. Tak, tak. Co mógł zrobić? Obiecał.

Teraz było trudniej wrócić do ponurości. I zresztą był zbyt zmęczony, aby się długo martwić. Przypomniał sobie o Ślizowskim, poszedł, zasłonił mapę, usiadł za biurkiem, kazał prosić.

Kapitan był dziarski jak zwykle, obcasami stuknął, meldował doniośle, promienny uśmiech nie opuszczał jego twarzy.

— Wszystko w porządku, panie pułkowniku, niemiaszki się stawiają, była strzelanina, pod Wąbrzeźnem, odparliśmy. Pożar w Starachowicach, szczęściem ugaszony. — A w Małopolsce Wschodniej — dwóch policjantów zabili ounowcy. Dezerter z armii niemieckiej, z rejonu Oleśna. Potwierdza obecność czternastej depe, podawaliśmy jej przybycie przed tygodniem. Mówi, że nastroje niedobre, że wojny się boją.

— Jakieś nowe wielkie jednostki?

— Nie, nic nowego. W Słowacji są ruchy. Koło Sanoka koncentrują się dywizje słowackie, pierwsza i druga. Aleśmy o tym już wiedzieli. Zresztą, co to za wojsko.

— Co w Warszawie?

— Normalnie, panie pułkowniku. Ten się kocha, owa zdradza. Jest pewien ruch w sferach gospodarczych! O Vestrim się mówi, że zwariował.

— Vestri? Babskie gadanie. Że co?

— Skupuje akcje. Głównie ciężki przemysł. Gotówką, kto chce. Przekazani na za granicę. Podobno duże kopalnie całkiem wykupił.

— Jakie?

— Nieduże, pod Nikinowcem.

— Piekary?

— Piekary - Polonię też próbuje.

Rąbicz odwrócił się do Ślizowskiego, popatrzył mu w oczy, z naciskiem:

— Proszę dokładnie. Gdzie, u kogo?

— Tak, tak, u pana ministra Burdy był także.

— Sprawdzone?

— Panie pułkowniku! W poniedziałek, dwudziestego pierwszego, w południe.

— I co?

— Muszę wyjaśnić.

— Pośpieszcie z tym wyjaśnieniem.

— Rozkaz.

— Teraz, kapitanie... — Rąbicz przypomniał sobie o tym protegowanym. — Zajmijcie się takim aktorem. Stramberg. Zmobilizowany parę dni temu. Urządźcie go gdzieś poza linią. Zna języki.

— Rozkaz. Czy do... pana pułkownika?

— Ja wiem? Zobaczcie. Wsadźcie go jakoś tak, żeby się przydał. Co poza tym? Plotki? Co o mnie?

— Wszystko w porządku, panie pułkowniku. Z pełnym uznaniem. Generał Povola wychodząc, długo majorowi Leszczyńskiemu mówił — ke plan operacyjny całkiem nowoczesny i w tych warunkach...

— Co jeszcze?

— Że skromność pana pułkownika...

— Dobrze. Słuchajcie: Knothego trzeba obstawić.

— Rozkaz.

— Rozumiecie?

— Tak jest Zresztą, jest już od kilku lat notowany...

— No, dobrze. — Rąbicz wstał. Ślizowski poderwał się, ale nie zdążył się pożegnać, gdy wpadł adiutant z kopertą „bardzo pilne". Rąbicz odszedł w kąt, otworzył: oczywiście kolejna bzdura, jakiś okólnik z Emeswojsk na temat buchalteryjny. Rzucił adiutantowi. Ślizowski z notesem:

— Stramberg, przez n czy przez m?

— Przez m — Rąbicz wymownie popatrzył na kapitana i tamten przepraszając uniósł brwi, rzeczywiście, przy osobach trzecich nie mieli zwyczaju mówić o swoich sprawach.

Rąbicz został sam. Było późno, ale nie chciał jeszcze wychodzić. Liczył, że może przyjdą jakieś materiały, może będą jakieś ważne telefony. Zwykle wychodził dopiero około drugiej w nocy, nie chciał naruszać tej cząstki legendy o sobie. Zresztą musiał przecie jakoś przemyśleć całą hecę z Knothem. Poza tym w domu mogą go złapać z Ministerstwa, ze sztabu generalnego, z eksgiszu, z emeszetu, z dziesięciu innych instytucyj, gdzie w tej chwili wre, przelewa się przez brzegi, rodzimy, polski bałaganik. W domu nie działa ten system wielokrotnej selekcji listów, telefonów i wizyt, ktory tutaj doprowadził do takiego mistrzostwa. Tutaj nie ma pułkownika Rąbicza - Trymmera, szarej eminencji, człowieka przysłowiowo skromnego, który nie przyjmuje tytułów, stopni, stanowisk, prowadzi tryb życia ascetyczny (poza tą jedną słabostką z Nelly), pracuje po dwadzieścia godzin na dobę i tak dalej i tak dalej. Tu jest tylko wysegregowana, w stanie chemicznie czystym myśl operacyjna naczelnego wodza. Myśli tej trzeba się jeszcze dziś poświęcić.

Dwa punkty w końcu wpisał na własny porządek dzienny: Knothe i jego uwagi. Jeszcze raz, pod mapę, storę ściągnął, głowę zadarł, zagapił się Armię Poznań wycofać, przypuśćmy, gdzieś nad Bzurę. Ale przy ogłoszeniu powszechnej w poznańskim mobilizuje się kilka wielkich jednostek. Co, rzucić je na łaskę i niełaskę? Parę batalionów wystarczy wtedy, żeby zagarnąć całą, najbogatszą naszą prowincję. Jaki efekt polityczny!

Popatrzył na mapę, na trzy wielkie skupienia granatowych chorągiewek, zwłaszcza na to dalsze, opolskie. Przypomniał, przypomniał wreszcie, o co chodziło w marcu. Wtedy ta koncentracja nie była tak duża, wywiad mówił o kilku dywizjach. Opracował pierwszy szkic na podstawie ówczesnych danych. Od tego czasu co tydzień, co dwa, napływała tam nowa niemiecka dywizja, a nasz plan niemal się nie zmieniał.

Zbladł, osłabł, oparł się o stół, padł na krzesło, ręką głowę przytrzymał, ciągle się gapił na to swoje dzieło. Przez kwadrans bodaj tak siedział, ani strzępka myśli nie umiejąc uchwycić, tylko czując słabość czysto fizyczną, tylko to rozkręcenie, rozluzowanie bodaj najostatniejszej, najgłębszej śrubki. Potem zwolna wspomnienia czyichś twarzy, czyichś uśmiechów, słów, komplimentów. Nasz Prądzyński — kto to? Kasprzycki? Złajdaczone oczy Povoli i ten lwi pazur. Ten to schlebiał, ale tamten? Nie, niemożliwe. Najtęższe głowy armii, najwyższe stanowiska — nie mogą całkiem, na sto procent się mylić. Coś w tym planie musiało być dobre.

Atak zwątpienia i rozpaczy zwolna się kończył. Dobrze, Niemcy wzmocnili grupę opolską, może w dwójnasób Czy jednak polityczne warunki od tego uległy zmianie? Czy możemy pozwolić na oddanie w pierwszych dniach wojny połowy kraju i to tej lepszej, bogatszej, z całym przemysłem, z arsenałami, ze wszystkim? I czy zdążymy na czas przeprowadzić nową dyslokację, poprzestawiać etapy, składy? Dywizja to nie pionek na szachownicy, ruszcie no ten tłum dwudziestu tysięcy ludzi, paru tysięcy koni, furmanek, setki dział. A jeśli Niemcy uderzą jutro, pojutrze, w czasie tych przegrupowań? Przecież to będzie masakra.

Więc nie da rady. Żadnych generalnych zmian. Trzeba tylko odwody trochę przesunąć na południe i zachód, grupę Lubusz nastawić, aby zahamowała bystry nurt niemieckiej ofensywy, zwęziła go, nie pozwoliła rozlać się i zatopić tej przedwarszawskiej niziny. Knothe?

Przypływ otuchy, zaczęty owym Prądzyńskim, był teraz dosyć wartki, by z Knothem załatwić się krótko: zawistnik, od dawna pretendował do ciepłego miejsca w sztabie. Szuka dziur w całym, jego prawo. Poza tym głupiec, w takiej sytuacji odmawiać dowodzenia, to znaczy wypisać na siebie wyrok śmierci. Cywilnej.

Wstał, przeszedł się tam i z powrotem. Drugi punkt —to był Friedeberg. Więc zwąchał się z Burdą? Racja, byli razem w trzecim. No, to sprawę przesądza. Stanął, zerknął na Opole, potem na te trzy chorągiewki grupy Lubusz. Oczy mu się zwęziły, przesunął końcem języka po wargach, które nagle stały się aż chropowate. Kiedy te Prusy będą gotowe? Wyciągnął z biurka teczkę, przerzucał papiery: Narew, Modlin, Karpaty. Ordre de bataille armii Prusy? Racja, pokazał Knothemu, potem zirytowany zmiął i gdzieś cisnął. Zajrzał pod stół, pod biurko, obejrzał kąty. Jeszcze raz biurko. W popielniczce kupka popiołów. Pewnie spalił, machinalnie, razem z owym telefonogramem. Zresztą, mniejsza o szczegóły. Sama koncepcja.

Może ta pomysłowa koncepcja jeszcze parę stopni pogody mu dodała, bo kiedy od Burdy przeskoczył na dziwne szaleństwo Vestriego, nie irytacja nadeszła, że i ten z Burdą

(Dokończenie na str. 9)

serce i nawet nie wstała, żeby przyrządzić śniadanie Zamyślony ojciec zaczął się przygotowywać do podróży.

Za dwie godziny miał wyjechać samochodem w teren Helena biegła prawie do biura — ciekawa co się tam dzieje.

Przy maszynie na podwórzu kręcił się Mietek — obok stały trzy karnistry benzyny. Tknęło ją coś. Podeszła i zakaszlała. Obejrzał się i podszedł do niej.

Dokąd się znowu wybieracie spytała, chyba wracasz przed wieczorem, przecież próba ma być o 6-ej...

— Ach, gdzie tam. Stary — tak nazywał Lenarta — kazał przygotować większą ilość benzyny i przejrzeć porządnie wóz, czeka nas daleka droga...

— I nie wiesz dokąd? — wypytywała zaintrygowana tą tajemniczą podróżą. Pociągnęła Mietka za sobą do korytarza: lepiej niech ich nikt nie widzi razem.

— Nie wiem dokąd, tłumaczył mimowoli szeptem, jakby wyczuwał złowrogi nastrój — słyszałem przez drzwi jak mówili coś o Gdyni... Mieliśmy już o 6-ej rano wyjechać i nie wiem co znowu wypadło...

Usiadła jak zwykle przy biurku i w najwyższym zdenerwowaniu zabrała się do porządkowania szuflady. Potrzebowała koniecznie trochę ruchu. Zawarczał wreszcie motor. Rzuciła się do okna — w tej chwili w drzwiach stanęła pani Lenart i obrzuciwszy ją swymi oczkami szpicla poprosiła o szybkie skończenie listy płacy: „później jest pani wolna..."

Helena zabrała się do roboty pełna najnieprawdopodobniejszych domysłów i kombinacji. Czy należało może zawiadomić kogoś o tym wyjeździe — wyglądało to przecież na zwykłą ucieczkę? Nie wiedziała sama co robić. Ogarnął ją gwałtowny chłód i strach — dziwne uczucie, że uczestniczy w jakiejś niezrozumiałej grze. Po kilka razy podliczała jedną kolumnę cyfr, czując na sobie niedobre spojrzenie pani Lenart, która krążyła za plecami Heleny, jak czarny posępny kruk. Nawet Izabeli jak na złość nie było. Dlaczego nie przyszła? Odczuła pewną ulgę, gdy koło dziesiątej posługaczka przyniosła herbatę. Staruszka miała wesołe oczki i poruszała się śmielej, niż zwykle. Gadały o pogodzie, cenach. Helena czuła, że ta paplanina irytuje panią Lenart. Gdy u drzwi zabrzmiał dzwonek „pani starsza" poderwała się z krzesła, jakby ją nagle przestraszono, po czym usiadła z powrotem. Dwu cywilów legitymowało już w przedpokoju spłoszoną posługaczkę, tłumacząc jej cel wizyty. Wymienili Urząd Bezpieczeństwa. Helenę chwycił nerwowy śmiech. Dla zamaskowania podniecenia zaczęła gwałtownie kaszleć i trzęsąc się z tego kaszlu podała przybyszom swoją legitymację...

Pani Lenartowa, doskonale już opanowana, otworzyła im drzwi od gabinetu i zapraszała do środka: — syn za chwileczkę wróci, jest właśnie w Urzędzie Skarbowym, proszę niech panowie łaskawie poczekają.

Odsunąwszy Helenę niezbyt uprzejmie od biurka chwyciła nawet za telefon, żeby dzwonić w poszukiwaniu syna.

Teraz Helena wiedziała już, że Lenart uciekł, a stara chce zyskać na czasie. Kręciła się niespokojnie z wypiekami na twarzy: uprzedzić ich, czy nie — a jeśli tak — to jak?

Lenartowa zauważyła widocznie jej podniecenie, bo patrząc spod przyciemnionych powiek przypomniała jeszcze raz: jest pani wolna.

Helenę ogarnęła złość. Wstała energicznie od biurka i weszła do gabinetu.

— Lenart uciekł — powiedziała głośno, przysuwając się do czarnowłosego chłopaka, który wstał i oparł mocno ręce na biurku — najprawdopodobniej w kierunku Gdyni...

Chwycił zaraz za słuchawkę i zerknąwszy na nią jeszcze raz spytał, czy pamięta numer wozu. Nie pamiętała, ale odszukała zaraz papiery rejestracyjne. Wynotował sobie szybko i zaczął się łączyć z Urzędem Bezpieczeństwa. Po chwili powiedział: spóźniliśmy się trochę co? — Nic nie szkodzi, ptaszek jest pod troskliwą opieką, nie ujdzie!

Usiadła na krześle i oddychała szybko.

* * *

Nigdy później nie umiała dobrze powtórzyć tej sceny. Nie wiedziała na przykład, czy zamknęła za sobą drzwi gabinetu, czy stanęła w drzwiach, czy za ścianą, czy Lenartowa widziała jej gestykulację: I za każdym razem, naturalnie, opowiadała inaczej.

Helena zastanawiała się też, czy jej praca u Lenartów — ów z góry obliczony okres — nie był pewną formą łapówki. W przewidywaniu korzyści w Ministerstwie chcieli sobie zjednać ojca.

Z gazet dowiedzieli się wszyscy wkrótce, że na 20 lutego wyznaczono rozprawę.

Gdy ojciec pochylając się nad nią szepnął „widzisz to jest ten ptaszek z klasztoru" — nie zorientowała się w pierwszej chwili o kogo chodzi. — „Drugi od lewej, przy barierze". Spojrzała we wskazanym kierunku i drgnęła: — przed nią siedział ów „brat" zmarłego Lenarta. Przyjrzała mu się dobrze, po czym przeniosła wzrok na swego byłego szefa. Siedział tuż przy barierze, obok milicjanta, który poprawiał sobie co chwila pasek pod brodą. Dalej skulona tkwiła panna Izabela, obok niej zakonnik z czarną kruczą brodą. Kleszczyński, ów dyrektor, który polecił Mazurowi kupować u Lenarta urządzenia przeciwpożarowe, i wreszcie jeszcze jeden ponury typ, jak się później okazało referent pewnego biura na Ziemiach Zachodnich. Na samym końcu kręciła się nerwowo Mary, jak zawsze świeża i wypielęgnowana. Helena oswoiła się już nieco z salą sądową i z obcym wyglądem prokuratora w czarnej todze z czerwonymi wypustami Widziała go dotychczas w jasnym sportowym ubraniu i to nowe przeobrażenie napełniło ją dziwnym uczuciem dystansu Jeśli przed tym wydawał jej się młodym, przystojnym mężczyzną, z którym można się było nawet pośmiać, to teraz daleka była od podobnej myśli. Głos jego brzmiał poważnie — dobitnie wymawiał każde słowo, akcentując szczególnie charakterystyczne miejsca w akcie oskarżenia.

Słuchała uważnie jego treści — teraz kojarzyły jej się wszystkie szczegóły Zrozumiała dlaczego na przykład panna Klarcia zrobiła zdziwioną minę na wieść o przyjeździe „brata". Oczywiście musiała się dziwić, bo żaden brat nie istniał. Odgrywał go natomiast w pewnych sytuacjach siedzący przed nią Karol Szczerbiński, który w latach 1947-8 pełnił funkcję płatnego rezydenta wywiadu angielskiego „Military Intelligence", przy czym reprezentował także w kraju emigracyjny rząd londyński. Zrozumiała też dlaczego Lenart chciał za wszelką cenę uniknąć aresztowania — było jasne, że wtedy UB dobrze przetrząśnie całe jego życie... Przypomniała sobie słowa owego funkcjonariusza z UB że „ptaszek nie ujdzie". Śledzili go najwidoczniej od dłuższego czasu. Byłby jeszcze może pochodził trochę luzem, gdyby wypadek z pasami nie poderwał mu gruntu pod nogami. Pojęła także dlaczego Mary spadła nagle na dom Lenartów — szanowny małżonek był także szpiegiem angielskim, ale zdołał zwiać. Kto też może wiedzieć, ile łajdactw miał na sumieniu. Jasna się też zrobiła rola panny Izabeli — „oskarżona Izabela Wachowiak z ramienia podziemnej faszystowskiej organizacji pełniła funkcję szefa propagandy na okręg „Bzura". Rola jej polegała na rozszerzaniu w terenie materiałów, które otrzymywała od Szczerbińskiego za pośrednictwem Lenarta. Materiały te zawierały zmyślone, szkalujące wiadomości z naszego życia politycznego, gospodarczego oraz społecznego i w formie komunikatów oraz informatorów rozprzestrzeniane były wśród innych agentów, których werbowała spośród osób zatrudnionych w przedsiębiorstwach państwowych, związanych z racji stosunków handlowych z firmą Lenarta".

Oskarżona Wachowiak była także „skrzynką", która odbierała napływające z terenu materiały szpiegowskie i przekazywała je z kolei Lenartowi — a ten Szczerbińskiemu.

Zapytana przez prokuratora o pochodzenie społeczne panna Izabela zawahała się: — Jestem córką rolnika.

— Rolnika, ale małorolnego, średniorolnego, czy kułaka? Ile ojciec miał ziemi?

— 525 ha.

— Ach, więc obszarnik — trzeba tak od razu mówić. Na sali zaszumiało znowu wesołością.

Helenie wyjaśniły się teraz częste wyjazdy panny Izabeli rzekomo w sprawach służbowych. Przypomniała sobie pewną rozmowę: panna Izabela snuła przed nią ponury obraz aresztowań wśród kwiatu „niewinnej inteligencji polskiej"... „Aresztowanego m. in. prof. X zamordowano w podstępny sposób, twierdząc, że chory zmarł na wątrobę. Żonie, biednej kobiecie nie pozwolono nawet zajrzeć do trumny"... itd itd. Helena przypuszczała, że były to próby wybadania jej i ewentualnego wykorzystania do nowych celów.

Pojmowała także powód ostatnich szykan: chcieli się mnie po prostu w ten sposób jak najprędzej pozbyć — myślała. Tymczasem młody prokurator zaczął wyliczać spis przestępstw Lenarta: — oskarżony zarówno osobiście jak i przy pomocy agentów zbierał wiadomości i dokumenty stanowiące tajemnicę państwową i wojskową, przygotowywał zbrojne zamachy na szereg działaczy demokratycznych i w tym celu agentom swoim wydał polecenie gromadzenia broni palnej i amunicji... W toku śledztwa ustalono, że oskarżony Lenart zwerbowany został do pracy na rzecz wywiadu angielskiego podczas swego pobytu w Londynie, w czym pośredniczył oficer sanacyjnej dwójki, Szczerbiński. Przed wyjazdem do Polski Lenart przeszedł gruntowne przeszkolenie szpiegowskie — do Polski wraz z matką wrócił transportem repatriacyjnym. Natychmiast po powrocie rozpoczął organizowanie sieci wywiadowczej. Do roboty tej zabrał się jako właściciel fabryki artykułów strażackich, co mu doskonale ułatwiało przenikanie do instytucji państwowych i samorządowych i ułatwiało nawiązywanie kontaktów. Fabryka obok dochodów pozwalała doskonale konspirować działalność wywiadowczą...

Słuchając zakończenia aktu oskarżenia Helena rozglądała się po sali szukając wzrokiem Lenartowej. Siedziała w drugim rzędzie, twarzy jej jednak nie mogła dostrzec, odwrócona była tyłem. Plecy jej drgały, jakby powściągała szloch.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

— Tak — pada krótkie i pokorne słówko, które podrywa z miejsca

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

„ZA TYCH CO NA MORZU"

Borys Wawreniew, autor „Przełomu", głośnej sztuki o rewolucyjnym krążowniku „Aurora" napisał jeszcze jeden utwór teatralny o problematyce marynarskiej: „Za tych co na morzu".

Akcja rozgrywa się w latach wojny ojczyźnianej w bazie dywizjonu ścigaczy na północnych brzegach Związku Radzieckiego. Bohaterowie sztuki tworzą „małą morską rodzinę", ale Ławreniew nie poluje na egzotykę wilków okrętowych, nie kokietuje widza marynarską scenerią, eksploatowaną w niejednym efekciarskim dramacie. Z tła marynarskiego wyprowadza istotny konflikt żołnierski i ludzki.

Oto poznajemy dwu dowódców grup ścigaczy. Maksimow i Borowski są jednakowo dzielni, doświadczeni, ambitni. Obaj pragną klęski wroga, obaj chcą jak najintensywniej przyczynić się do zwycięstwa, ale tylko pierwszy z nich rozumie prawdziwy sens walki i swoje w niej miejsce, drugi daje się unieść anarchicznej pysze i niezdrowemu pragnieniu własnej, nie dzielonej z nikim sławy. Idąc tą drogą — doskonały marynarz i we własnych marzeniach przyszły bohater Związku Radzieckiego — powoduje zatopienie własnej jednostki bojowej, śmierć wielu towarzyszy, staje się zdrajcą przyjaciela, wyrzutkiem floty.

Ten „ogólnoludzki" dramat dwu postaw żołnierskich autor umiał osadzić w konkretnych i jedynych warunkach radzieckich. Jakież jest bowiem rozwiązanie akcji? Mimo zbrodni Borowski zostaje przez sąd ułaskawiony, aby móc zmazać winę w karnej kompanii. „Kiedy człowiek umiera — wszystkiemu koniec: Ale kiedy żyje — może się poprawić i z innych ciężar zdjąć". Charitonow, dowódca dywizjonu ścigaczy, powiada o sprawie swojego podwładnego: „Wszyscyśmy temu winni... Jakże długo szliśmy razem, jak ślepcy nic nie widząc, nie umiejąc podać ręki towarzyszowi, aby w krytycznym momencie powstrzymać go od upadku... Myśleliśmy: bojowy, dzielny, odważny — więc wszystko w porządku. Nie! Kogut też potrafi się bić, a my jesteśmy ludźmi i to radzieckimi ludźmi!".

Komandor Charitonow jest wspaniałą kreacją bolszewickiego dowódcy. To on jest właściwym bohaterem sztuki, on reprezentuje prawdziwie humanistyczny stosunek do człowieka, oparty nie na czułostkowości, a na sprawiedliwym zrozumieniu wartości każdej jednostki w dziele społecznym. Charitonow — wychowawca i przyjaciel marynarzy, po zaprowadzeniu ładu w swojej „morskiej rodzinie" odchodzi w zakończeniu sztuki. Nie jest to jednak samotnicze „odejście" bahatera znane z wielu point literatury burżuazyjnej. Komandor idzie na wyższe stanowisko w dowództwie floty, zostawiając na swoim miejscu okrzepłego w przeciwnościach Maksimowa. Do końca czujemy jego związek z wszystkimi postaciami sztuki. Mocne zaakcentowanie solidarności społeczeństwa radzieckiego stanowi w znacznej mierze o walorze ideowym „Za tych co na morzu".

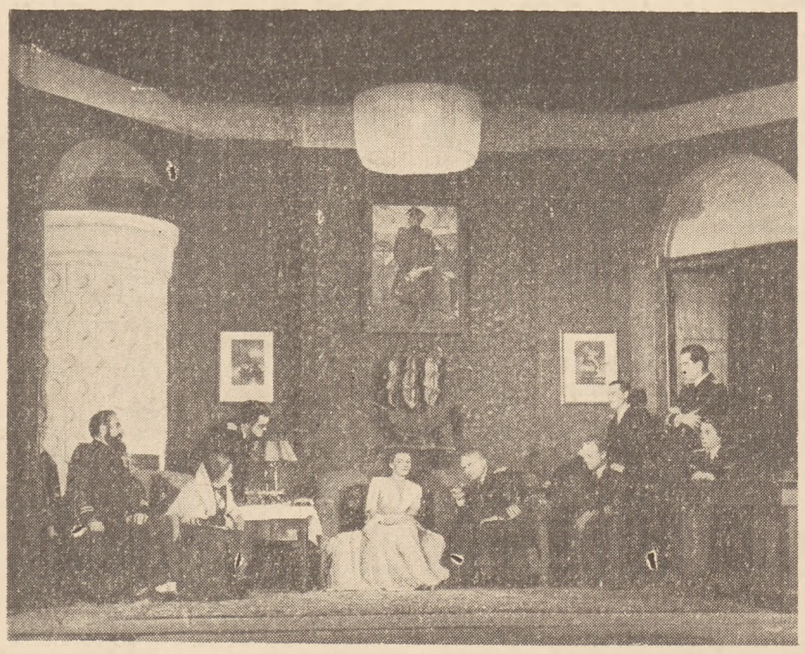

foto Film Polski

„Za tych co na morzu" B. Ławreniewa w Teatrze Domu Wojska Polskiego w Warszawie

Ławreniew umiał pokazać nieodłączność spraw tzw. prywatnych od życia zawodowego, od pracy i walki. Dojrzałość osobista określa wartość ideową, wartość żołnierską. Poważny i surowy dla siebie kapitan Maksimow zostaje nie tylko zwycięzcą w konflikcie, ale zarazem zwycięzcą moralnym, który umożliwia Borowskiemu rehabilitację.

Sztuka Ławreniewa jest niezwykle interesująco napisana. Widza trzyma w napięciu sensacyjna akcja, ale oprócz tego nie mniej frapuje linia rozwojowa trzech bohaterów, bardzo niebanalnie i konsekwentnie przeprowadzona. Słabiej zarysowane, jakby niedokończone są

foto Film Polski

„Za tych co na morzu" B. Ławreniewa. Ziejewski w roli kpt. Maksimowa, Nowacki w roli bosmana Butkowa

niektóre pozostałe postacie szluki: aktorka Gorełowa, mechanik Kłobukow, szef sztabu, bosman Łabiński.

W kompozycji autor stosuje z upodobaniem zasadę dwóch planów, co pozwala na teatralne rozbudowanie sprawy. Ekspozycja aktu pierwszego rozgrywa się podwójnie w kolejnych obrazach: pierwsze zaznaczenie konfliktu nad morzem, a potem ostateczne sformułowanie go w mieszkaniu Charitonowa. Zakończenie jest też podwójne: obraz szpitalny rozwiązuje intrygę, ale dopiero ostatnia scena nad morzem pogłębia i wyjaśnia sens ideowy wydarzeń. Te wszystkie chwyty pisarskie służą jednak w pierwszym rzędzie logice treściowej, a nie formalistycznym popisom autora. Tak np. nawiązanie w ostatnim obrazie do scenerii prologu stanowi klamrę konstrukcyjną sztuki przede wszystkim przez powtarzający się akcent służby i walki marynarskiej.

Dobrze się dzieje, że teatry polskie zaczęły zdradzać żywe zainteresowanie twórczością Ławreniewa. Na przestrzeni roku oglądaliśmy trzy sztuki tego pisarza. „Przełom" grała Łódź i Jelenia Góra, „Głos Ameryki" (ostatni jego utwór) — Wrocław, „Za tych co na morzu" (sztuka napisana w roku 1945, wystawiona w Moskwie w Teatrze Małym, przyniosła autorowi i teatrowi nagrody stalinowskie) — wystawił teatr Domu Wojska Polskiego w Warszawie.

Debiutujący w stolicy reżyser Łazarz Kobryński bardzo ukameralnił sztukę, położył nacisk na wewnętrzne konflikty między bohaterami, dzięki czemu plastycznie i przekonywująco zagrała treść ideowa i ludzka utworu. Jak na Teatr Wojska przystało, najstaranniej opracowano odsłony wiążące się bezpośrednio z marynarskością sztuki: bardzo sugestywnie i precyzyjnie odmierzającą nastrój scenę w sztabie, oraz scenę nad morzem, zamykającą całość pięknym akcentem nowego radzieckiego humanizmu.

Znacznie słabiej przedstawiały się sceny zbiorowe; epizod w górderobie aktorki przemelodramatyzowany, zresztą także nie bez winy autora. Prolog wszelkimi środkami usiłował podkreślić patetyczność i wagę wypadków (groźna muzyka Szostakowicza, kurtyna odsłaniająca się w pogrzebowym tempie, a potem chmury ciągnące nocnym niebem i polarne ciemności, w których ledwo się rysują sylwetki ludzkie) — ale w efekcie wypadł zbyt ponuro, mrocznie i „oratoryjnie".

Natomiast na dobro przedstawienia zapiszmy słuszne skreślenia licznych opowiadań: Maksimowa w pierwszy obrazie, Rekały w drugim, Butkowa w piątym; sztuka Ławreniewa jest miejscami zbyt „rozgadana". Reżyseria — mocna jak się powiedziało — w partiach kameralnych, wprowadziła szereg pomysłowych rozwiązań sytuacyjnych; na przykład parę dyskretnych i dobrych epizodów komicznych: grę w szachy w szpitalu, scenkę z gitarą Rekały w obrazie ostatnim.

Charitonowa grał Saturnin Budkiewicz — jest to bodaj najwnikliwsza i najciekawsza rola tego aktora. Był dowódcą prawdziwie panującym nad otoczeniem, żarliwie poszukującym sprawiedliwości, przykuwającym uwagę widza każdym swoim słowem.

Artysta bardzo mocno podkreślił zainteresowanie Maksimowem, czułą dla niego wylewność, w scenie badania robił wrażenie więcej złamanego niż oskarżony. Mimo jakichkolwiek zastrzeżeń, jakie może nasuwać skomplikowana i trudna rola Charitonowa, przyznać trzeba, że przede wszystkim Budkiewiczowi zawdzięczamy silne wrażenie i nastrój aktorski przedstawienia.

Tuż obok bardzo skupiona kreacja kapitana Maksimowa. Janusz Ziejewski grał człowieka zamkniętego w sobie, ale zrozumiałego dla widza, wzbudzającego sympatię i szacunek.

Jerzy Pichelski dał świetną sylwetkę wilka morskiego, konsekwentnie przeprowadził rolę Borowskiego od dufnej pewności siebie, poprzez pogłębiające się pęknięcie wewnętrzne, aż do ostatecznego zrozumienia własnej winy. Zgodnie z linią postaci najmocniej zagrał scenę ostatnią.

Helena Buczyńska dała soczysty i pełen naturalności epizod matki marynarskiej. W dramatycznej scenie nalotu połączyła z nader rzadką umiejętnością humor, prawdę i patos. Doskonała robota aktorska.

Wyróżnić należy jeszcze Janusza Nowackiego (bosman Butkow) i Klemensa Mielczarka (porucznik Rekało). Pozostali wykonawcy nie osiągnęli już tego poziomu. Kazimierzowi Chrzanowskiemu (szef sztabu) i Józefowi Szczublewskiemu (mechanik Kłobukow) trzeba wytknąć sztuczny, deklamacyjny sposób prowadzenia dialogu. Jadwiga Hodorska grała raczej szlachetną pannę z dobrego domu niż wielką aktorkę.

Oprawa plastyczna Karola Frycza zawiodła tym razem na całej linii. Dom marynarski przypominał kino na zakazanej prowincji, luksusowa kajuta okrętowa była nędzną pokoiczyną hotelową, a sztab zamiast w pieczarze skalnej mieścił się w jakiejś sionce. Przyznać jednak musimy, że rozwiązanie tak rozbudowanej dekoracyjnie sztuki na malutkiej scence przy ulicy Królewskiej nie było sprawą prostą.

St. Marczak-Oborski

ANTONI MARIANOWICZ

Satyry Swinarskiego

Książka Swinarskiego,*) stanowiąca jedną z wybitnych pozycji naszej powojennej satyry, skupia w sobie dorobek ćwierćwiecza działalności satyrycznej autora.

Od czasu wydania swego tomiku „Pamflety — Parodie — Paradoksy" zrobił Swinarski ogromny krok naprzód. Porzucił postawę kostycznego obserwatora. Świadczy o tym szczera pasja, cechująca niektóre jego pamflety polityczne. Jednym z najbardziej charakterystycznych jest znakomity wiersz pt. „Rząd francuski oświadczył"... Pisze w nim Swinarski:

„Że wiechy kwitną u dachów.
A rzeki spięte
Nowymi mostami. I wieczór
bije nam brawa.
Ale poeta jest tylko instrumentem—
W struny uderza sprawa".

Podobnie konkretne, proste i celne politycznie są wiersze „Rozróbki", „Marzyciel", „O panach nerwowych", „Nocne rozmyślania Mr. Hearsta" i parę innych.

Nierzadko jednak u Swinarskiego nadmierna literackość i elitaryzm ciążą na wymowie politycznej wierszy. Weźmy na przykład wiersz pt. „Okręty — Widma". Błąkanie się po morzach, od portu do portu, okrętów amerykańskich załadowanych bronią, mogłoby nasunąć poecie o wyobraźni Swinarskiego potężniejszą wizję, niż taki oto pseudoklasyczny, konwencjonalny obrazek:

„Płyną statki — upiory
W statkach jak w puszce Pandory
Albo w kołczanie Apolla
Zdradliwa treść — karabiny,
Bomby granaty i miny
Tanki i coca-cola".

W wierszu „Wizyta i rewizyta" rzuca się w oczy przerost ornamentacji. Znakomita pointa przytłoczona jest przepychem nagromadzonych szczegółów.

Na przykładzie innego wiersza „Jak w Koloseum..." można nawet wykazać, jak nadmierna stylizacja sprowadza utwór wyraźnie polityczny na fałszywe tory. Pierwsza część tego wiersza wysnuwająca paralelę między amerykańskimi podżegaczami wojennymi, a rzymskimi senatorami, czekającymi w loży Koloseum na sygnał rozpoczęcia zapasów, na pewno nikogo nie przekona. Bo przecież potentaci z Wall-Street nie dlatego przygotowują nową wojnę, że:

„dzisiejszy program z nudy ich
poderwie,
feerią krwi,
jedwabne czesząc nerwy;
...że dziś nareszcie
w żył zwiotczałe sploty
błogosławiony
wpełznie im narkotyk..."

Nie znaczy to, abyśmy nie doceniali takich utworów poety jak np. „Modlitwa do Apollina", przełożona niedawno na język rosyjski przez Aleksandra Bezymienskiego. Chodzi tu raczej o proporcje, na których w wypadku „Satyr" zaciążył zbiór czy charakter tomu.

Znajdujemy tu wśród wierszy pozycje z dziedziny tzw. „Satyr wiecznej" (bajki: „Muzykanci" i „S nad wilkiem"), liczne utwory obyczajowe oraz pamflety ad personam, zamykając się na ogół w zakl kręgu środowiska literackoartystycznego. Trzeba jednak stwierdzić, iż utwory o treści politycznej mimo, iż stanowią zaledwie połowę poetyckiej części tomu, nadają przez swój ciężar gatunkowy wagę całej książce.

Jej waga literacka jest bardzo wysoka. Uderza wirtuozeria i bogactwo form poetyckich Swinarskiego. Nie spotykamy się tutaj na pewno z niechlujstwem ani z kataryniarstwem, właściwym niektórym naszym satyrykom. Swinarski unika rozpowszechnionego we współczesnej twórczości satyrycznej wiersza sylabicznego i strofkowego. Celuje zwłaszcza w wierszu tonicznym o dużej muzyczności, regularnie rymowanym. Z rzadka tylko trafia się wyszukany rytm, dla wielu satyryków będący sam w sobie celem. Szczególnie unika Swinarski efektów w rodzaju kalamburu, czy monosternych rymów złożonych, składających się bądź z dwóch wyrazów jednozgłoskowych, bądź z enklityk i akcentowanego wyrazu, np.: *snu scen* i *półsen*, albo *do wrót* i *powrót*. Nie ulega wątpliwości, że takie pogwałcenie akcentu kolidowałoby z klasyczną czystością jego rymów i asonansów.

Chciałbym tu zatrzymać się nieco nad drugim obok wirtuozerii formalnej elementem, nadającym wierszom satyrycznym Swinarskiego wysoką wartość: nad ich dowcipem. Dowcip to o niezmiernie szerokiej skali, bogaty we wszelkie odcienie od rubaszności „Ballady o wiernym marynarzu" do subtelnej, mądrej ironii „Rozmowy ze św. Izydorem Oraczem". I przed tematem tak bezlesnym i drastycznym, jak bestialskie wysiedlenie obywateli polskich przez policję Mocha, Swinarski nie składa broni. Zakończenie cytowanego już wiersza „Rząd francuski oświadczył" brzmi:

„ — Niech nam poeta
przygrywa w wypoczynku
Gdy wieczór wiechy
jak lampy wygasza
Dziesięć strof bez uśmiechu
w ordy
A chciałem napisać fraszkę.
Przepraszam

U podstaw tego pełnego goryczy i sarkazmu sformułowania tkwi głębokie zrozumienie faktu, iż w obliczu niektórych wydarzeń silenie się na dowcip za wszelką cenę dałoby efekt jak najbardziej sztuczny i fałszywy. Satyra posiada bowiem oprócz dowcipu inne strzały w swym kołczanie.

Część poetycką tomu uzupełniają świetne tłumaczenia z satyry niemieckiej. Wśród nich wybija się czoło wiersz Heinego „Statek Niewolników". Jest to z pewnością jeden z najlepszych w naszej literaturze przekładów z poezji niemieckiej.

W skład tomu wchodzą poza tym „Groteski", „Parodie", oraz pewna poezji parafraza szekspirowskiego „Burzy" pt. „Huragan".

„Groteski" wydają mi się w książce Swinarskiego pozycją zbędną. Pod względem literackim tkwią one tak silnie w atmosferze międzywojennego dwudziestolecia, że są dziś anachronizmem. Nie znaczy to bynajmniej, aby odrzucać posługiwanie się groteską jako jednej z form właściwych satyrze. Operowanie „karykaturą doprowadzoną do nieprawdopodobieństwa", jak określa groteskę H. Schneegans, może dać znakomite efekty, jeśli idzie o sugestywność i popularność dzieła. W wypadku groteseк Swinarskiego mamy jednak do czynienia z elitarnymi, makabryczno-fantastycznymi noweletkami, niezmiernie dalekimi od współczesności.

I wreszcie ostatnia pozycja „Parodie". Każda z parodii Swinarskiego stanowi utwór literacki wysokiej klasy. Nie ogranicza się on do przedrwiwania czysto zewnętrznych cech twórczości parodiowanego autora, ale z niezwykłym kunsztem i dowcipem podrabia wszystkie subtelności stylu, cały podskórny rytm prozy. Każdy z tych pastiszów jest świetnie wypointowany i stanowi atrakcyjną lekturę nawet w zupełnym oderwaniu od parodiowanego dzieła.

Tom Swinarskiego jedna mu niewątpliwie czytelników. Pragnęlibyśmy ujrzeć w druku wybór kpiarskiej medii Swinarskiego, zapoznać się z tomem jego parodii literackich, a nade wszystko czytać nowe wiersze Swinarskiego na tematy najściślej związane z życiem krajowym. „Satyry" pozwalają nam wierzyć, że dalsza jego droga pisarska pójdzie właśnie w tym kierunku.

Antoni Marianowicz

*) Artur Maria Swinarski „Satyry — Huragan", wyd. „Czytelnik" 1950.

---

czcigodną matronę w czerni. Lenart rozpoczął zeznania.

Helena spostrzegła ze zdziwieniem, że jego duże brunatne oczy nie miały już owej mgiełki — przeciwnie były to szeroko rozwarte, trochę wytrzeszczone oczy śmiertelnie wystraszonego zwierzęcia. Po życiorysie i scharakteryzowaniu okresu swej młodości, jak również lat okupacji Lenart zeznał, że do wywiadu wciągał go jeszcze w Londynie oskarżony Szczerbiński, który przedostał się następnie do kraju, by osobiście kierować działalnością szpiegowską. Od niego otrzymał Lenart instrukcję dywersyjną. Nakazywała ona przystąpić do akcji terrorystycznej w stosunku do ważnych osobistości naszego państwa. Celem wykonania tej instrukcji Lenart polecił, za pośrednictwem Izabeli Wachowiak i innych agentów, z którymi się zetknął z racji kontaktów firmowych, zbierać dane o osobach pełniących ważne funkcje państwowe.

— Wtedy zrozumiałem, że pracuję dla wywiadu angielskiego, a nie w interesie Rządu Londyńskiego, jak mi to przedstawał Szczerbiński — powiedział Lenart.

— A za czyim pośrednictwem otrzymywał oskarżony pieniądze na te cele? — pada pytanie przewodniczącego.

— Dwa razy otrzymywałem pieniądze od Szczerbińskiego i dwa razy za pośrednictwem Anglików zatrudnionych w ambasadzie w Warszawie...

Gdy Lenart wyrzekł te słowa Mazur trącił Helenę lekko łokciem — wiedziała o co mu chodzi, mógł tryumfować bez reszty.

— A jaką rolę w organizacji odgrywał szwagier oskarżonego, mąż siostry Marii?

— Szwagier mój pracował w okręgu Krakowskim, to znaczy miał takie same zadania jak ja, na terenie tutejszego województwa. Przy czym wiadomości przekazywał także Szczerbińskiemu, który kierował je z kolei do Londynu. Zgodnie z instrukcją zbierał informacje o wyższych urzędnikach państwowych i magazynował broń.

Słuchającej tego spisu zbrodni Helenie przyszła nagle do głowy straszna myśl: — o tym wszystkim albo wiedziała, albo domyślała się wielu rzeczy panna Klarcia — oni ją po prostu zabili. Serce przestało jej bić na chwilę, ale straszliwa myśl nie ustępowała. Czuła, że nagła śmierć staruszki nie nastąpiła w sposób naturalny. Któż to może wiedzieć, na ile orientowała się ona w występnej działalności całej rodzinki, jakie zajmowała stanowisko?

Zapalono znowu olbrzymie reflektory: operatorzy filmowali proces. Panna Izabela zasłoniła dłonią twarz — czyniła to za każdym razem, ilekroć któryś z dziennikarzy próbował ją sfotografować.

Dalsze zeznania oskarżonych dopełniały łańcucha zbrodni: — ojca Bartłomieja zwerbowała panna Izabela — matka jej była tercjarką. W klasztorze postanowiono magazynować broń i ewentualnie szukać schronienia w szczególnie ciężkich sytuacjach. W klasztorze zamieszkał Szczerbiński tuż przed aresztowaniem, gdy zaczął mu się palić grunt pod nogami.

Sprawa ciągnęła się przez kilka dni. Helena chodziła regularnie do sądu i pilnie przysłuchiwała się rozprawie. Uzyskała nawet przepustkę dla matki, która zadręczała ją ciekawością.

Tego dnia wieczorem, gdy po przemówieniu obrońcy i ostatnim słowie oskarżonych sąd ogłosił wyrok, skazując Lenarta i Szczerbińskiego na karę śmierci, a pozostałych oskarżonych na karę więzienia od 4 do 10 lat — Mazurka westchnęła: Lenarty ho, ho, kto to był przed wojną... ale już całkiem w innej tonacji. W głosie jej dźwięczały akcenty mściwości i zadowolenia, że zbrodniarzy spotkała słuszna kara.

Opowiadając później Tadzikowi szczególnie interesujące momenty podkreślała specjalnie, że jest to kara łączna za szpiegostwo i za te pasy, które partaczył z chciwości, a miedź, mosiądz i skórę puszczał na czarny rynek... jakby mu jeszcze mało było tych dolarów za szpiegostwo.

— W ciągu jednego roku 10 tys. dolarów dostał, patrzcie go jaki idealista — wykrzywiła się z przekąsem.

* * *

Gdy połaskotana promieniami słońca Mazurowa otworzyła rano oczy i nieprzytomnym ze snu spojrzeniem obrzuciła pokój, męża nie było już w łóżku.

— Patrzcie go jaki gorliwy — mruknęła, nawet śniadania nie zjadł... I odwróciwszy się do ściany, zasnęła na nowo z uczuciem błogiego spokoju w sercu. Wstała wreszcie koło jedenastej i zrobiwszy porządek w mieszkaniu, ubrała się starannie i wyszła z domu.

— Co to pani dyrektorowa tak długo spali?—zapytała z przekąsem Lubecka, wychylając się przez okno.

— Bo teraz takie czasy nastały, że jak pani dyrektorowa chce, to sobie może pospać — odrzekła Mazurka.

Obie kobiety zaśmiały się wesoło i wymieniwszy kilka uwag na temat zaopatrzenia swych spiżarń rozstały w najlepszej zgodzie.

Pogoda była piękna i Mazurowa postanowiła przejść się pieszo.

Na wartowni zatrzymał ją strażnik i poprosił o legitymację.

— Ja do męża — odparła z godnością Mazurka, ale chłopak nie przejął się widocznie jej słowami, bo stanął w drzwiach i nie zamierzał ustąpić. Rada nie rada wyciągnęła z torebki zmięte zaświadczenie i obrzuciwszy krótkim spojrzeniem wyblakłą fotografię przedstawiającą jej kościstą i zwiędłą twarz — z okresu okupacji podała ją strażnikowi.

— To pani jest żoną nowego dyrektora — rzucił domyślnie chłopak.

Mazurka kiwnęła z uśmiechem głową i wziąwszy przepustkę skierowała się w stronę biura.

...„Fabryka Urządzeń Przeciwpożarowych, J. Lenart i spółka. Pod Zarządem Państwowym", sylabizowała nagłówek małej kartki papieru.

Sekretarka usłużnie podsunęła krzesło i kazała poczekać, u pana dyrektora jest właśnie sekretarz Partii. Wszedł już z godzinę temu, powinien zaraz wyjść, dodała, patrząc badawczo na Mazurkę, która usiadła sobie wygodnie i wysunęła do przodu nogi obute w nowe czarne buciki.

— Niech sobie pogadają, nie pali się, sama teraz jestem w domu, nie ma się do kogo spieszyć!

I chociaż sekretarka taktownie milczała, Mazurka nie mogła się powstrzymać od wynurzeń...

...Syn na zawodowego został w wojsku, oficerem będzie, a córka wyjechała na trzymiesięczny kurs ZMP... cicho teraz w domu i smutno bez nich. Rozejrzała się ciekawie po pokoju i na nowo podjęła rozmowę: — jeszcze niedawno moja Helka tu urzędowała, a tu — wskazała na obite wojłokiem drzwi, za którymi znajdował się teraz jej mąż — był pokój Lenarta... Lubił spokój koło siebie...

— To pani znała go dobrze? spytała zaciekawiona nagle sekretarka.

— Od dziecka go znałam, jeszcze jak na Starym Placu mieli fabrykę... Ale i tę nienajgorzej rozwinęli, dodała, wskazując głową widoczne przez okno zabudowania. Lenartowie, ciągnęła ironicznym tonem, ho, ho! Kto to był przed wojną...

Ku rozczarowaniu młodej sekretarki drzwi otworzyły się bezszelestnie i ukazał się w nich ów sekretarz, a za nim Mazur. Kiwnął żonie głową i uprzejmym gestem zaprosił ją do gabinetu. Weszła trochę onieśmielona i stąpając po grubym dywanie rozglądała się naokoło ciekawie.

— To ci nawet i kwiatek zostawił — odezwała się do zamyślonego męża, badając palcem wilgotność ziemi w doniczce — trzeba go podlać bo uschnie...

Gdy usiedli wreszcie na wygodnych fotelach wyciągnęła z torebki drugie śniadanie i podała mężowi.

— Masz, nie jadłeś przecież w domu... I uderzyła się dłonią w czoło: — nigdy byś nie przypuszczał co mi się śniło — idę sobie ulicą, a tu jakieś draby dźwigają dwie ciężkie skrzynie.

Wołam milicjanta — zatrzymuje ich, otwierają skrzynie i co się okazuje — jak myślisz? Dynamit, dynamit najprawdziwszy...

Ile mostów mogliby tym dynamitem wysadzić...

Mazur roześmiał się głośno z tych sennych przeżyć żony: widzę, że ciebie nawet w nocy czujność nie opuszcza ..

— Pewno, po takim doświadczeniu, jak to z Lenartami, człowiek musi zmądrzeć.

— Po nich — odparł poważnie Mazur, należało się tego spodziewać. Ich droga musiała się tak skończyć.

Anna Wysznacka

**) Patrz książka Jewninej „belais".

BARBARA BORKOWSKA

Książka o wsi łotewskiej

Wśród utworów nagrodzonych w 1949 r. w dziedzinie pracy Premią Stalinowską III-ciego stopnia znajdowała się powieść łotewskiej pisarki Anny Sakse „W górę".

Powieść ta jest obrazem przemian, jakie dokonały się na wsi łotewskiej po wyzwoleniu Łotwy i zorganizowaniu tam władzy radzieckiej. Przemiany te wiodły od biedy i zacofania, od indywidualnej uprawy ziemi do socjalistycznej, kolektywnej gospodarki, do dobrobytu. Autorka koncentruje uwagę wokół sprawy założenia kołchozu w gminie, która jest terenem akcji. W powieści jest mowa właściwie o jednej gminie, odnosi się jednak wrażenie, zamierzone zresztą przez autorkę, iż przedstawiona droga rozwojowa tej małej społeczności jest drogą całej wsi łotewskiej. Gmina zaś i jej losy są do pewnego stopnia przez swą typowość symbolem tych wielkich przemian.

Dobrze się jednak stało, iż autorka ukazała nie tylko sam moment dokonującego się przełomu, ale cofnęła się wstecz dając obraz pierwszych chwil po wyzwoleniu, pierwszych, nieśmiałych jeszcze przejawów nowego życia. Daje to możność śledzenia procesu przemian, dostarcza bogatego materiału porównawczego. Czytelnik widzi więc jak stopniowo przeobrażają się stosunki w małym dość, ale charakterystycznym, wiejskim środowisku.

Te drobne zmiany gromadzą się powoli, aby doprowadzić wreszcie do istotnego — chciałoby się powiedzieć jakościowego — przełomu, do założenia kołchozu. Niewątpliwą zsługą autorki jest takie uszeregowanie faktów, iż zmiany narastają niejako na oczach czytelnika. Gdy młody chłop mówi: „myślę, że czas już założyć kołchoz", rozumiemy, że moment ten, uświadomienie konieczności kolektywnej gospodarki, musiał przyjść i wszystko, co działo się poprzednio, było przygotowaniem do niego.

Szeroko, z rozmachem nakreślony obraz wsi łotewskiej odznacza się trafną charakterystyką środowiska. Autorka nie upraszcza i nie zamazuje walki klasowej toczącej się między kułakami, bandytami a biedniakami; przeciwnie, stara się wydobyć w powieści najbardziej istotne jej przejawy. Wieloplanowość powieści, konflikty poboczne i zdawać by się mogło drugorzędne — przemiana Eryka, losy Emmy, stosunki rodzinne u Orłów — sprowadzają się w rezultacie do jednego podstawowego zagadnienia — walki o socjalizm, o socjalistycznego człowieka. Przez wprowadzenie zaś szeregu epizodów i wielu postaci osiągnęła Sakse pełnię, wszechstronność obrazu. Odtworzenie życia zgodnie z prawami jego rozwoju, żywe zaangażowanie pisarki w walce klasowej, wydobycie cech tworzącego się człowieka socjalistycznego, oto co jest zasadniczym powodem, dla którego „W górę" jest jeszcze jednym utworem wzbogacającym literaturę realizmu socjalistycznego.

W związku z wszechstronnością i prawdą odtworzonego w powieści życia nasuwa się jedna uwaga. Otóż w powieści wcale nie występują robotnicy. Przemiany przebiegają tylko przez wieś, która żyje w pewnej izolacji od miasta. Chłopi walczą właściwie sami, pod kierownictwem członków partii, ale też nie robotników. Do partii należą najlepsi, najwartościowsi ludzie, tacy jak Juris Oroł, Dilis Bauska, Rendenijek. Wszyscy oni są oddani sprawie, silnie związani z masami, z których wyszli i pośród których działają. Jednak klasa robotnicza, która jest najbardziej rewolucyjna i która z tej racji winna prowadzić masy pracujące miast i wsi, na łamach powieści nie ma ani jednego reprezentanta. U Sakse brak ten niewątpliwie wypływa po części stąd, że na Łotwie, która jest krajem wybitnie rolniczym, klasa robotnicza jest stosunkowo nieliczna. Autorka powinna była jednak wykazać, że sprawa kolektywnych gospodarstw jest sprawą nie tylko wsi lecz i miast.

Na kartkach książki ani na chwilę nie przestaje toczyć się walka przybierająca różne postacie, rozgrywająca się na różnych, odmiennych częstokroć, płaszczyznach. Trzeba było walczyć z kułactwem, z faszystowską bandą, z ludzką ciemnotą, obojętnością, biurokratyzmem, oportunizmem. Podczas gdy żołnierze Armii Czerwonej walczyli na froncie z hitlerowcami, na zapleczu toczono bitwę o dostawy dla frontu. „I tu jest wojna i być może niemniej zaciekła" mówi jeden z bolszewików organizujących zaplecze. I tu były ofiary — stara matka partyzantka Warega, komunistka Wilis Bauska. W powieści jest moment, gdy banda faszystowska działająca na terenie została ostatecznie zlikwidowana, zdawać by się mogło, że słowo „walka" zniknie z dalszych jej kart; tymczasem jest inaczej. Autorka już tytułem następnego rozdziału podkreśla, że „walka trwa", przenosi się tylko na inny odcinek życia. Takim postawieniem sprawy Sakse nawołuje do nieustannej czujności, do walki aż do ostatecznego zwycięstwa. I właśnie ta siła mobilizująca jest wielką zaletą utworu, stanowi między innymi o tym, że jest on bardzo aktualny na naszym gruncie.

Chcąc dać prawdziwy obraz przemian autorka nie mogła pominąć charakterystyki tych wszystkich, którzy byli przeciwni i wrogo ustosunkowani do rewolucji, starając się opóźnić marsz Łotwy do socjalizmu.

Kułacy w powieści to nie wrogowie występujący jawnie i otwarcie; bronią ich jest plotka, sabotaż, oszustwo, działają podstępnie, skrycie, udając częstokroć przyjaciół, zwolenników władzy radzieckiej. W rzeczywistości nienawidzą nowego porządku, gdyż uniemożliwił im bogacenie się i rządzenie w gminie. Nienawiść ta łączyła ich z faszystowską bandą ukrywającą się w lasach, której czynnie pomagali. Bogacze wiejscy inspirowali napady, dawali bandytom żywność, spośród nich rekrutowali się członkowie tej szajki, która głosząc hasła o wolnej Łotwie, była na wskroś faszystowska. Sakse ukazuje nam również jak kułacy potrafią szybko „przystosowywać się" do nowych, zmienionych warunków. Gdy zawiodły nadzieje na powodzenie akcji zbrojnej i bandę zlikwidowano, kułacy poczęli uprawiać sabotaż gospodarczy wstrzymując akcję skupu zboża, opóźniając żniwa, szerząc plotki w czasie bitwy o zboże.

Walka przebiegała jednak nie tylko między biedniakami a kułakami, ale toczyła się w samych ludziach. Sprawa założenia kołchozu nie jest bowiem przedstawiona jako mechaniczne połączenie gruntów drogą administracyjną lecz jako głęboka przebudowa psychiki ludzkiej. To też na drodze do wprowadzenia nowego stał nie tylko bogacz wiejski, ale i wewnętrzne opory tkwiące w chłopach. Po rozmowie z chłopami Oroł „musiał pomyśleć o tym, jak gwałtowny zwrot w duszy chłopskiej stanowi przejście do gospodarki kolektywnej. Chłopu trudno zrozumieć, że w kołchozie jest gospodarzem ziemi, chociaż nie jest ona zapisana na każdego oddzielnie; że koń, chociaż stoi w ogólnej stajni, a jego dokumenty nie leżą w kieszeni u chłopa, mimo to należy do niego i że ten koń w dalszym ciągu będzie pracował na niego, że trzeba się o niego troszczyć i że każdy winien go oszczędzać jak swojego". I dalej nasuwa mu się uwaga „jak głęboko i trafnie zrozumiał Lenin duszę chłopa mówiąc, że siła przyzwyczajenia jest najstraszniejszą siłą".

Siłę tę udało się wreszcie świadomym chłopom przezwyciężyć i w gminie założono kołchoz — mocnym tym akcentem kończy się powieść. Sakse nie sugeruje jednak wcale, że z chwilą tą zakończyły się wszelkie trudności. Przeciwnie, gdy nadawano kołchozowi nazwę młody chłopak zaproponował: „może lepiej nazwijmy „Na górze", ale drugi członek nowozałożonego kołchozu odpowiedział: „Niech nazwa mówi nam, że nie powinniśmy zapominać o trudnościach naszego wysiłku. Ta nazwa mówi także o czymś innym, chociaż trudno usuwać powojenne braki, ale mimo to życie idzie jakby ku szczytom, w górę, ku postępowi". I dlatego nadano kołchozowi nazwę „W górę".

W powieści tej bohaterem jest właściwie cały zespół ludzi, cała gmina. Mimo to, zbiorowość nie jest jakąś masą złożoną z bliźniaczo podobnych jednostek, ale sumą ludzi mających swe własne oblicze. Osoby występujące mają swoje własne życie, są zindywidualizowane i bardzo wnikliwie scharakteryzowane, a co najważniejsze — nie są postaciami papierowymi, nieżyciowymi.

Powieść łotewskiej pisarki winna być bliska polskiemu czytelnikowi, bliska i potrzebna. Dziś, gdy na wsiach toczy się szczególnie ostra walka klasowa, gdy powstaje coraz więcej spółdzielni produkcyjnych, książka ta powinna iść w teren i mówiąc prawdę o drodze wsi łotewskiej do socjalizmu wskazywać ją pracującemu chłopu walczącemu u nas z kułactwem i często — z własną „siłą przyzwyczajenia".

Barbara Borkowska

BOLESŁAW BUDZIŃSKI

O radzieckiej Kamczatce*)

Terytorialny ogrom Kraju Rad i związana z tym geograficzna i ludnościowa różnorodność poszczególnych obszarów tworzą zespół okoliczności przyrodzonych, wzbogacających literaturę radziecką pod względem tematycznym szeroką skalą możliwości i urozmaiceń. Istotnie, znajdziemy w tej literaturze wiele utworów, opartych na tematyce lokalnej, poświęconych sprawom bytu ludzi i ludów, zamieszkujących najdalsze, najbardziej „egzotyczne" rubieże Związku Radzieckiego. Ale — zgodnie z ogólnymi założeniami literatury społeczeństwa socjalistycznego — egzotyka niektórych jej utworów nie ma nic wspólnego z egzotyką w literaturze burżuazyjnej, gdzie chodzi jedynie o wyszukiwanie motywów, smaczków i curiosów, łechcących „niezwykłością" zblazowane gusty mieszczańskich odbiorców.

Pisarz radziecki, pisarz epoki stalinowskiej, inne stawia sobie cele i zadania, gdy wkracza na teren „egzotyczny", gdy opowiada o życiu dalekich krajów i narodów radzieckich, którym dopiero Rewolucja Październikowa przyniosła światło cywilizacji — i perspektywy wszechstronnego rozwoju, pragnie pokazać przede wszystkim, jak w warunkach ustrojowej i ideologicznej integracji mogą być i są zachowywane pozytywne odrębności i właściwości kultur narodowych i w jaki sposób te cząstkowe, lokalne wartości kulturowe przyczyniają się do wzbogacenia wspólnego skarbca całej społeczności radzieckiej, do pomnożenia jej materialnej i duchowej potęgi.

Taka właśnie tendencja pisarska leży u podstaw kamczackich opowiadań A. Kalinczenki, który przewędrował najdalsze północno-wschodnie kresy ZSRR i bezpośrednio zapoznał się z ich bytem. W cyklu pięknych i ciekawych opowiadań, których epicki rytm wewnętrzny przypomina sagę skandynawską, Kalinczenko zawarł dzieje plemion kamczadalskich w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu. Ten wątek historyczny, rozwijający się na tle surowej i ubogiej przyrody północnej, której głównymi elementami są śniegi i mrozy, przestrzenie tundry, jurty pasterzy i stada renów, obejmuje trzy zasadnicze okresy. Pierwszy, gdy plemiona kamczackich hodowców, zamknięte wespół z innymi w ogromnym więzieniu caratu, cierpiały srogi ucisk ze strony „książąt" i szamanów, wykorzystujących bezlitośnie archaiczne przywileje rodowo - patriarchalnego ustroju. Drugi, gdy po zwycięstwie Rewolucji Październikowej i ustanowieniu władzy radzieckiej, imperialiści całego świata podjęli próby interwencji, a na Kamczatkę wkroczyły wojska japońskie, wespół z białogwardzistami mordując i grabiąc spokojną ludność miejscową. I wreszcie — okres trzeci, gdy władza radziecka, umocniwszy się w centrum i na peryferiach młodej Republiki, zbrojną ręką czerwonoarmistów i partyzantów przepędziła z syberyjskich kresów japońskich najeźdźców, przynoszą kamczadalskim pasterzom i rybakom ostateczne wyzwolenie i możność rozpoczęcia nowego i szczęśliwego życia. Nieustraszonymi przodownikami w tej walce byli komuniści, wierni synowie partii Lenina - Stalina, tacy jak ukazani przez autora opowiadań — Koptiew, Kriepow, Poweler. Potrafili oni zagrzać do buntu i oporu plemiona biednych koczowników, zapewniając przy ich pomocy triumf sztandarom Rewolucji.

Miarą ogromu przemian polityczno - społecznych i kulturalnych, dokonanych przez władzę radziecką na dalekiej ziemi kamczackiej są dziś kwitnące kołchozy hodowlane, szkoły, świetlice i szpitale, podnoszący się nieprzerwanie dobrobyt ludności, umożliwienie jej dostępu do źródeł oświaty, nauki, kultury. Nie darmo córka jednej z bohaterek opowiadań studiuje w leningradzkim wyższym zakładzie naukowym. Podobnie jak wielu innych jej rówieśników, powróci do swego kraju, by nabytą wiedzą i kwalifikacjami stać się mu użyteczną, a służąc własnemu małemu narodowi, służyć będzie tym samym całej wielkiej radzieckiej ojczyźnie.

O trudach i mozole dróg, wiodących do takich osiągnięć, o zwycięstwie mądrej, sprawiedliwej i przewidującej polityki narodowościowej partii bolszewickiej — mówią duchem najszczerszego humanizmu przeniknięte „Opowiadania kamczackie" Kalinczenki.

Bolesław Dudziński

*) **Andrzej Kalinczenko. Paschale. Opowiadania Kamczackie.** Tytuł oryginału: „Kamczatskije druzja".— Przekład autoryzowany Marii Aszer. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1950. — Str. 238 i 2 nl.

ANDRZEJ WASILEWSKI

Obrońca endeckiego mitu

Wiadoma rzecz, że reakcja nie oddaje straconych pozycji bez walki. Pana J. M. S., prasowego sprawozdawcę „Tygodnika Powszechnego", bardzo dotknęło, iż ogłoszone w moim artykule („Nowa Kultura" nr 34/35) fragmenty dziennika Stefana Żeromskiego pozwoliły przedstawić młodość wielkiego pisarza w prawdziwym świetle. Szczególnie zabolał go fakt gruntownego podważenia fałszów endeckiego biografa, Noyszewskiego, który z żenującą beztroską naginał życiorys młodego Żeromskiego do agitacyjnych potrzeb endecji.

W szerokim wyborze fragmentów z pamiętnika starałem się możliwie pełnie przedstawić ewolucję ideową młodego Żeromskiego. Krytyce marksistowskiej obce i niepotrzebne są przemilczania, krętactwa i fałsze. Ilustrujące mój komentarz cytaty odzwierciedlały bez osłonek walkę wewnętrzną, ścieranie się przeciwieństw ideowych w chłonnym i wrażliwym umyśle Żeromskiego. Obok cytatów sprzeciwiających się ideom socjalistycznym były wyznania świadczące o przenikliwości zmysłu obserwacyjnego pisarza. Więcej — one właśnie, przyznające historyczną rację rewolucyjnym dążeniom ludu, zaprawione zostały największą żarliwością. Starałem się wykazać dynamikę tych wahań: środowisko warszawskie działało na Żeromskiego hamująco, gdy bezpośredni kontakt z obnażonymi konfliktami społecznymi otwierał mu oczy na historyczną prawdę.

Czy były to wahania w wyborze między endecją a socjalizmem? Nie! Najbardziej mętne, najbardziej zacofane wyznania Żeromskiego nie pozwalają zaciągnąć go pod czarnosecinny sztandar. To też karkołomną sztukę wyczynia pan J. M. S., starając się na korzyść „wersji endeckiej" zdyskontować „rys solidaryzmu narodowego".

Po pierwsze: pan J. M. S. przemilcza wszystkie, niezwykle ostro sformułowane wyznania świadczące o bezlitosnym załamywaniu się „solidaryzmu narodowego" w poglądach pamiętnikarza. Bezceremonialność pana J. M. S. w zestawianiu i wykrawaniu drobnych zdanek z obszernych cytatów byłaby niewiarygodna, gdyby nie przypominała znanej metody Noyszewskiego.

Znamienna rzecz: gdy krytyka marksistowska w pełni odsłania pozytywne i negatywne z jej stanowiska cechy pisarza — J. M. S-i kontynuują tradycję przemilczeń i fałszów. Gdy my możemy sobie pozwolić na prawdę — oni wolą jej unikać.

Po wtóre: wypaczając znane fakty historyczne, pan J. M. S. stara się powrócić do tezy o „endeckości" młodego Żeromskiego jedynie na podstawie „rysu solidaryzmu narodowego" (w pełnym kontekście pamiętnika bardzo zresztą zachwianego). Niechże pan J. M. S. wyjaśni, co to za wyjątkowy „endek", który z taką pasją i nienawiścią atakuje obszarnictwo, kler, burżuazję miejską i wiejską? Który z taką namiętnością staje w obronie biedoty wiejskiej i oskarża jej ciemiężycieli? Który z taką żarliwością marzy o walce narodowo-wyzwoleńczej?

Czy pan J. M. S. chce kogoś przekonać, że endecja, ofiarowując carskim siepaczom swe usługi w dławieniu ruchu rewolucyjnego, dążyła do niepodległości Polski? Czy chce zasugerować, że gorący choć niekonsekwentny w swym rozumowaniu patriotyzm Żeromskiego da się pogodzić z lojalno-ugodową orientacją endecką, z sojuszem z zaborcami, ze zdradą narodową?

Muszę zaprotestować przeciw praktykom Tygodnikowego sprawozdawcy poczynającego sobie z tekstem artykułu w sposób niegodny. Zacytowawszy fragment o niepodległościowych dążeniach Żeromskiego, pozwala sobie dołączyć doń z innego miejsca artykułu mój komentarz o antysocjalistycznym wystąpieniu pamiętnikarza. Tak spreparowany zlepek ma zasugerować, że w artykule tym podkreślam sprzeczność tych dwu postaw. Ano, metoda warta celu. Czyżby to jednak w mniemaniu pana J. M. S. miał być drugi argument przemawiający za „endeckością" Żeromskiego? Jeżeli tak, to równie karkołomny: gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie dążenia narodowo - wyzwoleńcze, a gdzie... Narodowa Demokracja.

Jasne jest dla każdego, że nie starałem się uczynić Żeromskiego konsekwentnym wyznawcą idej socjalistycznych, choć niewątpliwie wiele najpiękniejszych cech jego umysłu i serca zbliżało go do nich. Jeżeli jednak było w jego postawie dość rysów oddalających go od ideologii rewolucyjnego proletariatu, nie jest to przyczyna, aby go pogrążać w endecji. Z drugiej strony, jakkolwiek z chwilą organizacyjnego ukształtowania się PPS Żeromski zaliczył się do grona jej sympatyków, nie znaczy to, aby w pełni mieścił się w ramach programu PPS. We właściwym czasie potrafił się odciąć od piłsudczyzny. Uczciwością i żarliwością w oddawaniu konfliktów społecznych wybiegał daleko poza cele pepesowskich prowodyrów.

Pragnąłbym w zakończeniu wyjaśnić wątpliwość, jaką mimochodem posiałem w strapionym umyśle pana J. M. S. Zaniepokoił się on mianowicie gwałtownie sprawą antyklerykalnych wystąpień Żeromskiego. Uznając zresztą prawo pamiętnikarza do antyklerykalizmu, zarzucił mi, że nie udowodniłem naukowo, iż Żeromski „stracił wiarę i przestał być praktykującym". Istotnie nie zająłem się tym. Po prostu dlatego, że nie interesuje mnie dogmatyka i uważam, iż dla naukowej konstrukcji ideowej postawy pisarza wystarczy stwierdzić fakty o społecznej, obiektywnej doniosłości — a więc niezaprzeczony antyklerykalizm. Skoro jednak przyczyniłem się do takich niepokojów, dodam, że poza najwcześniejszym okresem pamiętnika (z lat 1882—1883, kiedy autor był osiemnastoletnim chłopcem) — nigdzie nie natrafiłem na ślad „praktykowania". Co zaś do kwestii wiary, wystarczy stwierdzić, że wyznań w sprawach wiary, rozterek religijnych — nie ma w pamiętniku Żeromskiego.

Ku czemu tedy zmierzał wysiłek prasowego sprawozdawcy „Tygodnika Powszechnego"? Ku podparciu zakwestionowanego mitu endeckiego o Żeromskim. Jakimi metodami posłużył się pan J. M. S. dla odbicia utraconych pozycji? Metodą tuszowania, przemilczania, niegodnych praktyk wokół tekstu, wreszcie ignorowania historii.

Andrzej Wasilewski

Turkusowe chorągiewki

(Dokończenie ze str. 7)

się zwąchał, ale właśnie poczucie, że w tym musi być coś pomyślnego. Vestripotentat, Vestri — szczwany lis. I w tej sytuacji międzynarodowej wykupuje ciężki przemysł. Płaci gotówką — no, to nie on wariat, ale ci co biorą. Ale też załatwia przekazy na za granicę?

Akcje pojechały w dół, staniał nasz przemysł, to jasne. Więc co, Vestri gra na tej zniżce? Lokuje pieniądze w takiej chwili? Agent niemiecki? Brednie, ma dossier w dwójce czyste, jak łza. W tym punkcie. Zresztą, akurat by Niemcy liczyli się z jego prawem własności w razie czego.

Była jedna hipoteza — odprężając się aż do uśmiechu po owej fali rozpaczy, jej właśnie Rąbicz się uchwycił. Stary lis Vestri, wie, co się szykuje. Nie pakowałby milionów w zaprzepaszczony interes, gdyby liczył na wojnę. Pewnie jego belgijscy krewniacy, angielscy powinowaci, skandynawscy kumotrowie zapewnili go — wszystko w porządku. W ostatniej chwili, gdy palce już będą na cynglach — jakiś lot, jakaś obiecanka, może ustępstwo. I wtedy — no, jaki potentat z niego wyrośnie!

Oto i dwie przyczyny dla radości. Raz, że knothowe gadanie pozostanie całkiem akademickie. Dwa, że mają rację ci od Prądzyńskiego. Oto inteligencja najżywsza, najprzenikliwsza reżymu. No, niech się ten Vestri napatoczy. Przyjemnie jest rozmawiać z kimś, kogo się widzi na przestrzał.

Za dwadzieścia druga, można się zbierać. Jeszcze pod mapę. Z tą grupą Lubusz, racja. Może przecież Povola? Tak czy owak, chorągiewki wyglądają nieprzyjemnie, te granatowe. Wziął jedną, przymierzył do czerwonej. Nie, taka sama. Psiakrew, może trochę przystrzyc? Jutro w południe marszałek przyjedzie na pewno, choć na pół godziny.

Już drzwi zamykając, już po „dobranoc" — rzucił Leszczyńskiemu. — Trzeba zamienić te niemieckie chorągiewki. Nie przepisowy kolor. Winny być, ja wiem? Jakieś turkusowe.

Jerzy Putrament

JERZY PŁAŻEWSKI

PROPOZYCJE FILMOWE (6)

O publicystyce filmowej

W katalogu paryskiej firmy Pathé z wiosny 1904 roku, zawierającym wykaz kilkudziesięciometrowych filmików, dostarczanych do eksploatacji pierwszym posiadaczom aparatów projekcyjnych, znajduje się pewna interesująca pozycja. Między naiwną „Fermą duchów" i patetycznym „Ostatnim wystrzałem" natrafiamy tam na 25-cio metrową sensację: „Zabójstwo serbskiej rodziny królewskiej".

Bądźmy spokojni: przy krwawych wypadkach belgradzkich z 1903 roku nie asystował z kamerą w ręku żaden operator filmowy. Po prostu pomysłowy paryski przedsiębiorca wynajął grupę kiepskich aktorów o twarzach południowców, przygotował jedną „wschodnią" dekorację i na jej tle kazał umierać Aleksandrowi i Dradze Maszin.

Publiczność żądała filmowych świadectw o życiu i aktualnych wydarzeniach, zanim jeszcze technika kinematograficzna pozwoliła na filmowanie zdarzeń wprost z życia, na ulicy.

Dzięki operatorowi kroniki filmowej możemy dzisiaj oglądać na ekranie Czerwoną Armię z 1917 roku i przemawiającego na wiecu Lenina, i manifestację pokojową w Szanghaju. Film staje się dokumentem epoki, wierniejszym i wyrazistszym niż gazeta czy książka. Chociaż podobnie jak gazeta, czy książka, adresowany jest zasadniczo nie do przyszłych pokoleń, lecz do współczesnego widza.

Polska Kronika Filmowa, powstała wraz z odrodzeniem się naszej państwowości w 1944 r., posiada długi szereg gorszych i lepszych poprzedniczek, których ujemne i dodatnie strony niejednokrotnie były już rozstrząsane.

Jest jednak wzgląd, który każe popularnemu PKF-owi wyznaczyć w historii kronik filmowych zasadniczo odrębne miejsce. PKF, w przeciwieństwie do kronik państw kapitalistycznych, jest bojowym periodykiem filmowym kraju, który w drodze do socjalizmu w niezwykle szybkim tempie zmienia swoje oblicze.

To nakłada obowiązki. To każe powracać, co jakiś czas, do ustalonych kryteriów i weryfikować je, przymierzając do faktów.

Jeśli wyodrębnimy w twórczości dokumentarnej cotygodniowy numer Polskiej Kroniki Filmowej od dłuższych, jednotematycznych filmów dokumentarnych, to dokonamy podziału analogicznego do podziału na książki z jednej strony, a gazety i czasopisma z drugiej. W filmie jest podobnie, jak w publicystyce pisanej: książka jest aktualna dłużej i posiada większy walor od gazety. Stąd łatwo o wniosek, że teoretyzując o publicystyce filmowej trzeba skupić uwagę przede wszystkim na dłuższych filmach dokumentarnych, a nie na PKF-ie.

Postępując odwrotnie, czynię tak dla dwóch względów: nasza Kronika posiada stały, bardzo szeroki krąg odbiorców, którego nie umiał dotąd znaleźć film dokumentarny, przez co i jej oddziaływanie społeczne jest większe; po drugie — Kronika, jej reżyserowie i operatorowie są naturalną pepinierą poważnych dokumentarzystów, podejmujących samodzielnie większe prace.

W tematyce, do której sięga dokumentarzysta, spotykamy się z dwoma zasadniczo różnymi rodzajami ujęć, których odrębność jest dla filmowca oczywista, ale dość trudna do zdefiniowania. Krytyka radziecka osnowę pierwszego ujęcia nazywa **„sobytje" (wydarzenie)**, drugiego zaś — **„służet" (temat)**, co jednak także nie oddaje istoty rzeczy. W języku polskim odpowiednie terminy nie są jeszcze ustalone.

O co chodzi? Ano: Prezydent Pieck przyjeżdża do Warszawy — wydarzenie. Sejm uchwalił Ustawę o Obronie Pokoju — wydarzenie. Ale: stację Warszawa-Śródmieście obsługuje brygada kobieca — temat (że posłużę się terminologią radziecką). Produkujemy w Tarchominie penicylinę — temat. Odbudowuje się zaniedbany Garwolin — temat.

Oczywiście można przytoczyć wiele przykładów pośrednich, w których obok elementu „wydarzenie" istnieje element „temat", lub odwrotnie. Np. otwarcie szkoły awansu społecznego dla przodowników-murarzy, lub wizyta w Wytwórni Filmów Fabularnych, która kończy zdjęcia do nowego filmu. Ponieważ nie chodzi o scholastyczne szufladkowanie, lecz o podział roboczy, istnienie takich pogranicznych przykładów wcale mi nie przeszkadza.

Dokonawszy podziału tematów jedźmy dalej, czyniąc po drodze jeszcze jedną wycieczkę w przeszłość, tym razem niedaleką.

Kapitalistyczni właściciele kronik filmowych z lat trzydziestych traktowali swych operatorów jak dostarczycieli kilkunastu ruchomych fotografii. Tam, gdzie miało się zdarzyć coś sensacyjnego — od przecięcia wstęgi po wyścigi psów włącznie — wysyłali operatora, tak, jak agencje fotograficzne wysyłały fotografów. Do takich tematów nie trzeba było niemal żadnego uprzedniego scenariusza. Wystarczało w dość bierny sposób sfotografować wydarzenie, którego się było świadkiem. Żeby zaintrygować niewymagającego widza wystarczał nagi, nieskomentowany fakt.

Nie twierdzę, by dzisiaj brakowało faktów (wydarzeń — według cytowanej nomenklatury) w zasadniczy, nieuwuznaczny sposób odbijających najistotniejsze przejawy naszej rzeczywistości. Ale potężne przemiany jakie się u nas dokonują, wszechogarniająca walka nowego ze starym, żłobi sobie tysiączne koryta, czasem nawet wąskie i trudno dostrzegalne, a przecież doniosłe, bo należące do świata przyszłości. Istotą nowego w naszym okresie przełomu jest to, że budowanie socjalizmu odbywa się nie tylko poprzez akty rządowe, dyplomatyczne spotkania i oficjalne akademie, ale przez narodziny nowego stosunku do pracy, przez wzrastanie nowego, świadomego

JAN LENICA

WYSTAWA PLASTYKÓW AMATORÓW

„Orka jesienna" — Franciszek Pasymowski — Zw. Zaw. Państwowców, Pruszków

„Tak poszedł w kwiaty i anioły,
Tak zaczął lepić chimeryczne
Zwierzyńce, armie egzotyczne,
Indiany, Turki i Mongoły,
Tak się zaczęły obrazeczki
Techniką „kolorowej sieczki":
„Bój pod Cuszimą", „Smok [wawelski",
„Jarmark w Łowicza", „Krąg [anielski",
„Kolumb pomiędzy tubylcami",
„Dno morskie", „Sklepik [z zabawkami"...
. . . . . .
Tak na kółeczku kartonowym,
Co się w zegarku mogło zmieścić,
Kaligraficzny cud wypieścił:
Psalm Dawidowy, przepisany
Czarnym i srebrnym atramentem
„W sprężynkę", dośrodkowo, kręto,
Z mikroskopijną lutnią w centrum..."

(Julian Tuwim — Kwiaty polskie)

Ten naiwno-romantyczny warsztat plastyka-amatora z czasów pana Dziewierskiego zmienił się zasadniczo w ciągu kilku dziesiątków lat. Kolejarz, który w chwilach wolnych od pracy chwytał za paletę, zaczął uczęszczać do Państwowego Ośrodka Kultury Plastycznej, gdzie nauczył się wielu ciekawych rzeczy, dotąd mu nieznanych, rozszerzających krąg jego wiedzy. Zaczął inaczej patrzeć na otaczający go świat, aż wreszcie pewnego dnia, nie mogę powiedzieć, czy bez żalu, pożegnał się z Kolumbem pomiędzy tubylcami. Odkrywał teraz niepokojące piękno krajobrazu, wśród którego żył, wyrzynał w miękkich deskach przedziwną grę słońca na murach ulic, którymi codziennie chodził, uwieczniał na papierze skomplikowane rysy twarzy znanych mu ludzi. I już nie techniką „kolorowej sieczki", umiał się teraz doskonale posługiwać rylcem i pędzlem, znał już niektóre tajniki techniki malarskiej.

Byłem zaskoczony wysokim poziomem grafiki pokazanej na wystawie plastyków - amatorów zorganizowanej w pierwszej połowie lutego przez Wydział Kultury i Oświaty Okręgowej Rady Związków Zawodowych woj. warszawskiego w Domu Rzemiosła w Warszawie. To już nie zachwyt nad wzruszająco nieporadną twórczością

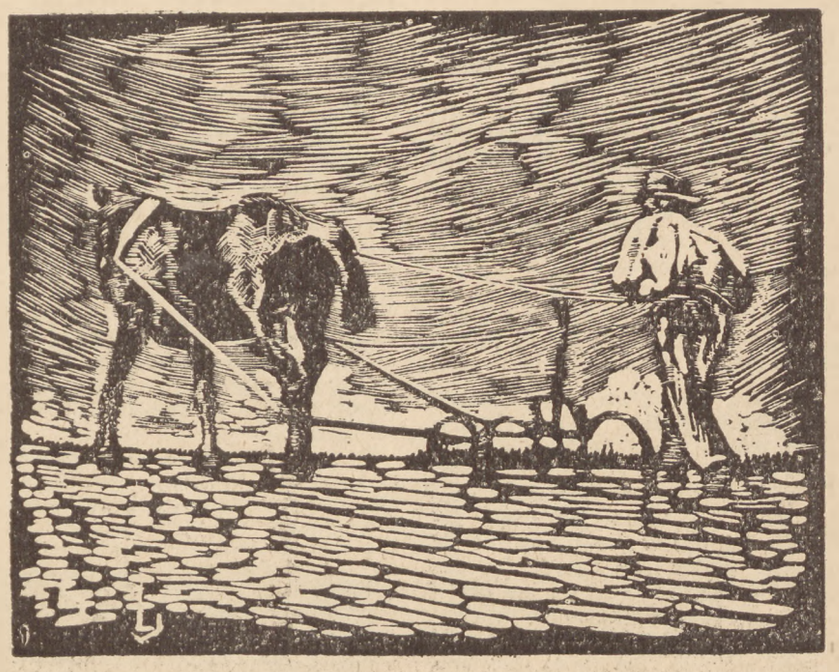

„Orka jesienna" — Jan Lewandowski — Z.Z.P.I.S. — PRZZ Pruszków

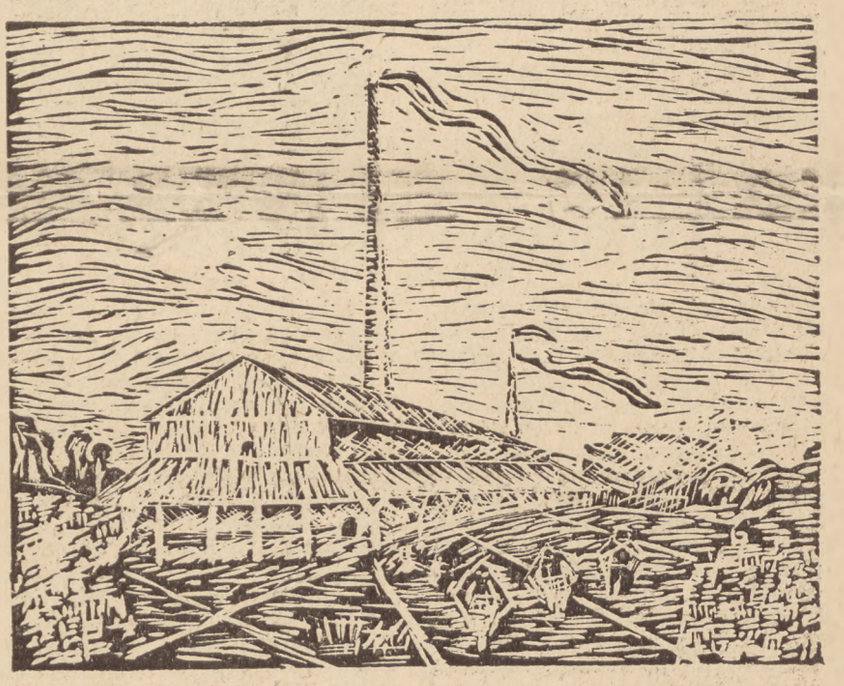

„Cegielnia" — I. Witecka — Zw. Zaw. Prac. Budowlanych — Cegielnia Chrzanów

artystów, o których mówi powyżej poeta, przecież te drzeworyty świadczą o świetnej znajomości praw sztuki czarno - białej, o zupełnie dojrzałym, śmiałym komponowaniu płaszczyzny drzeworytu, o tym, że ich autorzy są świadomymi swoich środków twórcami. Plastyk - amator przestał być jakimś dziwem, odkrywanym przez przypadkowego mecenasa, stał się normalnym, równouprawnionym twórcą, który może uczyć się i wystawiać swoje prace. Z dawnym artystą - dyletantem łączy go tylko prosty, bezpośredni stosunek do malowanego obiektu, i głębokie wzruszenie odkrywców nowych światów, które wyczuwa się w każdej niemal pracy. Wydaje się, że jednym z najważniejszych zadań instruktorów w ośrodkach plastycznych winno być dążenie do zachowania tego szczerego stosunku do rzeczywistości widzianej przez bardzo poetycki, liryczny pryzmat. Drugim ważnym zagadnieniem jest sprawa dobrych wzorów, reprodukcji. Plastyk-amator jest niezwykle chłonny, nie zawsze potrafi dokonać selekcji i kopiuje „kicze", złe pocztówki czy poniemieckie landszafty. Często zjawiają się w jego obrazach podświadome reminiscencje tych wzorów, przykładem jest wystawiony cykl akwarelowych rysunków A. Wysockiego zdradzający zresztą duze opanowanie rysunku, ale również i skłonność do naśladowania złych, młodopolskich wzorów, swym słowiańskim mistycyzmem przypominających szukalszczyznę. Tu znów zadaniem instruktorów winno być wyprostowanie tych zawiłych, błędnych ścieżek, na które wkraczają niekiedy amatorzy, udostępnianie im dobrych reprodukcji mistrzów malarstwa polskiego, rosyjskiego, włoskiego, francuskiego, przy równoczesnym dążeniu do zachowania indywidualności każdego artysty.

„Siewca" — Edmund Kowalski — Zw. Zaw. Poligrafików — Grodzisk-Maz.

„Nowy pejzaż" — Marian Sztuka — Zw. Zaw. Samorządowców Grodzisk-Mazowiecki

Na wystawie widać wyraźnie, jak powoli wdziera się w zakres twórczości nowa tematyka, przemiany, którym ulega otoczenie. Wybrałem dwa przykłady, ukazujące zmianę sposobu widzenia tego samego tematu: „Orka jesienna". Na świetnym, pełnym ruchu, światła i powietrza drzeworycie Jana Lewandowskiego samotny człowiek orze, na obrazie olejnym Franciszka Pasymowskiego spełniają już tę rolę traktory. Mimo, że kompozycje figuralne sprawiają autorom dużo trudności, jako wymagające największego opanowania rzemiosła, coraz więcej widać tematów społeczno - politycznych: podpisywanie Apelu Pokoju, święto pierwszomajowe, współzawodnictwo pracy. Pełna tragicznego napięcia jest „Egzekucja w Grodzisku" Szczepana Brożycha, największa z wystawionych kompozycji olejnych. W pejzażach przeważa ciepły, liryczny ton (Antoni Aleksandrowicz, Szczepan Zarębski).

Grafika bardzo ciekawa, prace niejednokrotnie zupełnie dojrzałe. Doskonale czuje drzeworyt, wspomniany już powyżej Jan Lewandowski, chciałbym wymienić jeszcze jego śmiało skontrastowany „Stary dom" i ładnie narysowanego „Spawacza". Do najlepszych należą także drzeworyty Mariana Sztuki („Nowy pejzaż", „Wezwanie przyjmujemy..."), który jest również autorem dobrego plakatu politycznego, wystawionego w dziale gazetek ściennych, oraz wreszcie „Siewca" Edmunda Kowalskiego i Zdzisława Rossołowskiego litografia „Limba". Rossołowski jest także autorem sumiennych studiów portretowych. Zaznaczyć należy, że

„Stary dom" — Jan Lewandowski

większość wystawiających ma poza sobą mniej więcej roczną pracę w Państwowych Ośrodkach Kultury Plastycznej; opanowanie rysunku i technik czarnobiałych w tak krótkim czasie zasługuje na wyróżnienie.

„Wezwanie przyjmujemy..." — Marian Sztuka

Na wystawie tej specjalna komisja artystyczna wyróżniła szereg prac oraz dokonała wyboru najlepszych na mającą odbyć się w marcu ogólnopolską wystawę plastyków-amatorów.

Jan Lenica

LISTY z TERENU

Hutnik - dramaturg

Nie wiem doprawdy, kto pierwszy zaczął o tym mówić, kto właściwie rzucił hasło wyjazdu na premierę generalną sztuki jednego z hutników, wystawionej przez zespół amatorski huty „Zygmunt" w Łagiewnikach. Dość, że pewnego wieczoru znaleźliśmy się w świetlicy tejże huty, trochę za szumnie przez jej pracowników nazywanej „Domem Kultury".

Na małej scenie skromne dekoracje. Wnętrze ubogiego mieszkania. Burzliwa rozmowa między powracającym do domu hutnikiem Koniecznym (jest północ) a jego żoną, Helenką. Helenka nie rozumie ani pracy, ani ambicji męża całymi godzinami przesiadującego nad nową konstrukcją piaskownicy. Ale — podsłuchawszy przypadkowo rozmowę teścia z mężem, który tłumaczy ojcu cel i sens swego wynalazku, przełamuje się i zaczyna namawiać męża do pracy. W drugiej odsłonie jesteśmy świadkami nieszczęśliwego wypadku. Oto jedna z kobiet, ciągnących wózek idący na rampę, ulega zmiażdżeniu nogi. Nie pierwszy to wypadek w miejscu, gdzie równolegle do siebie biegną dwa tory: szeroki i wąski. Obecny w hucie racjonalizator Konieczny postanawia przez zlikwidowanie wąskiego toru — zapobiec dalszym wypadkom w tym miejscu. Do tego celu potrzebna mu jest — obrotnica. Znajduje ją wśród leżącego bezużytecznie żelastwa.

Ale pomysł ten nie w smak staremu majstrowi Kańtochowi wstecznikowi i pijaczynie. Obrażony na Koniecznego za odważne słowa prawdy, rzucone podczas sprzeczki, chce zniszczyć jego wynalazek, uniemożliwić działanie obrotnicy. Sypie więc ukradkiem śrut do smaru, przeznaczonego do łożysk maszyny. Stalowy śrut w istocie zatrzymuje koła; obrotnicy nie można ruszyć.

W rezultacie podstęp wydaje się niecny czyn Kańtocha wychodzi na jaw. Sztuka kończy się optymistycznie w walce nowego ze starym (zacofanie, wstecznictwo, które uosabia Kańtoch) zwycięża nowe: humanizm i postęp (reprezentowany przez Koniecznego).

Tyle, jeśli idzie o intrygę. Sztuka nazywa się „Obrotnica" i — jak wynika z wypowiedzi autora — oparta jest na wydarzeniu autentycznym. Uderza w niej przede wszystkim doskonała znajomość realiów i środowiska, trafne psychologicznie ujęcie postaci . „Obrotnica" odznacza się poza tym dużą świeżością w podejściu do tematu. W rysunku głównego bohatera, którego autor umiał tchnąć prawdę i szczery, niekłamany zapał, w każdym zdaniu, wypowiedzianym przezeń, w każdym jego słowie wyczuwa się przeżycie autora. Jego wiarę w społeczną przydatność tego, co pisze. W siłę oddziaływania utworu, w który włożył całą żar i całą namiętność wynalazcy. Bo autor sztuki, Teodor Gajda, ślusarz - samouk, odznaczony został w roku ubiegłym „Gwiazdą racjonalizatora" i za projekt konstrukcji piaskownicy otrzymał nagrodę w wysokości 3.000 złotych.

Równie interesująca jak sama sztuka była publiczna dyskusja nad poruszonymi w niej zagadnieniami, jaka odbyła się po przedstawieniu. „Nas najbardziej to cieszy" — powiedział odtwórca głównej roli, traktorzysta Hadamik — „że możemy pokazać, wystawić taką sztukę, w której się czujemy swoi. Bo to, co ście tu widzieli, to nasze, hutnicze życie... Taką sztukę możemy zagrać tak jak trzeba, bo znamy jej bohaterów, bo ci ludzie — Konieczny, Latusek, Helenka — to są my sami... Dotąd — cośmy grali? Sztuki z innych środowisk, jakieś wodewile żołnierskie, jak np. „Ułan i Młynarka". Tamtych ludzi nie znamy, są nam obcy, trudno się jakoś w nich wczuć..."

Co ciekawsze „Obrotnica", napisana z myślą o propagowaniu wynalazczości wśród robotników nie jest jedyną sztuką Gajdy. Jest trzecią z rzędu. Pierwsza, do której wystawienia przygotowuje się już zespół huty — to „Uparciuch" — rzecz, w której pokazuje warunki młodzieży przedwojennej, przeciwstawiając je tym, w jakich żyją młodzi dzisiaj. Utwór drugi nosi tytuł „Chłopcy z naszej wsi" i jest związany treściowo z działalnością Partii Komunistycznej na Śląsku w okresie przedwojennym.

Gajdzie nie są obce postulaty realizmu socjalistycznego. Zna i lubi literaturę radziecką, zwłaszcza książki Ostrowskiego, Ażajewa, Babajewskiego... Kiedy mówi o swoim pisarstwie, które chciałby uczynić pisarstwem dojrzałym, jego bystre, szare oczy błyszczą entuzjazmem. Jest w nich zresztą nie tylko entuzjazm. Jest namiętne pragnienie dorównania ulubionym pisarzom radzieckim, dotrzymania im kroku.

Myślę, że dobrze by się stało gdyby dorobkiem polskiego Kamy zainteresował się któryś z teatrów zawodowych. Może — warto?

Jadwiga Kozłowska-Fiszlowa

---

swych celów człowieka, przez doniosłe procesy „oddolne".

Ale tych doniosłych procesów nie uchwyci obiektyw operatora, który biegając z uroczystości na akademię będzie biernie fotografował **fakty, wydarzenia.** Tu trzeba fakty uogólniać, wiązać w łańcuchy, twórczo konstruować nowe całości. Dopiero wtedy okazać się może, iż fakcik pozornie drobniutki, błahy, wcale nie sensacyjny, nie skondensowany w jubileuszowej dacie kalendarzowej, sam w sobie nie zasługujący na uwagę, stał się pierwszorzędną, zrozumiałą dla milionów ilustracją procesu arcyważnego. Ale tu już nie ma mowy o biernym wyczekiwaniu na wydarzenie; tu miejsce na indywidualności podobnie twórcze, co scenarzyści filmu fabularnego.

Nie negując użyteczności działu „wydarzenia" nawołuję do konstruowania większej niż dotąd ilości „tematów" (które nazwałbym— „opowieściami"), jako lepiej pasujących do stylu naszych czasów. Dobrze jest sfotografować tłumy młodzieży polskiej, niemieckiej i czechosłowackiej, manifestujące w obronie pokoju na rynku w Zittau i dać 2—3 zbliżenia zamieniających się odznakami młodzieńców. Ale lepiej byłoby opowiedzieć historię tego pamiętnego dnia, widzianą oczami młodego zetempowca, zrozumiale, po ludzku.

W artykule podsumowującym pracę moskiewskiej kroniki filmowej pewien krytyk radziecki przytoczył charakterystyczny fakt. Wysłano trzech operatorów kroniki z mgliście sprecyzowanymi zadaniami do Estonii, Łotwy i Litwy. Nadesłany przez nich materiał okazał się tak jednakowy, że trudno było rozróżnić, które zdjęcia pochodzą z jakiej republiki.

Skoro oglądający kronikę widz powiada sobie: „to już widziałem", a potem okazuje się, że w rzeczywistości widział inne, ale bardzo podobne ujęcia — to jest to sygnał, że dokumentarzysta traktuje swój materiał schematycznie, że zamazuje charakterystyczne cechy wyróżniające wydarzeń i tematów.

Trzeba zdawać sobie sprawę, że przy planowaniu nowego wydania kroniki łatwiej opierać numer o „wydarzenia", niż o „tematy". Pierwsze można organizować bez scenariusza, dając się popychać wypadkom, komunikatom i zaproszeniom. Drugie w każdym razie muszą być oparte o szczegółowo rozpracowane scenariusze, których napisanie może być nawet pracą większą, niż zdjęcia w terenie. **Więcej małych „Listów górnika"!** — woła odbiorca. Zatkać watą uszy, to zdecydować się na drogę najmniejszego oporu.

Komentarz słowny jest nierozerwalną częścią kroniki filmowej i rządzi się również swoimi prawami.

Po dziś dzień trafia się speakerka tego rodzaju: „Pociąg z delegacją właśnie wjeżdża na dworzec" w scenie gdy pociąg rzeczywiście wjeżdża na dworzec. W komentarzu powinno być tylko to, czego nie ma na ekranie. A przy tym nie może być tego za wiele. Najlepszy komentarz, to komentarz najkrótszy, gdyż film jest przede wszystkim widzialnością. Komentarz rozrasta się niebezpiecznie wtedy, kiedy operator nie dał sobie rady z materiałem, nie przygotował scenariusza, pominął w zdjęciach momenty kluczowe. Wtedy rzeczywiście speakerka jest przysłowiową słomką, której trzyma się tonący. W dobrym i dobrze zmontowanym materiale zdjęcia powinny mówić prawie wszystko.

Jednym z największych niebezpieczeństw, które płoszy sen z powiek redaktorów naczelnych dzienników i czasopism, jest oderwanie się od rzeczywistości, wymigiwanie się od powszechnie nurtujących problemów. To samo niebezpieczeństwo grozi publicystyce filmowej, ale w zdwojonym stopniu: temat niepodjęty przez jedną z gazet pochwyci inna. Natomiast tematu niepodjętego przez jedyny periodyk filmowy nie pochwyci już nikt (ew. realizacja na ten temat osobnego filmu dokumentarnego nie ratuje sprawy wobec niesprecyzowanego dotąd odbiorcy takich filmów).

Wydaje się, że to najłatwiejszy rodzaj krytyki — pokazać palcem, że takich, takich i takich problemów nasza Kronika jeszcze nie podjęła. Gorzej, gdy takie niedopatrzenia układają się w logiczny łańcuch. To staje się symptomem.

Niedawno Jerzy Toeplitz pisał z okazji „Dwóch Brygad", że realizatorzy tego filmu popełnili poważny błąd, ukazując działające osoby wyłącznie przy pracy, nie pokazując całości ich życia, ich domu, ubocznych zainteresowań. Podobnie i naszej Kronice wytknąć można, że pomija całe zespoły zagadnień, konkretnie biorąc zagadnień wychowawczych. Są to wszystko problemy nadające się do rozwiązania nie tylko systemem „wydarzenie", ale właśnie systemem „temat" czy „opowiadanie", który to system wymaga uprzedniego skonstruowania scenariusza.

Rozwińmy tezę przez przykłady. Zwalczanie plagi alkoholizmu — wymarzony temat do krótkich, celnych felietoników filmowych, wyszydzających pijaństwo, ukazujących zgubne skutki nałogu itd. Albo popularyzacja służby zdrowia na wsi — przy samych tylko porodach umierają rokrocznie setki młodych, zdrowych kobiet, które wolą zaufać znachorowi, czy „babce", niż kwalifikowanym akuszerkom gminnym. Ale w podanych przykładach rola wychowawcza filmu osłabi się poważnie, jeśli rozwiążemy zagadnienie przez sprawozdanie z akademii antyalkoholowej i reportaż z otwarcia setnej, czy tysiącznej przychodni wiejskiej.

Nie tylko tematy „wychowawcze" leżą odłogiem. Niezrozumienie roli filmu jako świadectwa wizualnego, powoduje małe zainteresowanie dokumentarzystów Kroniki pięknem naszego kraju i zabytkami jego kultury. Niedawno na warszawskiej wystawie konserwatorskiej miałem możność obserwować jak nieznaczna część zwiedzających zna „z widzenia" ratusz w Sandomierzu, czy ruiny zamku w Krzysztoporach. A przecież nic tak nie powinno wpajać miłości ziemi ojczystej jak właśnie reportaż filmowy.

Publicystyka filmowa wymaga inwencji. Nigdzie bodaj schematy i szablony nie działają tak odstręczająco na widza jak właśnie tutaj. Tylko nieustannie szukając — nowych treści i nowych form — spełni ona wielkie zadania jakie stawia przed nią patos zachodzących u nas przemian.

Jerzy Płażewski

KORESPONDENCJA

NIECO UWAG O ORTOGRAFII

Rok temu pisałam w „Kuźnicy" o potrzebie szybkiej reformy naszej ortografii. Zagadnienie ortografii polskiej ma bowiem w obecnym momencie poważny aspekt społeczny: szerokie masy społeczeństwa, dla których świeżo otwarły się szeroko podwoje kultury, pragną i powinny poprawnie pisać po polsku, co jest przy obecnych skomplikowanych przepisach ortograficznych prawie niemożliwe. Obowiązujące dziś zasady naszej ortografii (zwłaszcza w zakresie pisania łącznego i rozdzielnego) urągają zdrowemu rozsądkowi, a poza tym niepomiernie obciążają pamięć ogromną ilością wyjątków.

Apel mój podjął Jerzy Wyszomirski w Ekspresie Wieczornym. Jestem mu za to niezmiernie wdzięczna, ale nie zrozumieliśmy się zupełnie: popierając z jednej strony projekt uproszczeń przepisów ortograficznych, J. Wyszomirski pragnie jednocześnie ortografię oprzeć o fonetykę w większym niż dotychczas stopniu. To jest oczywiście nie do przyjęcia chociażby tylko ze względu na duże różnice fonetyczne między poszczególnymi dzielnicami Polski, nie mówiąc już o względach poważniejszych jak historia języka czy morfologia. Takie uproszczenie mogłoby się stać źródłem nowych, może jeszcze większych kłopotów.

Następnie J. Wyszomirski pragnie w ortografii zachować bogactwo form, aby nie stracić okazji do igraszek słownych w rodzaju „Jerzy nie wierzy, że na wieży itd.". Chyba jednak okazji do rozrywek poszukamy sobie gdzie indziej, a zagadnienie ortografii potraktujemy poważnie, jak tego wymaga przedmiot.

Oprócz J. Wyszomirskiego żaden głos nie padł w tej sprawie: ani z wysokości katedry uniwersyteckiej, ani z ośrodków nauczania języka polskiego, chociaż właśnie i stąd i stamtąd należałoby się spodziewać poważnych, uzasadnionych wypowiedzi. Natomiast otrzymałam prywatnie wiele listów, głównie od nauczycieli, którzy się przede wszystkim dopytywali, kiedy ta reforma nastąpi.

Tymczasem czas płynie, życie wysuwa coraz to nowe tego rodzaju problemy, dlatego też należy poruszyć sprawę na nowo.

Powtarzam w skróceniu propozycję sprzed roku: wobec powszechności kultury, do jakiej dążymy, poprawność w pisaniu nie może być umiejętnością rzadką i trudno dostępną, zastrzeżoną dla wtajemniczonych. Dziś każdy człowiek chce i powinien pisać poprawnie. Jest to chyba jeden z dowodów poziomu narodowej kultury. Roztropna, umiarkowana, oparta na zasadach rozsądku i racjonalnych uproszczeń reforma ortografii przyczyni się walnie do powszechnej poprawności polskiego języka pisanego. Należy więc:

1 — wrócić do pisowni „j" po spółgłoskach w wyrazach obcego pochodzenia, a w rzeczownikach zakończonych na —ja ustalić w dopełniaczu obu liczb końcówkę jednakową ji.

2 — w zwrotach i połączeniach pisać oddzielnie te wszystkie wyrazy, które w tej samej postaci występują samodzielnie, a razem, jeżeli samodzielnie nie występują.

3 — imiesłowy odmienne pisać z „nie" jak przymiotniki, nieodmienne jak czasowniki.

Rok obserwacji dostarczył całego szeregu nowych a nie mniej palących tego rodzaju zagadnień. Oprócz potwornie a niepotrzebnie skomplikowanych zasad pisania łącznie i rozdzielnie obecnie coraz bardziej komplikuje się sprawa stosowania dużych i małych liter. Wiemy na przykład, że tytuły książek należy pisać stosując dużą literę tylko na początku. Mimo to na afiszach teatralnych w Warszawie można było zobaczyć: „Dwa Oboru", „Wesołe Kumoszki z Windsoru", „Klub Kawalerów" itd. Czy sztuka teatralna to nie książka? A może zgodnie z duchem naszych pełnych zagadek i niejasności, dotychczasowych przepisów ortograficznych — jak z owym przysłowiowym słupem — jeżeli kanciasty — to przez „u", a jeżeli okrągły — przez „ó", jeżeli sztuka wyszła drukiem — to pisze się jak książka, a jeżeli nie, to nie! Pisząc więc taki tytuł należy się najpierw upewnić w naszych licznych instytucjach wydawniczych: wyszła czy nie wyszła. Co prawda, ostatnio afisze teatralne jakby powróciły do ustalonej zasady. Już jest i „Zielony gil" i „Sprytna wdówka", nie wiadomo jednak, czy to powrót na stałe, czy okresowe urozmaicenie.

Podobnie ma się sprawa z tytułami filmów. „Czarci żleb" czy „Czarci Żleb", bo to w ogóle nie ma oparcia o książkę.

Żaden językoznawca, żaden autor słownika ortograficznego nie jest w stanie sobie wyobrazić, jakie męki z takich, zdawałoby się, błahych powodów przeżywają wszyscy korektorzy, a zwłaszcza korektorzy dzienników i czasopism, przed którymi stają coraz to nowe, żywe zagadnienia, do których nie można znaleźć żadnych analogii w przestarzałych już dziś podręcznikach i słownikach ortograficznych Piszemy np. Gminna Rada Narodowa w Grabowie, ale czy Gminne Rady Narodowe (np. w pięciu powiatach), czy też „gminne rady narodowe?" „Kierownik Wydziału Oświaty Wojewódzkiej Rady Narodowej" czy „kierownik Wydziału Oświaty itd.", czy też „kierownik wydziału oświaty Wojewódzkiej Rady Narodowej", czy może jeszcze inaczej? „Dyrekcje Okręgowe Szkolenia Zawodowego" ale „kuratoria szkolne". A może po prostu jak komu serce dyktuje, bez żadnych skrupułów, bo przecież według zasady owego szewca z anegdotki, czy napiszemy „skóra", czy też „skura", otrzymamy tę samą skórę! Tak oczywiście nie będziemy stawiać sprawy.

Nasi graficy także starają się usilnie o to, by przypadkiem sprawa stosowania dużych i małych liter zbyt szybko się nie uprościła, nie nabrała jakichś norm zwyczajowych. Wystarczy przejrzeć ozdobne nagłówki artykułów czy też działów w niektórych naszych tygodnikach lub dziennikach i zwrócić specjalną uwagę na stosowanie dużych i małych liter w tych nagłówkach, żeby mieć na to dowód. Oto kilka przykładów: „Ratownictwo na Wczasach", „korespondencja Sportu", „tydzień w kraju", „ZwieRzyniec", „MajstERkoWaNiE", „RozMaiTości", „Legenda o Pięknej Ofce" itp. Czytelnik chyba nieraz zadaje sobie pytanie, co ma znaczyć ten kontredans dużych i małych liter. Mają to prawdopodobnie być objawy jakiejś bujnej fantazji twórczej, jakiś dowód artystycznej pomysłowości. Ale dlaczego redakcje się na to godzą? Gdyby taki pomysłowy grafik narysował człowieka z jedną nogą wyrastającą z głowy, to oczywiście nikt by mu nie zamieścił takiego urągającego zdrowemu rozsądkowi rysunku, a zamieszcza się „RozMaiTości" wbrew temuż rozsądkowi. Mania ta objęła nawet tygodniki młodzieżowe i dziecięce. I co na to nauczyciele, których wychowankowie kształcą się na takich wzorach?

Graficy zresztą mają na sumieniu i inne grzechy przeciw ortografii. Od kilku tygodni gnębi mnie myśl, że postradaliśmy z alfabetu, nie wiadomo w jaki sposób i dlaczego, bardzo potrzebną literę, mianowicie „u". Miała ona w piśmiennictwie polskim wielowiekowe obywatelstwo i raptem widocznie zginęła, skoro trzeba ją było zastąpić przez inną, wprawdzie podobną, ale oznaczającą zupełnie inną głoskę, mianowicie „v". Czytamy więc piękne, reprezentacyjne napisy na rogach ulic: „Vlica Nowy Świat", „Vlica Warecka", a nawet „Cały naród bvdvje swoją stolicę". Niedawni nasi goście z Niemieckiej Republiki Demokratycznej prawdopodobnie przeczytali to sobie „flica".

Może to pomysłowe rozwiązanie graficzne miało nawiązywać do przeszłości, do tradycji ortografii staropolskiej np. z czasów średniowiecza? To byłoby jeszcze groźniejsze. Wiemy np. że w pewnym momencie historycznym ortografia polska nie rozróżniała „ę" i „ą", wobec tego pewnego dnia odczytamy na rogu pięknie wyryty napis: „Vlica Trąbacka".

Czyż rzeczywiście jakakolwiek estetyka tego wymaga? Czy to przypadkiem nie jest spadek po niesławnej pamięci manierze w estetyce burżuazyjnej, poszukującej oryginalności za wszelką cenę, choćby kosztem logiki i zdrowego sensu?

Niemniejsze zamieszanie panuje na odcinku „j" i „i". We Wrocławiu do niedawna na rynku wisiał szyld z „Jnstytutem", a w Opolu chyba jest do dziś wywieszka z „Jnspektorem". Nawet się temu bardzo nie należy dziwić, skoro na podstawie tych samych zasad w tych samych książkach pisze się „Dania" i „Aksinja", „historia" i „Grigorjew", „Kazla" i „Tielatjew". To wszystko stwarza nieprawdopodobny galimatias i zaciera wszelką wrażliwość wzrokową na błędy u wszystkich piszących, a dla tłumaczy i tych, co nad tłumaczeniami pracują, jest czymś w rodzaju ciążącego nad nimi przekleństwa.

Taka np. sprawa imion i nazwisk w przekładach na język polski, ich tłumaczeń czy transkrypcji to całe olbrzymie i wielce skomplikowane zagadnienie, które tym większej nabiera wagi, że tłumaczy się w tej chwili dużo, zarówno dzieł dawniejszych, jak i współczesnych. Np. rosyjskie nazwisko „Nagoj". Czy w przekładzie należy pozostawić formę oryginału „Nagoj" i odmieniać „Nagoja, Nagojowi", czy też przetłumaczyć na „Nagi" i odmieniać „Nagiego, Nagiemu". A w liczbie mnogiej — „Nagoje", „Nagojowie" czy też po prostu „Nadzy"?

Niektóre podręczniki ortografii próbowały dać pewne wzory rozwiązania tych spraw. I tak nazwisko „Dołgoruki" należy odmieniać jak zwykły przymiotnik, a więc „Dołgorukiego, Dołgorukiemu" itd., ale autor zapomniał nas poinformować, jak należy postąpić, jeżeli ten Dołgoruki nie jest sam: czy to mają być „Dołgorucy" (za polskie!), czy „Dołgorukowie" (forma rzeczownikowa!), a może „Dołgorukije", jak proponuje któryś z naszych tłumaczy.

W tym samym wydawnictwie czeskie imię „Jiry" tłumaczy się na „Jerzy", natomiast rosyjskie „Jurij" pozostaje w swojej formie. Mamy **Paul** Eluarda i **Piotra** Curie.

Przed takimi oto trudnościami staje dziś codziennie każdy pisarz, dziennikarz, tłumacz, korektor, nauczyciel, uczeń i, w mniejszym może stopniu, każdy czytający i piszący człowiek w Polsce, to znaczy 25 milionów ludzi.

Jakie jest stanowisko wszystkich naszych uczonych lingwistów i filologów w tych sprawach, nie wiadomo. Milczą wytrwale. Stosunkowo drobna może, ale uciążliwa sprawa, sprawa uporządkowania, unowocześnienia, uproszczenia zasad ortografii stoi ciągle w miejscu. Uginamy się pod ciężarem formułek i przepisów powstałych w innej, odległej już sytuacji kulturalnej, dziś nieprzydatnych i nie rozwiązujących życiowych problemów, działających w pewnym nawet stopniu wstecznie, hamująco. Głos nawołującego do dyskusji jest ciągle jeszcze głosem wołającego na puszczy.

Anna Klubówna

SPÓŹNIONA PRZEDMOWA

Nie często widzimy aby przedmowa do książki ukazywała się „osobno" i ze znacznym spóźnieniem. Ale błędy mają tę groźną cechę, że nie pozwalają o sobie zapomnieć.

Dużym błędem ze strony autora było wydanie takiej książki jak „Zemsta rodu Kabunauri" — książki mającej już 20-letnią historię bez odpowiedniej przedmowy. Dowodzi tego list mgr Artura Metala ze Świdnicy, przysłany na adres „Nowej Kultury" do Krystyny Kuliczkowskiej w związku z jej artykułem „Wśród książek dla dzieci i młodzieży (z Nr 39 „Nowej Kultury"). Autor listu zapytuje „jaki związek istnieje pomiędzy tą książką (mowa tu o „Zemście rodu Kabuhauri"), a książką którą spotkałem w r. 1934 we Wiedniu. Nazwiska autora nie pamiętam, wiem tyle, że był to przekład z rosyjskiego".

W 1933 roku „Zemsta Kabunauri" znalazła się na indeksie hitlerowskim i została spalona.

W 1949 ukazała się znowu w Niemieckiej Republice Demokratycznej w wyd. „Neues Leben".

Dowiedziałam się później, że ci co ją dziś wydali, komuniści niemieccy, byli 12-letnimi chłopcami, kiedy „Zemsta Kabunauri" została skazana na spalenie, że tę drogą im książkę przechowali przez wszystkie lata hitleryzmu, narażając się na więzienie i dziś wydali ją na nowo z postrzępionego, zaczytanego do dziur egzemplarza. W związku z tym skąpe trzy wiersze, umieszczone na odwrocie karty tytułowej w nowym wydaniu niemieckim stają się największą dla pisarza nagrodą: „Ta książka właściwie jest „stara". — czytamy — Była już raz wydana w 1931 r. Dla hitlerowców była cierniem w oku. Więc cisnęli ją na stos wraz z innymi postępowymi książkami. Odtąd brakowało jej w niemieckiej literaturze młodzieżowej".

Ponieważ takich pytań będzie na pewno więcej, autorowi pozostaje tylko jedno! aby naprawić swój błąd, mianowicie: „przedmowę" do swej książki dać na łamach „Nowej Kultury".

„Zemsta rodu Kabunauri" (pierwotnie „Zemsta Kabunauri") ukazała się po raz pierwszy w Moskwie w r. 1931, a więc dwadzieścia lat temu w języku polskim i rosyjskim: (jednocześnie) w dwóch wyd. państwowych: w „Gichl-u" (Państwowy Instytut Literatury Pięknej) i w „Centrizdacie" (Centralne Wyd. Państwowe). W rok, czy w dwa lata później „Inrab" (Wyd. zagr. robotn.) wydało „Zemstę" w języku niemieckim, norweskim i angielskim. Jednocześnie z polskim i rosyjskim wydaniem w Moskwie a nawet trochę wcześniej „Zemsta Kabunauri" ukazała się w Berlinie, tłumaczona z polskiego rękopisu w dwóch wyd. „Uniwersumbücherei" i „Jugendinternationalle". W Niemczech osiągnęła sporą ilość wydań i wielką popularność wśród młodzieży a nawet dorosłych robotników.

Niezależnie od wydania berlińskiego ukazało się nowe wydanie „Zemsty Kabunauri" w języku niemieckim w Wiedniu w r. 1947 w wyd. „Globus-Verlag".

W Bratysławie wyszła „Zemsta Kabunauri" w 1948 roku (tłumaczona na słowacki z niemieckiego wydania).

Wydając po 20 latach i **po raz pierwszy** w Polsce „Zemstę Kabunauri" musiałam w niej wprowadzić pewne zmiany, zwłaszcza rozdziały dotyczące historii Gruzji, wymagały korekty, wobec ukazania się nowych materiałów, których wówczas nie było. Należało więc niektóre rozdziały zmienić, inne znów dodać. Zmieniłam również tytuł. „Zemsta Kabunauri" brzmi po polsku niezrozumiale i niegramatycznie. Zdawało mi się, że tytuł „Zemsta rodu Kabunauri" od razu mówi o starożytnym „rodowym" pochodzeniu tej zemsty i dlatego jest bardziej zrozumiały.

Helena Bobińska

Z SAL KONCERTOWYCH

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

MOZART, MENDELSSOHN i RIMSKI-KORSAKOW

W FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

Tak się złożyło — nie wiem czy przypadkiem, czy celowo — że w programie IV Koncertu Filharmonii Warszawskiej 24 lutego br. znalazły się utwory trzech największych mistrzów instrumentacji należących do trzech kolejnych epok: epoki klasycyzmu, romantyzmu i neo-romantyzmu drugiej połowy XIX wieku. Mozart, Mendelssohn i Rimski-Korsakow — oto nazwiska twórców, którzy — każdy na swoim etapie rozwojowym — sztukę posługiwania się orkiestrą symfoniczną wznieśli na nieznane przed tym wyżyny.

Gdy dziś, po stu kilkudziesięciu latach bierzemy w rękę partytury Mozarta uderza nas ich niezrównana czystość, niezrównana logika przebiegu głosów poszczególnych instrumentów, przebiegu, w którym nie ma nic zbędnego, nic przypadkowego, czy niepotrzebnego. Celowość, prostota i przejrzystość — oto obraz wizualny partytury Mozarta. Jakżeż przedstawia się ona w realizacji, jakiż jest jej efekt dźwiękowy? Brzmienie orkiestry Mozarta odznacza się jakąś szczególną klarownością, jasnością i zdecydowaniem. Nie znajdziemy w nim owych nie dających się sprecyzować zagęszczeń instrumentalnych, owego mętnawego „sosu" orkiestrowego spotykanego tak często nawet u największych kompozytorów, a — wytwarzającego w rezultacie wrażenie szarej jednostajności. Jednostajności takiej nie ma u Mozarta ani śladu. Skromną ilościowo orkiestrą, liczącą w najlepszym razie po dwa flety, oboje, klarnety, fagoty, trąbki, waltornie, kotły, oraz zespół smyczkowy (skrzypce pierwsze i drugie, altówki, wiolonczele i kontrabasy) osiąga on niebywałe bogactwo efektów dźwiękowych. Każdy instrument wykorzystany jest w sposób niezawodny, w miarę swoich — skromnych w owej epoce — możliwości technicznych. Rolę pierwszoplanową grają oczywiście smyczki, ale na ich tle rozwija się raz solo oboju, to znów lekkie oktawy fletów i klarnetów, czy charakterystyczne **staccato** fagotu. Gdy milkną smyczki odzywa się brzmienie zespołu samych instrumentów dętych drewnianych wspartych waltorniami. Niewielka grupa instrumentów dętych, blaszanych (dwie trąbki i dwie waltornie), ze względu na ich minimalne podówczas możliwości wykonawcze służy głównie do celów dynamicznych: podkreśla momenty **forte**, uwypukla efekt **crescendo**. Tą ogromną, niewyczerpaną rozmaitością barw wypowiadał Mozart muzykę tryskającą na każdym kroku geniuszem. Nic więc dziwnego, że jego twórczość uznajemy dziś za symbol doskonałości dzieła sztuki.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa z Mendelssohnem, Twórczość jego nie dorównuje geniuszowi wielkich romantyków: Chopina, Schumanna, czy Schuberta. Jeśli chodzi jednak o umiejętność operowania orkiestrą — przewyższa w niej wszystkich swoich współczesnych, a czystością i logiką partytury rywalizuje z Mozartem. Mendelssohn posługuje się orkiestrą niewiele większą od mozartowskiej, jednakże, dzięki ulepszeniom w konstrukcji instrumentów dętych drewnianych a zwłaszcza blaszanych może on w swoich symfoniach, uwerturach, czy we wspaniałej muzyce do „Snu Nocy Letniej" sięgnąć do efektów, które w czasach Mozarta byłyby niewykonalne. Lekkość, powiewność tak charakterystyczna dla muzyki Mendelssohna znalazła swój trafny odpowiednik w subtelnej, barwnej i przejrzystej instrumentacji, w której wirtuozowsko niekiedy traktowane instrumenty dęte drewniane grają główną rolę.

Wreszcie Rimski - Korsakow. Skład jego orkiestry jest już całkowicie nowoczesny: zwiększona obsada instrumentów dętych drewnianych, wraz z ich odmianami nie używanymi dawniej przez klasyków (mały flet, rożek angielski itd.), zwiększona obsada instrumentów blaszanych (3—4 trąbki, 4 waltornie, 3 puzony i tuba), zwiększony zespół smyczkowy, harfa, wreszcie cały komplet najrozmaitszych instrumentów perkusyjnych. Inne są również możliwości techniczne instrumentów, zwłaszcza dętych, niż w czasach Mozarta. Pozostają wszakże te same zasady: jasne, logiczne, konsekwentne prowadzenie poszczególnych partii instrumentalnych, zdecydowana czystość barwy, wykorzystywanie instrumentów, wchodzących w skład orkiestry w takich rejestrach i w takich układach dźwiękowych, w jakich one brzmią najlepiej. Ta ostatnia reguła w połączeniu ze specyficznym instynktem kolorystyki dźwiękowej czynią z Rimski - Korsakowa prawdziwego wirtuoza orkiestry. Jego partytury mienią się nieprawdopodobnym bogactwem barw i tworzą zespół pozornie karkołomnych efektów. Pozornie — gdyż jakkolwiek dzieła symfoniczne Rimski - Korsakowa nie są bynajmniej łatwe do wykonania, to jednak poszczególne partie instrumentalne, jakieś błyskotliwe figury klarnetu, czy w zawrotnym tempie powtarzane dźwięki trąbki tak świetnie „leżą" w naturze i konstrukcji danego instrumentu, że efekt zewnętrzny jest niepomiernie większy, niż rzeczywiste trudności. Jeśli chodzi o łączenie i zestawianie poszczególnych barw, czy operowanie masą orkiestrową Rimski - Korsakow z trudem mógłby znaleźć godnych sobie rywali, nawet wśród współczesnych mistrzów instrumentacji (rekrutujących się w dużej części spośród jego uczniów). Nie wpisane do partytury wskazówki kompozytora lecz zestawienie instrumentów i użycie ich w dogodnych rejestrach decyduje u Rimski-Korsakowa o efektach dynamicznych, takich jak **forte**, **piano**, **crescendo**, czy **diminuendo**. Dlatego, pomijając już nawet wysoką wartość samej muzyki Rimski-Korsakowa dzieł jego słucha się z prawdziwą rozkoszą, rozkoszą jaką daje podziwianie niezrównanej czystości, logiki i doskonałości samego rzemiosła kompozytorskiego.

Z dzieł tych trzech niedoścignionych mistrzów orkiestry usłyszeliśmy na początku programu filharmonicznego koncertu uwerturę do opery „Wesele Figara", jedną z najwspanialszych uwertur Mozarta, dzieło ujmujące wytworną prostotą, zwięzłością konstrukcji i prawdziwie klasycznym nastrojem pogody i optymizmu. Trudny ten utwór orkiestra Filharmonii wykonała z godną uznania lekkością i precyzją. Wykonała go po raz drugi na **bis** po zakończeniu koncertu, tym razem... bez dyrygenta.

Ogromny sukces odniosła młoda orkiestra Warszawskiej Filharmonii ze swym świetnym dyrygentem **Witoldem Rowickim** na czele, wykonując czteroczęściową suitę symfoniczną Rimski - Korsakowa: „Szeherezada". To piękne dzieło, pełne bogactwa inwencji, pełne baśniowego nastroju oddanego w sposób niezwykle subtelny, nie ucieka jący się do naturalistycznych efektów zostało odtworzone w sposób nie budzący najmniejszych zastrzeżeń, ani od strony ogólnej koncepcji kapelmistrza, ani od strony szczegółów samego wykonania. Potwierdzą to nasze uwagi z poprzedniej recenzji co do doboru repertuaru orkiestry na obecnym etapie jej wyszkolenia. Jasne jest dla każdego, że lepiej jest przedstawić publiczności doskonale wykonaną „Szeherezadę", niż niedociągnięte w szczegółach tak niezwykle trudne dzieła, jak I Symfonia Brahmsa, czy VII Beethovena.

Solistką wieczoru, znakomita pianistka **Halina Czerny-Stefańska**, tak pamiętna publiczności warszawskiej z tryumfu na Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim zaprezentowała się i tym razem z jak najlepszej strony, odtwarzając wiernie subtelną lirykę, lekkość i wirtuozowską błyskotliwość koncertu g-moll Mendelssohna na fortepian i orkiestrę. Wykazała również dobry smak w zestawieniu utworów granych na **bis**: fragment sonaty Mozarta, etiuda Szymanowskiego, etiuda i allegro Bartóka.

Koncert Mendelssohna przyjął się, jako utwór raczej szkolny, rzadko, albo wcale nie wykonywany na koncertach publicznych. Nie jest to słuszne i zasługą Czerny-Stefańskiej jest wydobycie tego utworu z pewnego rodzaju zapomnienia. Koncert ten zawiera wiele pięknej, typowo romantycznej muzyki bardzo szlachetnego gatunku. Co więcej — jest on niezwykle odkrywczy pod względem struktury. Pierwszy to bodaj chronologicznie wypadek oprócz koncertu Es-dur Beethovena tak silnego odejścia od klasycznej formy na rzecz jakiejś nowej, swoistej, bardzo logicznej i zwartej konstrukcji. Zamiast ekspozycji orkiestry oba główne tematy podane są łącznie przez fortepian i orkiestrę. Po krótkim, zwięzłym przetworzeniu tematycznym następuje równie zwięzła repryza, która — kto wie, czy nie po raz pierwszy w historii — nie jest mechanicznym powtórzeniem ekspozycji, tylko syntetycznie ujętą konkluzją. Łącznik orkiestrowy prowadzi bezpośrednio do części drugiej (Andante) o nastroju łagodnego, melodyjnego Nocturno. Finał nosi charakter lekkiego, typowo mendelssohnowskiego Scherzo. W zakończeniu zjawia się jeszcze raz zalążek obu głównych tematów pierwszej części, jako ostateczna konkluzja utworu.

Omówiony powyżej program został w całości powtórzony na niedzielnym poranku dnia 25 lutego br., i jeszcze raz w poniedziałek 26 lutego br. z tą jednak zmianą, że w poniedziałek zamiast Czerny-Stefańskiej inna laureatka Konkursu Chopinowskiego, **Barbara Hesse-Bukowska** wykonała koncert fortepianowy e-moll Chopina.

Wawrzyniec Żuławski

ANATOL RYBAKOW
KIEROWCY
Powieść
Str. 320 zł 10 —
„CZYTELNIK"
Wkrótce do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI"

KSIĄŻKI NADESŁANE

I. MARKSIZM — LENINIZM

M. A. Bułganin. Związek Radziecki zwycięsko buduje komunizm. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 29, 3 nl.

F. W. Konstantinow. Rozwinięcie materializmu historycznego przez Lenina i Stalina. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 59, 1 nl.

M. Kozlew. Socjalistyczny system gospodarki i jego wyższość nad systemem kapitalistycznym. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 62, 2 nl.

W. I. Lenin. Dzieła. Tom 2. 1893—1897. Tom 5. Maj 1901 — luty 1902. Tom 22. Grudzień 1915 — lipiec 1916. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. t. 2: 603, 1 nl; str. t. 5: 624; str. t. 22: 444.

J. W. Stalin. Dzieła. Tom 5. 1921—1923. Tom 7. 1925. Warszawa, 1950. „Książka i Wiedza"; str. t. 5: 452; str. t. 7: 424.

J. W. Stalin. Do młodzieży. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 36, 4 nl.

J. W. Stalin. Marksizm a zagadnienia językoznawstwa. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 51, 1 nl.

J. W. Stalin. Sprawozdanie polityczne Komitetu Centralnego i słowo końcowe po dyskusji na XIV Zjeździe WKP (b). Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 141, 3 nl.

ZSRR a świat kapitalistyczny. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 37, 3 nl.

N. Żukow Wierieżnikow, I. Majski, L. Kaliniczenko. O bezkomórkowych formach życia i o rozwoju komórek. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 21, 1 nl.

II. DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

Kalendarz Robotniczy na rok 1951. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 516, 4 nl.

IV. NAUKI HISTORYCZNE

Adam Próchnik. Bunt łódzki w roku 1892. Studium historyczne. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 154, 2 nl.

Roman Werfel. Pamięci Marcina Kasprzaka. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 22, 2 nl.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Generał Komuny. Warszawa, 1950, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 289, 3 nl, 1 knl.

VIII. LITERATURA PIĘKNA

Antologia literatury francuskiej. W przekładach i opracowaniu **Tadeusza Boya Żeleńskiego.** Wydanie drugie, przygotował **Mieczysław Brahmer.** (Biblioteka Narodowa, Seria II Nr 18). Wrocław, 1950, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. XLIV, 514, 2 nl.

Aleksander Dumas. Dwadzieścia lat później. Wydanie drugie. Warszawa, 1950; „Książka i Wiedza"; str. 530, 6 nl.

Maksym Gorki. Klim Samgin. Tom III. Przełożył z języka rosyjskiego **Artur Sandauer.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 422, 2 nl.

Molier. Pocieszne wykwintnisie. Przełożył i opracował **Tadeusz Boy-Żeleński.** Wydanie II, przejrzane. (Biblioteka Narodowa. Seria II, Nr 43). Wrocław, 1950, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. XXX, 48, 2 nl.

Eliza Orzeszkowa. Eli Makower. Tom II. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 377, 3 nl.

Aleksander Serafimowicz. Trzy opowiadania. Przełożył z języka rosyjskiego **Józef Brodzki.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 315, 5 nl.

Maria Dąbrowska. Znaki życia. Pięć opowiadań. Wydanie czwarte. Warszawa, 1950, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 154, 6 nl.

Leopold Staff. Poezje. Tom trzeci. 1915—1944. Warszawa, 1950, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 352, 2 nl, 1 knl.

Paul Tillard. Żołnierze wolnej Francji. Powieść. Warszawa, 1950, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 186, 2 nl.

X. NAUKA O LITERATURZE

Marcel Cachin. Balzac. Przełożył i wstępem opatrzył **Stefan Flukowski.** Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 47, 1 nl.

M. A. Dobrolubow. Dzieła wybrane. Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 426, 4 nl.

Stefan Żółkiewski. Stare i nowe literaturoznawstwo. Szkice krytyczno-naukowe. Wrocław, 1950, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. VII, 1 nl, 148, 4 nl.

XV. ZAGADNIENIA SPOŁECZNE I POLITYCZNE

Zygmunt Młynarski. U źródeł polskiej demokracji. Warszawa, 1950, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 193, 3 nl.

XVIII. NAUKI MATEMATYCZNE I PRZYRODNICZE

N. Kołobkow. Przewidywanie pogody. (Biblioteka Popularno-Naukowa. Nr 9). Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza"; str. 88, 4 nl.

BIBLIOTEKA TRZYZŁOTOWA
WŁADYSŁAW ŻESŁAWSKI
MIKKÓW RUSZYŁ
Str. 250 zł 3,—
„CZYTELNIK"

LISSAGARAY H. P.
HISTORIA KOMUNY
Dzieje Komuny opisane przez jednego z jej uczestników. Wydane na osiemdziesiątą rocznicę Komuny Paryskiej 1871—1951.
Str. VIII, 606, 1 mapa, 64 ilustr. oparte na współczesnych karykaturach i fotografiach, zł 25,—
✻
„KSIĄŻKA I WIEDZA"

KSIĄŻKI NOWEGO CZYTELNIKA
Pierwsza książka dla absolwentów kursów nauki czytania
STEFAN ŻEROMSKI
TRUDNA DROGA
Str. 66 zł 2,—
IGOR NEWERLY
OBRONA PLACÓWKI PLUSK
Str. 65 zł 1.80
MIKOŁAJ ILJIN
SŁOŃCE NA STOLE
Str. 72 zł 2.40
ADAM MICKIEWICZ
GOLONO-STRZYŻONO
i inne utwory
Str. 68 zł 1.80
PAWEŁ BAŻOW
KAMIENNY KWIAT
Str 129 zł 2.70
„CZYTELNIK"
Wkrótce do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI"

mała kronika

PROPAGANDA pokoju — to najważniejsze zadanie naszego pokolenia. Również pokolenia artystów. Bert Brecht pisał kiedyś, że przyszłe generacje zapamiętają pisarzy, którzy przynosą im wieści o walce i cierpieniu mas ludzkich, a zapomną chwalców bogaczy, siedzących na złotych stołkach. Ilia Erenburg, dziękując towarzyszom pisarzom, którzy zeszli się na uroczysty obchód 60-ej rocznicy jego urodzin, mówił o pokusach „czystego" artyzmu i o niepozornym trudzie publicystyki pokojowej. Opowiadają, że gabinet Brechta wygląda jak cela: łóżko polowe, stół pod oknem, maszyna do pisania, cztery gołe ściany. Z tej celi wyszło na świat parę świetnych piosenek antyimperialistycznych, opera o pokoju, opracowania dawnych dramatów autora; wszystko —przedziwności języka niemieckiego. Wędrując po Europie Ilia Erenburg nie tylko zbiera materiały do drugiej części „Burzy". Gdziekolwiek narody mówią o pokoju, głos jego rozlega się z trybuny. Przyszłe pokolenia mniej nas będą pytały o tę czy tamtą książkę, a bardziej o to, cośmy zrobili dla pokoju. Walka o pokój jest dziś miernikiem humanizmu. Było wielu zdolnych pisarzy, którzy nie chcąc być humanistami, poszli w zapomnienie. Jakże nieraz śmieszne, nieudolne, naiwne wydają się metafizyczne męki królewiackich i galicyjskich poszukiwaczy Chuci, Absolutu, Nirwany z okresu Młodej Polski! A ileż wymowy artystycznej ma krótka notatka o krwawym warszawskim maju 1905 roku, zamieszczona w rosyjskim „Proletariuszu"! Wielu uczonych kompilatorów i stylistów żyło za „dwudziestolecia." Ale więcej artyzmu jest w jednej krótkiej odezwie KPP, wołającej o pokój przeciw przymierzu z faszyzmem, niż we wszystkich sklepach cynamonowych. Postęp odrzuca taką sztukę, gdyż sztuka ta, wmawiając w człowieka, że wyraża tylko samą siebie, że spełnia tylko i jedynie zadania techniczne, walczy przeciw niemu. Krzyk o autonomię sztuki, walka o jej rzekomo zagrożone prawa łatwo kończy się z reguły cynicznym przejściem do obozu wroga, jawną dezercją, łapczywym podjęciem posług agenta imperializmu. Taka jest specyfika dzisiejszej walki o pokój.

Dlatego trochę mnie zastanowił głos Stefana Kisielewskiego, który wtrącił się do dyskusji o estetyce, toczonej w „Nowej Kulturze". Gdzie konia kują, tam żaba chętnie nogę nadstawia. Zwłaszcza żaba, w którą wmówią, że jest ognistym ogierem rozpłodowym. Kisielewski zaciekle zwalcza realizm socjalistyczny w sztuce; na zdrowie, bo realizm socjalistyczny przeżył już mocniejszych wrogów, podobnie jak socjalizm przeżył protesty i groźby kisielów w obronie przemysłu prywatnego i westchnienia do liberalizmu kapitalistycznego. Realizm socjalistyczny przemienia oblicze sztuk polskich; świadczą o tym dyskusje, które się toczą wśród pisarzy, malarzy, architektów, muzyków, świadczą o tym również nowe książki, wystawy malarskie, budowle. Kisielewski rad by uchronić chociaż niektóre sztuki przed tym wpływem. Dlatego ogłasza, że architektura, muzyka i malarstwo (zwłaszcza zaś malarstwo ornamentacyjne) pozbawione są zupełnie zawartości pojęciowej, wyrażają tylko siebie. Aby zaś nie wpaść w formalizm, otwiera szeroki worek, który się nazywa: myśl boża, i wrzuca do tego worka wszystkie sztuki. Bo wszystkie sztuki, wszystkie ideologie jakoś tam tę myśl bożą wyrażają.

Podobno na Marsie jest roślinność. Przy odrobinie fantazji możemy przypuścić, że są tam nawet ludzie. Może architektura ludzi z Marsa, oglądana przez ziemski teleskop, wyda się nam apojęciowa. Ale spytajcie mieszkańców Mariensztadtu, czy im ta mariensztacka architektura naprawdę nic nie mówi! Długie lata mieszkałem niegdyś między żydowską biedotą. Małe, brzydkie uliczki starej Warszawy, która miała się stać gettem. Straszliwe kamienice czynszowe, ciasne studzienki — podwórza, plugawe oficyny. Proletariat żydowski, rzemieślnicy, straganiarze, domokrążcy. Czyż dla nich ta kapitalistyczna architektura naprawdę była bezpojęciowa? Wyraża tylko siebie lub boską myśl? I budowle Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej mają się różnić od tamtych kamienic tylko stylem? Wiersz Ważyka o ludzie, który wejdzie do śródmieścia, mówi o rewolucji społecznej i politycznej, bez której zrozumienia nie pojęlibyśmy architektury MDM.

Sztuka, która jest tylko sztuką! Takiej sztuki nie ma. Człowiek, który jakoś (nie wiadomo, jak) przyjmuje „apojęciowo" sztukę! Takiego człowieka nie ma. To są twory sztuczne, konstrukcje z brudnej mgły. Czyż możemy poważnie twierdzić, że muzyka Chopina nic nie wyraża? Nie mówi nic o epoce, w której artysta tworzył, nie uwiecznia w swoisty sposób odczuć szerokich mas ludowych? Czyż mazurki Chopina tylko formą różnią się od tang Własta i — fug Bacha? Oczywiście, dziecko z przedszkola nie wiele zrozumie z tej muzyki. Ale nie jesteśmy dziećmi z przedszkola, świadomie korzystamy z historii, znamy własną tradycję narodową. Za radą Goethego idziemy w krainę poety, aby go poznać. Chcąc pełniej zrozumieć dzieło artystyczne, interesujemy się życiem jego twórcy, dziejami epoki. Gdyby wystarczyło zmienić tytuł „Symfonii leningradzkiej", aby ją zupełnie inaczej zrozumiał słuchacz, nie zabranialiby socjaldrajcy angielscy Szostakowiczowi pobytu w Sheffieldzie; ale taka operacja jest niemożliwa. Nie można zmienić „Symfonii leningradzkiej" na „Marsz Mac Arthura." Tak samo nie można ogołocić człowieka z jego świadomości narodowej, kulturalnej, społecznej.

Wielka sztuka świadczy nie tylko o przeszłości, o mistrzostwie i geniuszu jej twórców, o kulturze epok, narodów, cywilizacji. Wielka sztuka pomaga również nam kształtować oblicze naszej epoki. Jeszcze trwa dyskusja o trwałych, wiecznych elementach sztuki. W szerokiej, międzynarodowej wymianie poglądów estetyka marksistowska nazwie te elementy. Ale już dziś możemy chyba powiedzieć, że pogląd, jakoby niektóre sztuki „wyrażały tylko siebie" jest wrogi. Naczelnym zadaniem naszego pokolenia jest walka o pokój. Jeżeli muzyka i architektura „wyrażają tylko siebie", to są w tej walce niepotrzebne i nieprzydatne. Znaczy to, że nie należy pisać symfonii, stawiać budynków, ozdabiać je ornamentami i rozetami. Znaczy to odwoływać się do dziwnego stworu: homunkulusa, który „percepując" sztukę — zapomina o całym świecie, o swym życiu, o historii i tradycji narodu i ludzkości.

Na szczęście, wszystkie sztuki, a wśród nich muzyka i architektura socjalistyczna odwołują się do pełnego, żywego człowieka, do całej jego wiedzy o życiu i o świecie i walcząc o pokój i postęp, opierają się na największej sile człowieka i narodów: na ich doświadczeniu historycznym.

Tadeusz Borowski

WYPRÓBOWANE NARZĘDZIE WROGA

„Pij, pij, braciszku, pij"... *rys. Charlie.*

Komentarze

Porządek pangermański

Do szeregu publikacji jasno i otwarcie głoszących zasady tak szybko po wojnie wskrzeszonego imperializmu niemieckiego przybyła nowa i nader pouczająca pozycja. Niejaki Hans Grimm ogłosił w Niemczech Zachodnich „list otwarty" do arcybiskupa Canterbury. Jest to właściwie cała rozprawa, bo wymieniony list obejmuje aż 230 stron dużego formatu.

Grimm gani Anglików za to, że nie wykazali dostatecznej konsekwencji w popieraniu Wilhelma II, a następnie Hitlera w ich polityce zmierzającej do opanowania kontynentu europejskiego, skierowanej zaś przeciwko Rosji. Ze szczególną żarliwością broni Grimm Hitlera, który był — jak powiada — szczerym przyjacielem Anglików i przewidział dla nich ważną rolę pomocniczą w mającej się dokonać pod hegemonią Niemiec kolonizacji „obszarów wschodnich". Ciepłe słowa dla Hugenberga, Ludendorffa i oczywiście Ribbentropa są już tylko pobocznymi elementami wywodów mających na celu ogólną pochwałę porządku pangermańskiego.

Grimm jest również antysemitą, a wszelką demokrację utożsamia z korupcją. Wytknąwszy zaś Anglikom ich błędy w przeszłości, widzi jednak ich doniosłą rolę w przyszłości gdy przyłączą się do krucjaty, która ruszy na wschód pod wodzą Niemiec. W wyniku tej krucjaty Niemcy znowu obejmą panowanie nad kontynentem europejskim. Tego stanowczo żąda pan Hans Grimm, namawiając arcybiskupa Canterbury do działania w myśl odnośnych postulatów celem przyśpieszenia realizacji porządku pangermańskiego w Europie.

Brednie pokrywające się z celami, które już raz postawił sobie Hitler, nie są zwykłymi bredniami, lecz świadomym i metodycznym nawoływaniem do zbrodni. Dlatego każdą tego rodzaju „teoretyczną" brednię, jaką jest „list otwarty" Hansa Grimma, należy napiętnować z całą bezwzględnością. **si**

Remilitaryzacja moralna

Po liście profesora Hansa Grimma, skierowanym do arcybiskupa Canterbury, literatura neohitlerowska wzbogaciła się o jeszcze jedno „dzieło" zatytułowane wprost sensacyjnie: „Gdy łamią się wały" („Wenn die Wälle brechen").

Czy łamią się wały obozów dla byłych SS-owców? Z pewnością tak, bo autor wymienionego utworu, Edwin Erich Dwinger, został specjalnie wypuszczony z obozu dla notorycznych hitlerowców, aby mógł spokojnie i wydajnie pracować pisarsko. Wyświadczono mu pomoc w zakresie świadomego macierzyństwa jego „dzieła". Osiadł w swych dobrach podarowanych mu ongi przez Hitlera za wierne służby, a po wojnie ani nie skonfiskowanych, ani też w niczym nie uszczuplonych. Osiadł i rychło napisał całą książkę.

Książka „Gdy łamią się wały" jest oczywiście książką ultrafaszystowską, dostatecznie podlaną sosem pangermańskiego heroizmu spod znaku Rosenberga i Goebbelsa. Autor ubolewa nad tym, że pękły wały wzniesione przez hitlerowców w Prusach Wschodnich. Były to jedynie — jak powiada — wały obronne kultury zachodniej przeciwko napaści wschodnich hord, które rzeczywiście wiosną roku 1945 tej napaści dokonały.

„Poglądy Edwina Ericha Dwingera i wszystkich jemu podobnych wystarczyłoby zakwalifikować po prostu jako obłąkaną brednię, gdyby nie istniała celowość w rozpowszechnianiu kłamstw, z których uśmiałby się sam Hitler. Bo dlaczego cenzura okupacyjna w Niemczech Zachodnich puszcza kawałki publicystyczne różnych Dwingerów i Grimmów?

Stara zasada retoryczna głosiła: powtarzaj rzecz tak często, aż ludzi do niej przyzwyczaisz, a wtedy łatwo dopatrzą się w niej znamion prawdy. Tak właśnie postępuje się w Niemczech Zachodnich przy wybielaniu hitlerowców. Niezadługo awansują do roli wszystkich świętych obrońców kultury zachodniej, skoro potrzebni są w wojsku. Takimi drogami idzie moralna remilitaryzacja Niemiec Zachodnich. Władze okupacyjne odgrywają tu po cichu rolę poradni i kasy zapomogowej „świadomego macierzyństwa".

si

Czterystu uczonych pod kluczem

Jak donosi berliński dziennik demokratyczny „Nacht-Express" w chwili obecnej amerykańskie władze trzymają pod ścisłym dozorem czterystu wybitnych uczonych niemieckich. „Miejscem odosobnienia" jest Getynga; wybór ten zasługuje niewątpliwie na uznanie, z uwagi na to, iż miasto to ze swym światowej sławy uniwersytetem jest najpoważniejszym w Niemczech ośrodkiem naukowym. Władze amerykańskie rozważają jednak projekt ewakuacji tej partii obywateli dalej „w kierunku zachodnim", ponieważ Göttingen leży ponoć nazbyt blisko granicy Republiki Demokratycznej.

Narazie uczeni zostali skoszarowani w pobliżu dworca głównego, w obszernym budynku, dniem i nocą strzeżonym przez brytyjskich żołnierzy. W nocy cały gmach i dziedziniec są rzęsiście oświetlone licznymi reflektorami, tak iż o opuszczeniu tego locum w sposób „prywatny" nie może być mowy. To też mieszkańcy tej tak pilnie strzeżonej siedziby nadali jej nazwę „Göttingen-K.Z." — „obozu koncentracyjnego w Getyndze".

Tych czterystu internowanych naukowców — to elita chemików i fizyków Niemiec Zachodnich. Stu pięćdziesięciu spośród nich to znakomici badacze, których nazwiska mają rozgłos światowy; dość powiedzieć, że jest tam siedmiu laureatów nagród naukowych fundacji Nobla.

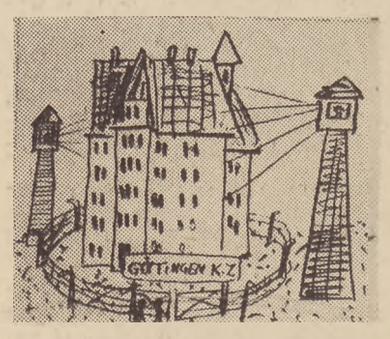

„Od pięciu lat" — zauważa prostodusznie konserwatywny dziennik angielski „Daily Telegraph" — „żaden spośród tych uczonych nie ogłosił wyników swoich badań, chociaż wiadomo, że dokonali nader cennych odkryć".

Oto jedna z przyczyn tej „troskliwej opieki" ze strony władz. Ale jest jeszcze druga, bodaj jeszcze poważniejsza, zdaniem Brytyjczyków. Oto wielu z tych fizyków i chemików jest członkami berlińskiej Akademii Nauk i z tej racji utrzymują korespondencję z profesorami i naukowcami na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Taki to już odwieczny zwyczaj w świecie naukowym: owa wymiana poglądów i informacji wzajemnych o swych doświadczeniach i osiągnięciach... Ale Amerykanie są widocznie odmiennego zdania i korespondencję taką uważają za wielce podejrzaną i niebezpieczną.

Ten sam zresztą „Daily Telegraph" stawia tu kropkę nad „i", tak oto usprawiedliwiając zaprowadzenie tej kwarantanny w stosunku do elity naukowców Niemiec Zachodnich:

„Niepodobna dopuścić, by uczeni Niemiec Zachodnich dzielili się wynikami swoich badań z kolegami w Niemieckiej Republice Demokratycznej".

Zapewne niejeden spośród owych uczonych zaparkowanych w „Göttingen-K.Z." z niejakim zakłopotaniem dokonał odkrycia — względnie nie dotyczącego ściśle jego specjalności — ale za to niepozbawionego szerszego znaczenia, mianowicie: jak się przedstawia prawdziwa koncepcja wolności naukowej"...

ksk

Ludożerca

W Szwajcarii, w kraju nieboty[cznych] gór i słonecznych dolin, w którym sielankowe krówki szwajcarskie podzwaniają dzwoneczkami, żyją ludożercy Jest to wiadomość nieprawdopodobna na pozór, a prawdziwa, jak prawdą jest to, że ser szwajcarski posiada dziury. Prezentujemy niniejszym jednego

z tych kannibalów: jest nim naczelny redaktor czasopisma „Sie und Er", podżegacz wojenny, miłośnik bomby atomowej i wojny bakteriologicznej, który pisze między innymi co następuje:

„Wyobraźmy sobie milion Chińczyków ustawionych w czwórki. Następnie wyobraźmy sobie, że pierwszych czterech Chińczyków zastrzelono, potem następnych czterech itd. W ciągu jednej minuty można w ten sposób powystrzelać około dwudziestu ludzi, w godzinie można by wykończyć 1200 ludzi, w ciągu dnia 28 800, w roku 10 512 000, a w dziesięciu latach 105 120 000 ludzi. Aby wszystkich Chińczyków powystrzelać tym sposobem, potrzeba by na to 43 lat. W ciągu tych 43 lat wyrosłoby już nowa generacja Chińczyków i strzelanina nie miałaby końca".

Zrozpaczony ludożerca widzi jedyne rozwiązanie trapiącego go zagadnienia w bombie atomowej. Będzie szybciej i taniej. Redaktor „Sie und Er" utopiłby w imperialistycznym szale całą ludzkość. Byleby więcej krwi i trupów W Szwajcarii rosną niewielkie, ale piękne lasy. Że też nie znajdzie się wśród nich choć jedna gałąź dla krwiożerczego ludożercy. To najpiękniejsza nagroda za jego genialne myśly.

ksk

WYJAŚNIENIE.

W nr. 8/48 „Nowej Kultury" z dnia 25 lutego br. w dziale korespondencji ukazała się notatka p. „Literatura młodzieżowa a erotyka" korespondenta Robotniczego Głosu Szczecińskiego, której autor zgłasza pretensje pod adresem wydawnictwa, iż w książce Walerego Przyborowskiego p. t. „Oblężenie Warszawy", wydanej, zdaniem autora listu, dla młodzieży — nie zostały usunięte przez redakcję „jaskrawe momenty erotyczne."

Książka „Oblężenie Warszawy" Walerego Przyborowskiego nie jest książką dla młodzieży. Przedsiębiorstwo zakupujące książki na choinkę noworoczną winno dokonać zakupu po przejrzeniu katalogów wydawnictw młodzieżowych (katalogi „Czytelnika" ukazują się 2 razy do roku), w których nie znalazłoby omawianej książki i nie popełniłoby błędu.

Sp. Wyd.-Ośw. „Czytelnik"
dr Ludwik Kasiński
redaktor działu

SPROSTOWANIE

W Nr. 8 „Nowej Kultury" z dnia 25 lutego br. na skutek omyłki drukarskiej w moim artykule pod tytułem „Poezja i proza w czasopismach dla dzieci" został opuszczony jeden wiersz (szpalta 3-a, 28 wiersz od góry) a tym samym wypaczony sens zdania, które winno brzmieć w sposób następujący:

„...Dalej wzbogacamy tematykę i rozszerzamy zainteresowanie małego czytelnika zapoznając go z bogactwem i pracą kraju, z osiągnięciami klasy robotniczej, z twórczym wysiłkiem ludzkim".

Wanda Grodzieńska

JANUSZ MINKIEWICZ

Krytyczny i samokrytyczny,
specjalnie na jubileusz pięćsetnego numeru „SZPILEK"
napisany,

HYMN

na niedoścignionym

JULIUSZA SŁOWACKIEGO
pierwowzorze oparty

Smutno mi Boże! — Łzy przełykam słone...
(Miewa się w życiu takie smutku chwilki!),
Więc, by ode mnie pierzchły sobie one,
Sięgam po „Szpilki"...
Lecz ledwo któryś numer ich otworzę,
Smutno mi Boże!

Smutno mi Boże! — Dla mnie na Zachodzie
Mało jest treści, co radością zatli,
Zaś dzisiaj w „Szpilkach" — głównie Zachód w modzie:
Truman lub Attlee...
Że o nich śpiewa utwór po utworze,
Smutno mi Boże!

Jako się żali na odejście matki
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Próżno wykrzesać chciałbym z wierszy gładkich
Dowcipu błyski...
Że ich nie więcej tam niż w „Monitorze",
Smutno mi Boże!

Wybaczcie, że wam tu obraz okrutny
Wskrzeszam niewinnej, płaczącej dzieciny...
Ale to czynię, bo sam jestem smutny
I pełen winy...
Gdy o swym wspomnę niejednym utworze,
Smutno mi Boże!

Na rymów nadmiar, który tak ogromnie
W „Szpilkach" piszący żeśmy rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący — marli.
Jak tu, tak myśląc, w dobrym być humorze?...
Smutno mi Boże!

Lecz dość narzekań!... Są na lepsze zmiany.
Dziś u dentysty (przed drobnym zabiegiem)
Widziałem stare, sprzed wojny „Bociany"*)
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!

Dziś się roztropniej pisze niż przed laty,
A zmiany będą jeszcze oczywistsze,
Gdy będzie więcej wierszy na tematy
Bliższe, ojczystsze...
Wówczas te słowa do lamusa złożę:
„Smutno mi Boże!"

*) „Bocian" — piśmidło humorystyczno-pornograficzne w Polsce przedwrześniowej

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji, ul Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca. Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—; kwartalnie zł 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł. 40 gr. za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń „Czytelnik". Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Sp. Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik", Warszawa Marszałkowska 3/5.

2-B 1